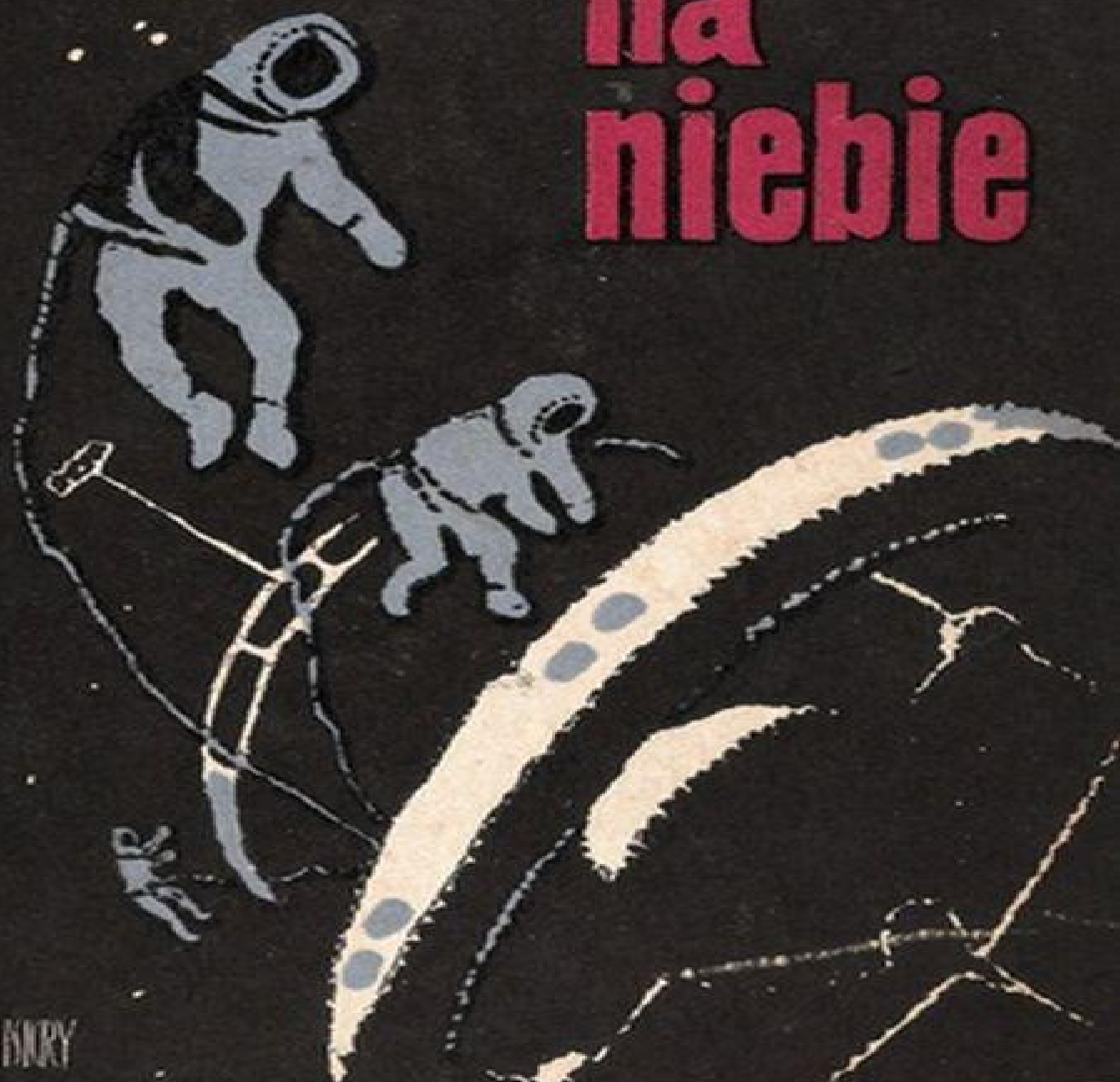


ARTHUR C. CLARKE

# Wyspy na niebie



EMERY

accclarke.pl

**Arthur C. Clarke**

**Wyspy na niebie**

*Przełożyła Ewa Kołaczowska*

## **Spis treści**

**Strona tytułowa**

**OD REDAKCJI**

**MIASTA W KOSMOSIE**

**1. Rozgrywka o podróż kosmiczną**

**2. Pożegnanie z siłą ciężkości**

**3. Jutrzenka**

**4. Plaga piratów**

**5. Kolej na gwiazdę**

**6. Szpital w przestrzeni**

**7. Świat potworów**

**8. W otchłań**

**9. Wystrzał z Hsajma**

**10. Radioaktywny satelita**

**11. Hotel pod gwiazdą**

**12. Długa droga na Ziemię**

# OD REDAKCJI

Arthur Charles Clarke, jeden z najwybitniejszych anglosaskich autorów książek fantastycznonaukowych, urodził się w roku 1917 w nadmorskim mieście angielskim Minehead.

Już od wczesnego dzieciństwa zdradzał zainteresowanie sprawami nauki, a w trzynastym roku życia skonstruował swój pierwszy teleskop.

Clarke niemal od początków istnienia Brytyjskiego Towarzystwa Międzyplanetarnego był ściśle z nim związany, najpierw jako skarbnik, a od 1949 roku jako jego prezes.

W 1941 roku został powołany do RAFu, gdzie specjalizował się w radiolokacji i stanął na czele pierwszej jednostki dokonującej eksperymentów z radarem.

W okresie tym publikował liczne rozprawy z zakresu elektroniki i swe pierwsze fantastycznonaukowe opowiadania.

Po demobilizacji rozpoczął studia w dziedzinie fizyki i matematyki na uniwersytecie w Londynie, gdzie w 1948 roku zdobywa dyplom.

W latach 1949-51 pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego „Science Abstracts”, nie przerywając pracy literackiej, której całkowicie poświęcił się od roku 1952. Poza książkami popularno - i fantastycznonaukowymi Clarke jest autorem licznych audycji radiowych i telewizyjnych, chętnie też wygłasza odczyty poświęcone lotom kosmicznym.

Obecnie Clarke należy do paru towarzystw naukowych, mieszka stale na Cejlonie i dużo podróżuje.

Swym fantastycznonaukowym nowelom i powieściom daje przede wszystkim solidną naukową podbudowę, a jednocześnie z dużą umiejętnością mówi o zawiłych problemach nauki współczesnej językiem rzeczowym i prostym.

Spośród licznych jego książek przekładu na polski doczekały się już: „Na podbój przestrzeni”, „Piaski Marsa” (Wiedza Powszechna), „Zdobywamy księżyc” (Państwowe Wydawnictwa Techniczne) oraz „Tajemnice koralowych raf” (Wydawnictwo Morskie).

„Wyspy na niebie” to powieść, której akcja rozgrywa się w XXI wieku w kosmosie, a bohaterem jest szesnastoletni chłopiec. Książka ta, wydana w Anglii w 1952 roku, ukazuje, rzecz prosta, perspektywy astronautyki. Perspektywy te doczekały się w minionym dziesięcioleciu częściowej realizacji.

# MIASTA W KOSMOSIE

Wraz z uruchomieniem pierwszego sztucznego satelity w dniu 4 października 1957 roku świat wkroczył w epokę podboju przestrzeni kosmicznej. Książka, którą bierzecie do ręki, opowie Wam o tej właśnie epoce, kiedy to - za sto lat od dzisiejszego dnia - obecne małe księżycy urosną do rozmiarów miast-olbrzymów, unoszących się w odległości tysięcy mil ponad Ziemią.

Te „stacje przestrzenne” powstaną dla wielorakich celów i będą służyły za obserwatoria astronomiczne, za punkty pobierania paliwa przez statki dążące na inne planety, bądź za pomieszczenie dla urządzeń radio-telewizyjnych, które zapewnią światu system łączności, o jakim dziś nie mamy wyobrażenia. Zbuduje się je z materiałów dostarczanych etapami na orbitę za pomocą raket transportowych, które zrzucą i zostawią swój ładunek w przestrzeni, do chwili gdy będzie potrzebny. Montażu części dokonają robotnicy w skafandrach kosmicznych lub w miniaturowych jednoosobowych pojazdach z napadem odrzutowym o małej mocy, co umożliwi ludziom poruszanie się poza atmosferą, w próżni pozbawionej tarcia.

Osiągnięcia te zaczną się jeszcze za życia naszego pokolenia; niejeden czytelnik niniejszej książki wyruszy w podróż międzyplanetarną i, być może, wniesie swój wkład w budowę pierwszych „wysp na niebie”. Rozporządzamy już silnikami raketowymi, które mogą do tego posłużyć. Rozwój astronautyki przedstawia się dziś podobnie jak rozwój aeronautyki w 1903 roku, kiedy bracia Wright zbudowali swój pierwszy samolot. Ale postęp astronautyki będzie o wiele szybszy, bo nasza wiedza o wszechświecie jest już teraz ogromnie rozległa.

Za satelitami, które obecnie okrążają Ziemię, podążą wkrótce znacznie większe, wyposażone w bardziej precyzyjne instrumenty. W ciągu następnych kilku lat opracujemy metody ich bezpiecznego powrotu na Ziemię, osadzać je może będziemy jak szybowce o wielkiej prędkości, które można ściągnąć do baz za pomocą fal radiowych. A wtedy wszystko już będzie przygotowane do dalszego etapu - pierwszego lotu sztucznego satelity z załogą ludzką. [Przepowiednia autora spełniła się 12 kwietnia 1981 roku, w dniu tym bowiem znalazł się w kosmosie pierwszy człowiek, Jurij Gagarin.]

W istocie ludzie przebywali już dawniej w przestrzeni, ale jedynie przez parę godzin, w trakcie wysokościowych lotów balonem. Musimy się jeszcze wiele nauczyć w zakresie „medycyny kosmicznej”, tej zupełnie nowej dziedziny, niewątpliwie jednak zagadnienie utrzymania człowieka przy życiu poza atmosferą zostanie rozwiązane. Nadejdzie dzień, kiedy niektórzy ludzie będą prawie stale przebywać w kosmosie, a poczują się nieswojo i źle, gdy przyjdzie im wrócić na powierzchnię naszej Ziemi, z jej nieokiełznaną pogodą i paraliżującą siłą ciężkości.

Pierwsze stacje kosmiczne pomieszczą różnorodne laboratoria naukowe, ale z czasem znajdą również zastosowanie w licznych przedsięwzięciach handlowych, a nawet jako hotele i szpitale, o czym wspomina ta książka. Na dalszą metę jednak posłużą przede wszystkim za odskocznię przy lotach międzyplanetarnych. Podróżni z Ziemi będą się tutaj przesiadać z bliskodystansowych statków szybujących po orbicie, które uniosły ich poza atmosferę, do rzeczywistych pojazdów międzyplanetarnych; te przewiozą ich z jednego świata w drugi.

Z trudem można to sobie wyobrazić, ale zastanówcie się, co pomyślałby wasz pradziadek na widok dzisiejszych olbrzymich lotnisk. To, co dla jednego pokolenia wydaje się niemożliwe, zostaje z łatwością zrealizowane przez następne, a jeszcze dalsze uważają te osiągnięcia za najzupełniej naturalne.

Książka moja jest opowieścią przygodową i ma na celu przynieść Wam trochę rozrywki. Lecz jednocześnie wszystkie zawarte w niej elementy są ściśle w takim stopniu, w jakim pozwalał na to zakres dzisiejszej wiedzy. Po skończonej lekturze stwierdzicie z pewnością, że nauczyliście się

niemało O prawach rządzących lotami międzyplanetarnymi i o przedziwnych rzeczach, jakie mogą się zdarzyć w przestrzeni.

A jeśli to Was zachęci do obrania najbardziej nowoczesnego I podniecającego zawodu - zawodu inżyniera-astronauty - najserdeczniej będę Wam życzył powodzenia.

A. C. C.

# 1. Rozgrywka opodród kosmiczną

„Wygrasz czy nie, uszy do góry, Roy! Po prostu nie przejmuj się i wszystko traktuj jako dobry kawał”. To były słowa stryja Jima i przypomniałem je sobie w drodze do wielkiego studia, dokąd podążałem wraz z innymi uczestnikami teleturnieju. Nie czułem się specjalnie zdenerwowany. Ostatecznie była to tylko zabawa, chociaż ogromnie mi zależało na wygranej.

W zatłoczonym audytorium ludzie kręcili się i rozmawiali oczekując rozpoczęcia programu. Tu i ówdzie rozległy się brawa, w chwili gdy weszliśmy na scenę, aby zająć swoje miejsca. Szybko rzuciłem okiem na swoich pięciu współzawodników i doznałem lekkiego wstrząsu. Na twarzy każdego z nich malowała się pewność, że właśnie jemu przypadnie wygrana.

Na widowni znowu rozległy się brawa: do studia wchodził Elmer Schmitz, konferansjer. Poznałem go oczywiście już dawniej, w czasie rozgrywek półfinałowych, a wy widzieliście go pewno nieraz w telewizji.

Elmer Schmitz udzielił nam ostatnich instrukcji, przeszedł na swoje stanowisko pod reflektorami i dał znak operatorom. Na widok czerwonego światła sala nagle ucichła. Z mego miejsca obserwowałem, jak Elmer „nastawia” swój uśmiech.

- Dobry wieczór państwu! Elmer Schmitz przedstawia finalistów Lotniczego Teleturnieju. Program jego został przygotowany wspólnie ze Światowym Towarzystwem Linii Lotniczych. Tych sześciu młodych ludzi, których gościmy dziś w studio...

Skromność nie pozwalała mi powtórzyć tego, co Elmer Schmitz o nas mówił. Ogólny sens był taki, że wiemy mnóstwo rzeczy o wszystkim, co lata w atmosferze i poza atmosferą, i w tej dziedzinie pobiliśmy około pięciu tysięcy innych członków Młodzieżowego Klubu Raketowego w serii ogólnokrajowych konkursów. Dziś nastąpią końcowe eliminacje, które wyłonią zwycięzcę.

Początek przeszedł dość gładko według porządku ustalonego w czasie poprzednich spotkań. Elmer kolejno rzucał pytanie każdemu z nas, zostawiając nam dwadzieścia sekund do namysłu. Moje pytanie było całkiem łatwe: jaki jest rekord wysokości dla prostego odrzutu. Inni uczestnicy również dali trafne odpowiedzi na swoje pytania. Ta pierwsza seria, jak mi się zdaje, miała na celu obudzenie w nas wiary we własne siły.

Ale później zaczęto dociskać śrubę. Żaden z nas nie widział swoich rezultatów, które wyświetlano na ekranie na wprost widowni, ale z hałasu, jaki wybuchał wśród publiczności, można się było domyślić, że odpowiedź jest trafna. Zapomniałem wyjaśnić, że przy niewłaściwej odpowiedzi traciło się punkt: miało to zapobiegać zgadywaniu. Jeśli się czegoś nie wiedziało, najrozsądniej było milczeć.

O ile mogłem osądzić, strzeliłem tylko jednego byka, ale jakiś smarkacz z Nowego Waszyngtonu nie pomylił się chyba ani razu; nie dałbym zresztą za to głowy, bo nie mogłem jednocześnie uważać na cudze odpowiedzi i zastanawiać się, co Elmer chowa w zanadrzu na mój użytek. Ogarnęło mnie przygnębienie, ale właśnie światła przygasły i zaczął działać ukryty aparat filmowy.

- A teraz ostatnia runda! - powiedział Elmer. Każdemu z was ukaże się samolot lub rakieta na przeciąg jednej sekundy i przez ten czas musicie zidentyfikować maszynę. Gotowi?

Sekunda wydaje się niezmiernie krótkim odcinkiem czasu, ale w rzeczywistości tak nie jest. Sporo da się zauważyć w ciągu sekundy, dość, aby rozpoznać to, co się zna naprawdę dobrze. Ale niektóre z pokazanych nam maszyn liczyły sobie chyba ze sto lat. Kilka miało nawet śmigła! Udało mi się tym razem: zawsze mnie interesowała historia lotnictwa i dzięki temu rozpoznałem sporo tych staroświeckich gratów. Natomiast chłopak z Nowego Waszyngtonu wpadł tutaj na całego.

Pokazano mu rysunek oryginalnego dwupłatowca Wrighta, który można sobie co dzień obejrzyć

w Muzeum Smithsona, ale on nie miał pojęcia, co to jest.

Mówił potem, że interesują go tylko rakiety i że konkurs był niesprawiedliwy. Według mnie jednak słusznie dostał po nosie.

Mnie przypadł Dornier DO-X i B-52. Obydwa rozpoznałem i właściwie nie zaskoczyło mnie specjalnie moje nazwisko wywołane przez Elmera, kiedy znowu zapaliło się światło. Mimo wszystko był to wspaniały moment, gdy szedłem ku niemu, a aparaty filmowe jechały za mną, w głębi zaś huczały oklaski widowni.

- Przyjmij moje gratulacje, Roy! - powiedział serdecznie Elmer, ściskając mi rękę. - Trafiałeś prawie bez pudła. Nie powiodło ci się tylko raz. Wobec tego mam zaszczyt ogłosić cię zwycięzcą Konkursu Światowych Lini Lotniczych. Jak wiesz, nagrodę stanowi podróż, całkowicie opłacona, do jakiegokolwiek miejsca na świecie. Umieramy z ciekawości, dokąd się wybierzesz! Co to będzie za miejscowość? A możesz udać się wszędzie na przestrzeni między Biegunem Północnym a Południowym!

W ustach zupełnie mi zaschło. Chociaż wszystko sobie obmyśliłem już wiele tygodni temu, cała sprawa przedstawiała się inaczej, gdy przyszło co do czego.

Poczułem się straszliwie samotny w olbrzymim studio; naokoło wszyscy czekali na moje słowa w głuchej ciszy. Gdy w końcu padła moja odpowiedź, własny głos zdawał mi się płynąć z jakiejś wielkiej odległości.

- Chcę pojechać do Stacji Wewnętrznej.

Mina Elmera zdradziła jednocześnie zaskoczenie, zdumienie i niezadowolenie. Na widowni rozległy się szmery, ktoś zaśmiał się krótko. I może to wpłynęło na decyzję Elmera, aby potraktować sprawę humorystycznie.

- Cha! cha! cha! Świetny kawał, Roy! Ale przecież warunki konkursu mówią o jakimkolwiek miejscu na Ziemi. Musisz trzymać się przepisów, nie ma rady.

Byłem pewny, że Elmer nabija się ze mnie, i to mnie rozwścieczyło. Odpowiedziałem więc z miejsca:

- Przestudiowałem przepisy bardzo uważnie. Nie mówi się tam nigdzie „na Ziemi”, lecz „do jakiegokolwiek części Ziemi”. A to wielka różnica.

Elmer był sprytny. Zorientował się, że może z tego wyniknąć niezgorszy bigos, bo uśmiech zgasł na jego twarzy i z niepokojem spojrzał na kamery telewizyjne.

- Proszę, mów dalej.

Odetchnąłem.

- W roku 2054 - ciągnąłem - Stany Zjednoczone podpisały Konwencję Tycho, która określiła, jak daleko w kosmos sięgają legalne granice każdej planety. Na mocy Konwencji Stacja Wewnętrzna jest częścią Ziemi, ponieważ leży poniżej granicy tysiąca kilometrów.

Elmer rzucił mi osobliwe spojrzenie. Potem spokojniej nieco zapytał:

- Powiedz mi, Roy, czy twój tatuś jest adwokatem?

- Nie - odparłem, przecząco potrząsając głową.

Oczywiście mogłem dodać: „Za to stryjek Jim jest adwokatem”, ale postanowiłem milczeć; i tak z tego wszystkiego wyniknie dosyć kłopotów.

Elmer jeszcze parę razy spróbował wpłynąć na zmianę mojej decyzji, ale daremnie. Czas upływał i widownia trzymała moją stronę. Wreszcie dał za wygraną i powiedział ze śmiechem:

- Cóż robić, stanowczy z ciebie młodzieniec! W każdym razie nagroda jest twoja i wygląda na to, że od tej chwili zajmą się tą sprawą prawdziwi prawnicy.

Mam nadzieję, że po zakończeniu sporu zostanie jeszcze cośkolwiek dla ciebie!



Ja również krzepiłem się taką nadzieją!

Elmer miał naturalnie rację, przypuszczając, że sam sobie nie wykombinowałem celu podróży. Stryjek Jim, który jest radcą prawnym w wielkim kombinacie energii atomowej, wypatrzył tę okazję wkrótce po moim zgłoszeniu się do teleturnieju. Pouczył mnie, co mam mówić, i zapewnił, że Światowe Linie Lotnicze w żaden sposób się nie wykręcą. A nawet gdyby mieli jakieś szansę, za dużo osób widziało mnie w telewizji, żeby próba wykiwania mnie nie stanowiła dla nich bardzo złej reklamy.

- Upieraj się przy swoim, Roy - mówił stryj i nie zgadzaj się na nic dopóty, dopóki nie porozumiesz się ze mną.

Cała sprawa zupełnie wyprowadziła z równowagi mamę i tatusia. Oglądali teleturniej i zorientowali się, o co chodzi, gdy tylko zacząłem się targować. Tatuś natychmiast zadzwonił do stryja Jima i powiedział mu, co o nim myśli (doszło to do mnie po pewnym czasie), ale było już za późno, żeby mnie powstrzymać.

Bo trzeba wam wiedzieć, że od niepamiętnych czasów jak wariat marzyłem o podróży kosmicznej.

W chwili opisywanych przeze mnie zdarzeń miałem szesnaście lat i jak na ten wiek był ze mnie spory dryblas. Czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce na temat lotnictwa i astronautyki, oglądałem wszystkie filmy i programy telewizyjne nadawane z przestrzeni i postanowiłem sobie, że pewnego dnia to ja będę patrzył w dół, śledząc Ziemię niknącą w oddali. Budowałem modele słynnych statków kosmicznych i umieszczałem w niektórych silniki rakietowe, aż w końcu sąsiedzi zaczęli się awanturować. Miałem u siebie w pokoju setki fotografii, nie tylko większości bardziej znanych statków, ale również wielu miejscowości na najważniejszych planetach.

Mama i tatuś nie przeciwstawiali się moim zainteresowaniom, ale sądzili, że z nich wyrosnę.

- Popatrz na Joe Donovana - mawiali (Joe prowadził w naszej dzielnicy warsztat naprawy helikopterów). - Gdy był w twoim wieku, chciał pojechać na Marsa jako osadnik. Nie wystarczała mu Ziemia!

Ostatecznie nie pojechał nawet na Księżyc i pewno już nie pojedzie. Jest całkiem zadowolony z tego, co ma tutaj.

Prawdę mówiąc, nie miałem co do tego pełnej pewności. Widywałem go nieraz zapatrzonego w niebo, gdy rakiety, wspinając się ku górze, ciągnęły poprzez stratosferę białe smugi pary, i czasami zdawało mi się, że oddałby wszystko, co posiadał, żeby z nimi polecieć.

Stryjek Jim, brat tatusia, był jedynym człowiekiem, który rozumiał, co te rzeczy dla mnie znaczą. Sam był parę razy na Marsie, raz na Wenus, a na Księżyc latał tak często, że już nie mógł się doliczyć swoich podróży.

Jego zajęcie właśnie na tym polegało; ludzie po prostu płacili mu, żeby to robił. W naszej rodzinie uważano, że stryj Jim wywiera na mnie bardzo niepożądany wpływ.

Światowe Linie Lotnicze odezwały się mniej więcej w tydzień po wygraniu przeze mnie turnieju. Bardzo uprzejmie, ale w sposób lodowaty panowie z Zarządu przekazali mi swoją zgodę; warunki konkursu istotnie pozwalały mi udać się do Stacji Wewnętrznej. (Nie mogli się wszakże powstrzymać od uwagi, jak bardzo ich dziwi, że nie wybrałem jednego z luksusowych lotów organizowanych przez nich w obrębie atmosfery).

Stryj Jim objaśnił mnie, że wyprowadziły ich z równowagi koszty związane z moim wyborem, co najmniej dziesięciokrotnie wyższe od sumy, którą zamierzali na to poświęcić. Stawiali jednak dwa warunki. Po pierwsze powinienem uzyskać zgodę rodziców, a po drugie, przejść przez badania lekarskie, obowiązujące załogi statków kosmicznych.

Muszę przyznać moim starym, że chociaż ciągle byli na mnie wściekli, nie próbowali storpedować moich planów. Podróże kosmiczne były przecież zupełnie bezpieczne, a ja miałem pojechać tylko paręset mil w górę - wielka mi znów odległość! Toteż po krótkich targach podpisali i wysłali formularze. Światowe Linie Lotnicze - głowę za to dają - krzepiły się jeszcze nadzieją, że rodzice zabronią mi jechać.

Pozostawała druga przeszkoda: badania lekarskie.

Uważałem, że to niesprawiedliwość zmuszać mnie do nich. Jak słyszałem, badania te były bardzo surowe i jeśli by mnie zdyskwalifikowano, sprawiłbym nie lada frajdę Światowym Liniom Lotniczym.

Najbliższym miejscem, gdzie mogłem się poddać badaniom, był Wydział Medycyny Kosmicznej na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa - godzinny lot odrzutowcem na linii Kansas-Waszyngton, a przedtem i potem parą dojazdowych, krótszych lotów helikopterami. Chociaż odbyłem już w życiu kilkanaście dłuższych podróży, tym razem ogarnęło mnie takie podniecenie, że ten właśnie lot wydawał mi się zupełną nowością. I w pewnym sensie stanowił nowość, bo jeśli by wszystko dobrze poszło, miał otworzyć nowy rozdział w moim życiu.

Przygotowałem się do podróży już w przeddzień wieczorem, chociaż miałem spędzić poza domem zaledwie parę godzin. Wieczór był piękny i wyniosłem na dwór mój mały teleskop, żeby popatrzeć na gwiazdy. Ten teleskop to nic nadzwyczajnego, ot, parę soczewek w drewnianej rurze, ale zmajstrowałem go sam i byłem z niego ogromnie dumny. Gdy Księżyc był w pierwszej kwadrze, teleskop ukazywał większe góry na jego powierzchni, a także pierścienie Saturna i księżycy Jowisza.

Lecz tej właśnie nocy chodziło mi o coś innego, dość trudnego do znalezienia. Znałem w przybliżeniu orbitę tego, czego szukałem, bo miejscowy klub astronomiczny przygotował dla mnie potrzebne liczby. Nastawiłem więc teleskop jak najdokładniej i powoli zacząłem szukać wśród gwiazd, przesuając się na południowy zachód, oraz zaglądając do mapy, którą miałem pod ręką.

Poszukiwania trwały około piętnastu minut. W pole widzenia weszła grupka gwiazd i coś, co nie było gwiazdą. Dostrzegłem jedynie maleńki, owalny punkcik, zbyt drobny, aby zauważyć jakieś szczegóły.

Błyszczał jaskrawo w górze w oślepiającym świetle Słońca, poza cieniem Ziemi; i widziałem, jak się porusza. Astronom w poprzednim stuleciu byłby ogromnie zaintrygowany tym punkcikiem, jako że stanowił coś nowego na niebie. Była to Stacja Meteorologiczna Numer Dwa, odległa o sześć tysięcy mil od Ziemi, okrążająca ją cztery razy w ciągu doby. Stacji Wewnętrznej, wysuniętej zbyt daleko na południe, nie mogłem dostrzec z tej szerokości geograficznej, na której się znajdowałem: trzeba by mieszkać blisko równika, żeby zobaczyć, jak jarzy się na niebie ta najsilniej błyszcząca i najszybciej poruszająca się ze wszystkich „gwiazd”.

Usiłowałem wyobrazić sobie, jak wygląda życie tam wysoko, na tej banieczce unoszącej się w pustce. W tej chwili uczeni patrzą może stamtąd na mnie tak, jak ja patrzę na nich z dołu. „Jak oni tam żyją?” - myślałem, pamiętając cały czas, że przy odrobinie „szczęścia wkrótce dowiem się tego osobiście.

Maleńki, lśniący krążek stał się nagle w moich oczach pomarańczowy, potem czerwony, i wreszcie zaczął mroczyć jak wygasające zarzewie. Po paru sekundach znikł całkowicie, chociaż gwiazdy nadal błyszczały jaskrawo w polu widzenia. Stacja Meteorologiczna Numer Dwa umknęła w cień Ziemi i miała pozostać niewidzialna aż do chwili, kiedy - mniej więcej za godzinę - ukaże się od strony południowo-wschodniej. Na Stacji Kosmicznej panowała teraz noc tak jak tutaj, na Ziemi. Odstawiłem teleskop i poszedłem spać.

Na wschód od Kansas City, dokąd udałem się waszyngtońskim odrzutowcem, rozciąga się

pięćsetmilowa płaszczyzna aż do łańcucha Appalachów. Gdyby się cofnąć o jedno stulecie wstecz, leciałbym nad milionami akrów gospodarstw rolnych, ale teraz znikły one z powierzchni ziemi, gdyż w końcu dwudziestego wieku rolnictwo przesunęło się na morze. Odwieczne prerie odradzały się znowu, a wraz z nimi olbrzymie stada bizonów, które krążyły tutaj w czasach, kiedy jedynymi panami tej ziemi byli Indianie. Główne miasta przemysłowe i ośrodki górnicze zmieniły się niewiele, ale mniejsze miasteczka znikły, a za parę lat nie pozostanie z nich nawet śladu.

Byłem chyba o wiele bardziej zdenerwowany idąc na górę po szerokich marmurowych schodach Wydziału Medycyny Kosmicznej, niż na początku ostatniej rundy turnieju ogłoszonego przez Światowe Linie Lotnicze. Gdybym był przepadł w konkursie, jakaś nowa szansa mogłaby się trafić później, ale jeśli teraz lekarze powiedzą „nie”, zamkną przede mną na zawsze drogę w kosmos.

Czekały mnie dwa rodzaje testów: fizyczne i psychologiczne. Musiałem wykonywać rozmaite niemądre czynności, biegać po kołowrocie wstrzymując oddech, dosłuchiwać się bardzo niskich dźwięków w dźwiękoszczelnym pokoju i określać zamglone, kolorowe światła. W pewnym momencie wzmościł się tysiąckrotnie odgłos uderzeń mojego serca: wrażenie było niesamowite i aż ciarki po mnie przeszły, ale lekarze orzekli, że wszystko jest w porządku.

Wyglądali na całkiem przyjacielską bandę i po chwili domyśliłem się, że trzymają moją stronę i robią, co mogą, abym przeszedł. Bardzo mnie to, oczywiście, podniosło na duchu i wreszcie całe badanie zaczęło minie bawić niby jakaś ciekawa gra.

Ale zmieniłem zdanie po teście, który polegał na tym, że usadowiono mnie w pudle wirującym we wszystkich możliwych kierunkach. Gdy z niego wyszedłem, dostałem okropnych mdłości i nie mogłem utrzymać się na nogach. To była najcięższa chwila, jaką przeżyłem, gdyż nabrałem pewności, że mnie odrzuca. Okazało się jednak, że wszystko jest tak jak trzeba: właśnie gdybym nie dostał mdłości, oznaczałoby to, że coś jest ze mną nie w porządku!

Wreszcie pozwolono mi odpocząć godzinę przed testami psychologicznymi. Nie przejmowałem się zanadto, bo zetknąłem się z nimi już dawniej. Użyto do nich kilku prostych składanek i kilku kartek z pytaniami, na które należało odpowiedzieć („Cztery wśród następujących pięciu słów mają ze sobą jakiś związek proszę je podkreślić”), jak również kilku testów na sprawność oka i ręki. W końcu przywiązano mi do głowy mnóstwo drutów i zaprowadzono do wąskiego, zaciemnionego korytarza. Przede mną znajdowały się zamknięte drzwi.

- A teraz słuchaj uważnie, Roy - powiedział psycholog, który przeprowadzał badania. - Zostawię cię tutaj samego, a światło zgaśnie. Stój w miejscu, dopóki nie otrzymasz dalszych instrukcji, a wtedy postępuj dokładnie według wskazówek. Nie zwracaj uwagi na te druty. Będą się wlokły za tobą przy każdym ruchu. Zrozumiałeś?

- Tak jest - odparłem zaciekawiony, co będzie dalej.

Światła przygasły i przez minutę znajdowałem się w kompletnych ciemnościach. Potem ukazał się słaby czworobok czerwonego pobrzasku i zorientowałem się, że to drzwi otwierają się przede mną, chociaż nie rozległ się najmniejszy szmer. Usiłowałem zobaczyć, co jest za nimi, ale światło było zbyt słabe.

Wiedziałem, że druty umocowane na głowie notują impulsy mego mózgu. A więc na wszelki wypadek starałem się zachować spokój i skupienie.

Z ukrytego głośnika rozległy się w ciemnościach słowa:

- Przejdź przez drzwi, które masz przed sobą, i zatrzymaj się zaraz, gdy je miniesz.

Spełniłem polecenie, chociaż niełatwo było iść prosto w tym mdłym, świetle, z trenem splecionych drutów wlokących się za mną.

Nie usłyszałem dźwięku zamykania drzwi, ale odczułem niewyraźnie, że to się stało, a gdy

sięgnąłem ręką do tyłu, okazało się, że mam za sobą gładką tafelę z masy plastycznej. Ciemności panowały teraz zupełnie zgasało nawet słabe czerwone światełko.

Wiele czasu upłynęło - tak mi się przynajmniej wydawało - zanim zdarzyło się coś nowego. Musiałem po ciemku stać chyba z dziesięć minut, oczekując na nowy rozkaz. Parę razy gwizdnąłem cichutko, aby sprawdzić, czy odezwie się echo, na podstawie którego mógłbym określić rozmiary pokoju. Nie miałem oczywiście żadnej pewności, ale odniosłem wrażenie, że izba jest dość obszerna.

A potem, bez żadnego ostrzeżenia, światło zapaliło się znowu, nie nagłym blaskiem, co by mnie oślepiło, ale jednak bardzo szybko, bo - w ciągu dwóch czy trzech sekund. Całe otoczenie zarysowało się wyraźnie i wcale się nie wstydzę przyznać, że na głos wrzasnąłem.

Gdyby nie jeden szczegół, pokój byłby zupełnie zwyczajny. Stało tu biurko z paroma gazetami na wierzchu, trzy fotele, półki biblioteczne wzdłuż jednej ściany, mały stolik i zwyczajny telewizor. Przez okno zaglądało słońce, a firanki powiewały lekko w podmuchach wiatru. W chwili kiedy zabłysło światło, otworzyły się drzwi i wszedł jakiś pan. Wziął ze stołu gazetę i zasiadł w jednym z foteli. Właśnie zabierał się do czytania, gdy spojrzał w górę i spostrzegł mnie.

Mówiąc „w górę”, mam to istotnie na myśli. Bo pod tym właśnie względem pokój ów nie był normalny.

Ja wcale nie stałem na podłodze, tak jak krzesła czy biblioteka. Znajdowałem się o piętnaście stóp w górze, przypłaszczony do sufitu i przerażony do ostatecznych granic, bez żadnego oparcia i nie mając żadnego uchwytu pod ręką! Macałem palcami gładką powierzchnię za sobą, ale była równa jak szkło.

Nie uda mi się zatem uniknąć upadku, a podłoga, daleko w dole, wyglądała na bardzo twardą.

## 2. Pożegnanie z siłą ciężkości

Upadek jeszcze wcale nie nastąpił i szybko opuściła mnie chwilowa panika. Musiałem paść ofiarą jakiegoś złudzenia, gdyż pod nogami wyczuwałem solidną podłogę, wbrew temu, co mi mówił wzrok. Przestałem czepiać się drzwi, którymi wszedłem, drzwi stanowiących część sufitu, o czym usiłowały mnie przekonać moje własne oczy.

Cała rzecz okazała się śmiesznie prosta! Pokój, na który pozornie patrzyłem z góry, było to w istocie odbicie w wielkim lustrze stojącym na wprost mnie, a ustawionym pod kątem 45°. Ja zaś znajdowałem się naprawdę w górnej części wysokiego pokoju, który „nachylał się” poziomo pod właściwym kątem, ale z racji zwierciadła nie można się było tego domyślić.

Ukląknęłam więc i na rękach i kolanach ostrożnie posuwałam się naprzód. Trzeba było na to nie lada siły woli, bo oczy ciągle mi mówiły, że z głową naprzód pełzam w dół po prostopadłej ścianie. Parę stóp dalej natrafiłem na próżnię i wyjrzałem za krawędź. Pokój, na który patrzyłem, leżał w dole, tym razem naprawdę pode mną! A mężczyzna w fotelu uśmiechał się, jakby chciał powiedzieć: „Zaaplikowaliśmy ci porządny szok, co?” Tego pana, rzecz prosta, a raczej jego odbicie, mogłem widzieć wprost przed sobą w lustrze.

Teraz za mną otworzyły się drzwi i wszedł psycholog. Niósł długi pasek papieru i zawołał wesoło: „Mamy już na taśmie wszystkie twoje reakcje, Roy!

Czy wiesz, do czego zmierzał ten ostatni test?

- Chyba tak - odparłem nieco stropiony. - Miał wykazać, jak się będę zachowywał przy zanikaniu siły ciężkości.

- Owszem, taki miał właśnie cel. Nazywamy to testem na orientację. W przestrzeni nie będzie żadnej siły ciężkości i są osoby, które nigdy nie mogą się do tego przyzwyczaić. Ten właśnie test wyklucza większość kandydatów.

Miałem nadzieję, że mnie nie wykluczy, ale przeżyłem bardzo niemiłe pół godziny w oczekiwaniu na decyzję lekarzy. Martwiłem się jednak niepotrzebnie, bo - jak już wspomniałem - trzymali oni moją stronę i równie usilnie jak ja sam chcieli przeciągnąć mnie przez te próby.

Góry Nowej Gwinei, na południe od równika, tu i ówdzie wyrastające na przeszło trzy mile ponad poziom morza, musiały być ongiś jednym z najdzikszych i najbardziej niedostępnych miejsc na Ziemi. Chociaż dzięki helikopterom dostęp do nich stał się równie łatwy, jak do jakiegokolwiek innej miejscowości, dopiero w dwudziestym pierwszym stuleciu góry te nabrały znaczenia jako główna odskocznia na szlaki kosmosu.

Złożyły się na to trzy ważne powody. Przede wszystkim fakt ich położenia w pobliżu równika oznacza, że wskutek wirowania globu ziemskiego poruszają się z zachodu na wschód z szybkością tysiąca mil na godzinę. Stanowi to niezmiernie korzystny start dla statku wyruszającego w przestrzeń. Wysokość zaś tego łańcucha sprawia, że gęściejsze warstwy atmosfery leżą poniżej szczytów, opór powietrza jest zatem zmniejszony i silniki raketowe mogą działać sprawniej. Ale chyba najważniejsza ich zaleta polega na tym, że dalej na wschód, na przestrzeni dziesiątków tysięcy mil, rozciąga się otwarty Pacyfik. Statków kosmicznych nie można wystrzelać z terytoriów zaludnionych, gdyż oprócz niebezpieczeństwa grożącego w razie awarii, niesłychany hałas wspinającego się w górę statku ogłuszyłby wszystkich w obrębie wielu mil.

Lotnisko Goddarda leży na rozległym płaskowyżu zrównanym za pomocą podmuchu atomowego, na wysokości prawie dwóch i pół mili nad poziomem morza.

Nie ma sposobu dotrzeć tam lądem - cały ruch odbywa się drogą powietrzną i lotnisko stanowi miejsce spotkań statków atmosferycznych i statków kosmicznych.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem to lądowisko, zbliżając się doń na odrzutowcu, wydało mi się małym białym prostokątem wśród gór. W zasięgu wzroku wszędzie ciągnęły się olbrzymie doliny wypełnione tropikalną puszcza. Słyszałem, że w niektórych jej ostępach żyją dzikie szczepy, które do tej pory nie zetknęły się jeszcze z cywilizacją. Ciekaw byłem, co też ci ludzie myśleli na widok potworów fruujących nad ich głowami i na dźwięk wibrujący w powietrzu!

Niewielki bagaż, jaki pozwolono mi zabrać, został wyekspediowany wcześniej i miałem go odebrać dopiero na Stacji Wewnętrznej. Po wyjściu z odrzutowca ogarnęło mnie zimne, czyste powietrze lotniska Goddard, od razu poczułem, że znajduję się wysoko nad poziomem morza, i bezwiednie spojrzałem w niebo, rozglądając się za celem mojej podróży. Ale poskąpiono mi czasu na te poszukiwania, gdyż czekali na mnie reporterzy i znowu musiałem wystąpić przed kamerami.

Nie mam pojada, co mówiłem, i na szczęście wkrótce mnie wybawił jeden z urzędników lotniska. Trzeba było wypełnić, jak zawsze, różne papiery. Zważono mnie dokładnie, kazano połknąć jakieś pigułki (i przypilnowano, żebym to zrobił), a potem wdrapaliśmy się na małą ciężarówkę, która miała nas dostawić do wyrzutni.

Byłem jedynym pasażerem w tej podróży, bo rakieta, którą miałem lecieć, służyła zasadniczo do przewożenia towarów.

Większość statków kosmicznych nosi nazwy związane z astronomią, co jest zupełnie naturalne. Ja leciałem na „Syriuszu”, który, chociaż nie zaliczał się do największych, wyglądał jednak imponująco obserwowany z drogi do wyrzutni. Statek spoczywał już na platformie, z dziobem skierowanym prostopadłe ku niebu, i zdawało się, że utrzymuje równowagę na wielkich trójkątach skrzydeł. Skrzydła włączają się do akcji, gdy statek z powrotem wejdzie w atmosferę, wracając na Ziemię; na razie służyły jedynie jako podpora dla czterech olbrzymich zbiorników paliwa, podobnych do gigantycznych bomb, które zostaną odczepione natychmiast po opróżnieniu. Zbiorniki te, o kształcie opływowym, były prawie tych samych rozmiarów co kadłub statku.

Rusztowanie dźwigu stało na swoim miejscu i, wchodząc do windy, po raz pierwszy uprzytomniłem sobie, że żegnam się z Ziemią. Obok migwały metalowe ściany „Syriusza” i rozlegało się wycie silnika. Roztaczał się przede mną coraz rozleglejszy widok na lotnisko Goddarda. Dostrzegałem budynki administracji skupione na skraju płaskowyżu, wielkie magazyny materiałów pędnych, dziwaczne maszyny fabryk płynnego ozonu i lotnisko ze zwykłym szeregiem odrzutowców i helikopterów. A dalej odwieczne góry i lasy, absolutnie nie zmienione przez to wszystko, co stworzył człowiek.

Dźwig stanął bez wstrząsu i drzwi otwarły się na krótką schodnię prowadzącą na pokład „Syriusza”.

Przeszedłem przez nią i przez otwarty luk wejściowy rakiety; jaskrawy, tropikalny blask słońca zastąpiło teraz chłodne światło elektryczne w kabinie nawigacyjnej.

Pilot siedział już w fotelu, zajęty przepisowym sprawdzaniem sprzętu. Obrócił się ku mnie z serdecznym uśmiechem.

- A więc to ty jesteś ten sławny Roy Malcolm!

Dołożę wszelkich starań, żeby cię dowieźć w całości na stację. Czy jeździłeś już kiedy rakieta?

- Nie - odparłem.

- W każdym razie nie przejmuj się. To nie takie straszne, jak twierdzą niektórzy. Usiądź sobie wygodnie, zapnij pasy i postaraj się kompletnie odprężyć.

Mamy jeszcze dwadzieścia minut do startu.

Wdrapałem się na pneumatyczną leżankę, ale nie tak łatwo było się odprężyć. Właściwie nie bałem się, ale niewątpliwie byłem podniecony. Bo przecież po długich latach marzeń znalazłem się

wreszcie na pokładzie statku kosmicznego. Za parę minut wyrzuci mnie w niebo siła przewyższająca sto milionów koni mechanicznych.

Pozwoliłem oczom błądzić po kabinie. Większą część jej wyposażenia dobrze znałem z fotografii i filmów i wiedziałem, do czego służą wszystkie instrumenty.

Pulpit startowy statku kosmicznego nie jest w istocie bardzo skomplikowany, bo mnóstwo rzeczy odbywa się automatycznie.

Pilot rozmawiał właśnie przez radio z wieżą kontrolną lotniska, w ramach zwykłej procedury przed startem. Poprzez rozmowę przebijał się ciągle głos kontrolnego automatu zegarowego: „Piętnaście minut do startu... Dziesięć minut do startu... Pięć minut do startu”. Choć często słyszałem dawniej głos takiego zegara i podobne rozmowy, zawsze wzbudzały one we mnie dreszcz podniecenia. A tym razem nie oglądałem przecież programu telewizyjnego - sam brałem w tym wszystkim udział.

Wreszcie pilot powiedział: - Włączam obsługę automatyczną - i nacisnął duży czerwony przełącznik.

Potem odetchnął z ulgą, przeciągnął się i odchylił w tył. - Jakież to jest zawsze miłe uczucie - zawołał. - Nic do roboty przez całą następną godzinę!

Oczywiście nie mówił tego poważnie. Wprawdzie od tej chwili statek miały obsługiwać roboty, on musiał jednak przypilnować, żeby wszystko szło według planu.

W razie niebezpieczeństwa lub pomyłki pilota automatycznego człowiek musi znowu objąć rządy.

Statek zaczął wibrować z chwilą pierwszych obrotów pomp doprowadzających paliwo. Na ekran telewizyjny wyskoczył Skomplikowany deseń przecinających się wzajemnie linii. Przypuszczałem, że to musi mieć jakiś związek z kursem rakiety. Ustawione rzędem małe światełka zaczęły zmieniać się kolejno z czerwonych na zielone. Gdy zmienił się kolor ostatniego, pilot natychmiast zawołał do mnie:

- Uważaj! Masz leżeć zupełnie płasko!

Opadłem na leżankę i wtedy, zupełnie nagle, doznałem uczucia, jakby ktoś na mnie skoczył. W uszach mi potwornie zahuczało i miałem wrażenie, że ważę tonę.

Oddychanie wymagało wyraźnego wysiłku: nie dało się już teraz powierzyć tej czynności płucom i więcej o niej nie myśleć.

Uczucie niewygody trwało zaledwie parę sekund, a potem przywykłem do niej. Własne silniki statku jeszcze się nie włączyły - wspinaliśmy się w górę dzięki sile ciągu pomocniczych silników raketowych, które po trzydziestu sekundach miały się wypalić i odpaść, gdy już będziemy wysoko nad ziemią.

Mogłem określić ten moment po nagłym zwolnieniu ciężaru ciała. Była to tylko krótka chwila; potem w tonie huku nastąpiła ledwo uchwytna zmiana - zaczęły wybuchać nasze własne rakiety. Ich detonacje miały trwać przez następne pięć minut. Pod koniec tego okresu poszybujemy tak chyżo, że Ziemia nie zdoła już przyciągnąć nas z powrotem.

Siła ciągu obdarzała mnie teraz trzykrotnie większą wagą niż normalna. Dopóki się nie ruszałem, dopóty nie czułem specjalnej przykrości. Dla doświadczenia spróbowałem, czy uda mi się podnieść rękę. Było to męczące, ale niezbyt trudne. A jednak z ulgą opuściłem ją z powrotem. Przypuszczam, że w razie konieczności mógłbym sięść prosto, ale pozycja stojąca byłaby absolutnie niemożliwa.

Deseń kolorowych linii na ekranie telewizyjnym pozornie pozostał nie zmieniony. Ale powoli parł tam ku górze mały punkcik - sędzę, że miał wyobrażać wspinający się statek kosmiczny.

Sledziłem go w napięciu, zadając sobie pytanie, czy silniki odpalą się, gdy punkcik dojdzie do górnej krawędzi ekranu.

Zanim to nastąpiło, zaczęła się seria krótkich wybuchów i statek lekko zadrżał. Przez chwilę sądziłem zaniepokojony, że stało się coś złego. Potem dopiero zdałem sobie sprawę, że zostały odczepione puste zbiorniki. Opadały w dół i zaraz plusną w Ocean Spokojny, gdzieś na pustych jego połaciach między Tahiti a Południową Ameryką.

Wreszcie huk rakiet zaczął milknąć i znikło uczucie olbrzymiego ciężaru ciała. Statek wchodził na swą ostateczną orbitę na wysokości pięciuset mil ponad równikiem. Silniki spełniły swoje zadanie i teraz tylko ostatecznie korygowały kurs.

Po odpalę rakiet zaległa kompletna cisza. Ciągle jeszcze czułem słabe wibracje pomp paliwowych, które powracały do bezruchu, ale poza tym w małej kabynie nie rozlegał się najmniejszy dźwięk. Huk rakiet częściowo mnie ogłuszył i upłynęło parę minut, zanim zacząłem znowu słyszeć normalnie.

Pilot zakończył kontrolę instrumentów, a potem opuścił swój fotel. Płynął ku mnie w powietrzu, ja zaś wpatrywałem się w niego jak urzeczony.

- Minie jeszcze sporo czasu, zanim się do tego przyzwyczaisz - powiedział odpinając mój pas ochronny. - Trzeba pamiętać, żeby zawsze poruszać się spokojnie. I nigdy nie puszczać jednego uchwytu z ręki, dopóki nie wybierzesz sobie nowego.

Podniosłem się ostrożnie. Uczepiłem się leżanki w samą porę, aby zapobiec zrywowi do sufitu. Tylko, oczywiście, trudno było mówić w tym wypadku o suficie.

Pojęcie „dołu” i „góry” całkowicie znikło. Ciężkość przestała istnieć - wystarczyło, abym lekkim ruchem wyrzucił się do przodu, a już sunąłem tam, gdzie miałem ochotę.

Dziwna to rzecz i nawet jeszcze teraz są osoby, które nie rozumieją, na czym polega „nieważkość”, sądząc, że to ma coś wspólnego z przebywaniem „poza zasięgiem przyciągania”. To oczywiście nonsens. Na stacji kosmicznej czy przy beznapędowym locie rakiety transportowej na wysokości pięciuset mil pole siły ciężenia jest prawie tak samo potężne jak na Ziemi. Popadamy w stan nieważkości nie dlatego, że przebywamy w strefie bezgrawitacyjnej, ale dlatego, że przestaliśmy opierać się sile ciężenia. Można doznać tego uczucia nawet na Ziemi, wewnątrz swobodnie spadającej windy, tak długo jak ten spadek trwa. Krążąca stacja kosmiczna czy rakietka znajduje się w stanie zbliżonym do ciągłego spadania, które może trwać wiecznie, gdyż nie jest skierowane ku Ziemi, a dookoła niej.

- A teraz uwaga! - ostrzegł mnie pilot. - Nie uśmiecha mi się wcale perspektywa, że rozbijesz sobie łeb o moją tablicę przyrządów! Jeśli masz ochotę wyrzeć przez okno, uczep się tego paska.

Posłuchałem go i zerknąłem na zewnątrz przez małe okienko - od nicości dzieliła mnie teraz jedynie gruba warstwa masy plastycznej.

Zdaję sobie sprawę, że po tylu filmach i po tylu fotografiach wszyscy już wiedzą, jak wygląda Ziemia widziana z kosmosu. Nie będę się więc niepotrzebnie nad tym rozwodził. Co prawda, niewiele mogłem zobaczyć, bo moje pole widzenia całkowicie nieomal wypełniał Ocean Spokojny. Poda mną rozciągał się zdumiewająco głęboki lazur, przechodzący w miękki, mglisty błękit na granicy widzialności. Zapytałem pilota, w jakiej odległości jest horyzont.

- Około dwóch tysięcy mil - odparł. - Widzi się prawie cały obszar aż do Nowej Zelandii i Hawaj. Niezły widoczek, co?

Teraz, gdy już przywykłem do tej ogromnej skali, udało mi się odróżnić niektóre wyspy na Pacyfiku; przy wielu uwydatniały się wyraźnie rafy koralowe.

Hen, daleko, w stronie, którą uznałem za zachód, barwa oceanu zmieniała się raptownie



z niebieskiej na jaskrawozieloną. Zorientowałem się, że to olbrzymie farmy morskie, które żywią kontynent azjatycki i obecnie zajmują znaczną powierzchnię oceanów w strefach tropikalnych.

Wybrzeże Ameryki Południowej wyrosło pod nami akurat w chwili, gdy pilot zaczął przygotowywać się do lądowania na Stacji Wewnętrznej. (Wiem, że słowo „lądowanie” brzmi dziwnie, ale na ogół używa się tego terminu. W przestrzeni kosmicznej niejedno zwyczajne słowo ma całkiem inne znaczenie.) Ciągle jeszcze tkwiłem przy iluminatorze, ale teraz otrzymałem rozkaz powrotu na miejsce, żeby uniknąć koziołkowania po kabinie w trakcie końcowych ewolucji statku.

Ekran telewizyjny stanowił obecnie czarny prostokąt z małą gwiazdą świecąca prawie na środku. Od stacji dzieliło nas około stu mil, ale doganialiśmy ją powoli. Obie gwiazdki jarzyły się coraz mocniej i coraz dalej odsuwały od siebie; tu i ówdzie pojawiły się obok nich dodatkowe blade satelity. Wiedziałem, że patrzę na statki kosmiczne, chwilowo „w dokach”, które pobierają paliwo lub podlegają naprawie.

Nagle jedno z tych bladych światełek rozbłysło jaskrawo. Sto mil przed nami jakiś statek z tej flotylli zapuścił silniki i oddalał się. Zapytałem pilota, co to za jeden.

- Pewnie „Alfa Centaura” w drodze na Wenus odparł. - To wspaniały staruch, ale doprawdy najwyższy czas, żeby poszedł na emeryturę. Teraz jednak pozwól mi zająć się nawigacją. To jest właśnie praca, której nie może wykonać automatyczny pilot.

Zaczęliśmy puszczać w ruch hamulce w odległości zaledwie paru mil od Stacji Wewnętrznej. Od strony nosa, od dysz rozległ się przeraźliwy gwizd i na chwilę powróciło, chociaż w słabym stopniu, poczucie ciężkości.

Trwało jedynie parę sekund. A potem zrównaliśmy prędkość ze stacją i przyłączyliśmy się do innych jej satelitów.

Nie omieszkałem poprosić pilota o pozwolenie, zanim zszedłem z leżanki i znowu zbliżyłem się do okna.

Ziemia znajdowała się teraz po drugiej stronie statku, a przed sobą miałem gwiazdy i stacją kosmiczną.

Widok był tak oszałamiający, że patrzyłem przez całą minutę, zanim się w tym wszystkim rozeznałem. I teraz dopiero zrozumiałem cel testu na orientację, któremu poddali mnie lekarze.

Zupełny chaos - to była Stacja Wewnętrzna na pierwszy rzut oka. W odległości mniej więcej mili przed nami unosiła się w przestrzeni olbrzymia ażurowa konstrukcja kratownicowa o kształcie płaskiej tarczy, złożona z pajęczych dźwigarów. Na jej powierzchni wyrastały gdzieniegdzie kuliste budynki różnych rozmiarów, połączone ze sobą rurami o takiej szerokości, że mogły stanowić przejście dla ludzi. Największa kula, popstrzona otworami luków i dziesiątkami anten radiowych sterujących we wszystkich kierunkach, leżała w samym środku tarczy.

W różnych punktach przywarło do niej kilka statków kosmicznych; niektóre były prawie całkowicie rozebrane. Uderzyło mnie ich ogromne podobieństwo do much schwytych w pajęczynę. Na pokładzie pracowali robotnicy w skafandrach i czasami oślepił mnie blask palnika spawalniczego.

Inne statki unosiły się swobodnie w przestrzeni naokoło stacji; nie mogłem dostrzec wśród nich jakiegoś celowego układu. Niektóre - skrzydlate pojazdy o kształcie opływowym - przypominały naszego „Syriusza”. Inne były to prawdziwe statki kosmiczne - zmontowane tutaj, poza atmosferą, i przeznaczone do przewożenia ładunków ze świata do świata bez lądowania na żadnej planecie. Te niesamowite, wątle konstrukcje składały się zwykle z kulistej kabiny ciśnieniowej dla załogi i pasażerów i obszerniejszych od niej zbiorników na materiały pędne. Tutaj oczywiście nie istniała linia opływowa: kabiny, cysterny z paliwem i silniki po prostu połączone ze sobą cienkimi prętami.

Ich widok przypomniiał mi od razu stare ilustrowane czasopisma, które kiedyś przeglądałem, zawierające wyobrażenia naszych dziadków o statkach kosmicznych. Były to smukłe, gładkie pociski zaopatrzone w stateczniki i podobne raczej do bomb. Autorzy tych rysunków doznaliby wstrząsu w zetknięciu z rzeczywistością: prawdopodobnie nawet nie byłoby w ogóle uznali tych dziwacznych przedmiotów za statki kosmiczne.

Rozważałem właśnie zagadnienie, w jaki sposób dostaniemy się na pokład stacji, kiedy nagle coś wtargnęło w moje pole widzenia. Był to mały zasobnik w kształcie walca, akurat takich rozmiarów, aby pomieścić jednego człowieka, i w istocie siedział tam człowiek dostrzegając jego głowę przez szyby z masy plastycznej na jednym końcu aparatu. Z kadłuba maszyny wystawały długie, złożone ramiona, a z tyłu wlokła się cienka lina. Zdołałem tylko rozróżnić niewyraźną mgiełką strumienia gazów silniczka raketowego, który poruszał ten miniaturowy pojazd kosmiczny.

Człowiek z obsługi musiał zauważyć, że na niego patrzę, bo przy mijaniu nas przesłał mi uśmiech.

W chwilę potem w kadłubie naszego statku rozległo się niepokojące „bum”. Pilot roześmiał się widząc, że mam naprawdę Stracha.

- To tylko sprzęga się linę holowniczą. Lina jest magnetyczna, trzeba ci wiedzieć. Za chwilę ruszymy.

Dało się odczuć niezmiernie słabe szarpnięcie i nasz statek zaczął powoli wirować, aż stanął równoległe do wielkiej tarczy stacji. Linę przywiązano na śródkręciu i stacja holowała nas teraz, tak jak wędkarz wyciąga na brzeg rybę. Pilot nacisnął guzik na pulpicie sterowym i natychmiast zajęczały silniki: wypuściliśmy podwozie. Tego nikt by się nie spodziewał w kosmosie, ale sam pomysł był rozsądny. Amortyzatory wstrząsów doskonale nadawały się do tego, aby złagodzić niewielkie zderzenie ze stacją.

Wciągano nas tak wolno, że ta króciutka podróż zajęła prawie dziesięć minut. Wreszcie nastąpił lekki wstrząs w momencie „przyziemienia” i koniec podróży.

- Mam nadzieję - powiedział ze śmiechem pilot że zadowolony jesteś z przejażdżki. A może byłbyś wolał coś ekstra?

Spojrzałem na niego nieufnie, nie będąc pewny, czy się czasem ze mnie nie nabija.

- Dziękuję bardzo, rozmaitości miałem wystarczającą ilość. Czym więcej mógł mnie pan jeszcze uczestnować?

- A co byś powiedział na parę meteorów, napaść piratów, inwazję ze strefy pozaatmosferycznej lub coś z tych rzeczy, o których czytałeś w czasopiśmie rozrywkowych?

- Ja czytam tylko poważne książki, takie jak „Wstęp do astronautyki” Richardsona albo „Nowoczesne statki” Maxwella. Nie czytam powieści w odcinkach.

- Nie wierzę - odparł pilot. - W każdym razie ja je czytam i głowę daję, że ty robisz to samo. Mnie nie nabierzesz!

Miał oczywiście słuszość. Była to moja pierwsza lekcja. Cały tutejszy personel został wybrany zarówno ze względu na ogólną inteligencję, jak i wiedzę techniczną. Od razu wychodziło na jaw, jeśli ktoś nie był na poziomie.

Ciekawiło mnie teraz, w jaki sposób wyjdziemy ze statku; dobiegła właśnie od strony śluzy cała seria trzasków i zgrzytów, a wkrótce potem niepokojący syk powietrza. Gdy z wolna umilkł, luk wyjściowy otworzył się na oścież z niegłośnym cmoknięciem.

- Pamiętaj, co ci mówiłem: masz się poruszać bardzo wolno - powiedział pilot zabierając dziennik wachtowy. - Wiesz co? Najlepiej uczip się mojego pasa, a ja cię pohołuję. Zgoda?

Uderzyła mnie myśl, że w niezbyt dostojny sposób wkroczę na stację. Ale bezpieczniej było nie

ryzykować i zastosowawszy się do rady pilota minąłem giętkie ciśnieniowe połączenie dostawione do boku naszego statku. Pilot odbił się potężnym ruchem nóg i włókł mnie za sobą. Przypominało to w gruncie rzeczy naukę pływania, wskutek czego w pierwszej chwili ogarnęła mnie panika, że utonę, jeśli spróbuję oddychać.

Wkrótce znaleźliśmy się w szerokim metalowym tunelu, który - jak się domyśliłem - stanowił jedno z głównych przejść na stacji. Wzdłuż jego ścian biegły kable i rury, a od czasu do czasu mijaliśmy wielkie podwójne drzwi z czerwonymi napisami: „Wyjście zapasowe”. Wszystko to razem nie bardzo mi dodawało animuszu. W ciągu tej wędrówki spotkaliśmy tylko dwie osoby. Przemknęły koło nas z niewymuszoną lekkością, co wzbudziło moją zazdrość i skłoniło do powzięcia decyzji, że zanim stąd odjadę, osiągnę taką samą wprawę.

- Zabieram cię do komandora Doyle'a - wyjaśnił pilot. - On prowadzi tutaj szkolenie i będzie miał na ciebie oko.

- Co to za człowiek? - zapytałem z niepokojem.

- Nic się nie bój, za chwilę sam się przekonasz. No i jesteśmy na miejscu.

Zatrzymaliśmy się przed okrągłymi drzwiami z tabliczką: „Komandor R. Doyle, kierownik szkolenia.

Proszę pukać i wchodzić”.

Pilot zapukał i wszedł, ciągle holując mnie jak worek z kartoflami.

- Kapitan Jones melduje się z pasażerem, panie komandorze - powiedział i wypchnął mnie do przodu.

I wtedy dopiero zobaczyłem mężczyznę, do którego się zwracał.

Komandor Doyle siedział za najzupełniej zwyczajnym biurkiem, które raczej stanowiło niespodziankę w miejscu, gdzie żadna inna rzecz nie była zwyczajna.

On sam zaś wyglądał na boksera. Chyba nie widziałem równie potężnie zbudowanego mężczyzny. Olbrzymie ramiona zakrywały prawie cały blat biurka; ciekaw byłem, gdzie mógł znaleźć ubranie na swoją miarę, bo w barach musiał mieć więcej jak cztery stopy szerokości.

Na razie nie widziałem jego twarzy, bo schylał się nad jakimiś papierami. Potem uniósł głowę i zobaczyłem ogromną rudą brodę i parę krzaczastych brwi.

Dopiero po chwili zwróciłem uwagę na resztę twarzy.

Tak się teraz rzadko widzi prawdziwą brodę, że nie mogłem od niej oderwać oczu. Wreszcie uprzytomniłem sobie, że komandor Doyle musiał ulec jakiemuś wypadkowi, bo czoło przecinała mu na ukos blada blizna.

Wobec niesłychanej zręczności naszych chirurgów w dziedzinie operacji plastycznych, uszkodzenie musiało być bardzo poważne, jeśli blizna nie znikła.

Ogólnie biorąc, jak się zapewne domyślacie, komandor Doyle nie był zbyt przystojny. Ale jego powierzchowność niewątpliwie zadziwiała. A przecież największa niespodzianka jeszcze mnie czekała.

- A więc to jest Malcolm? - powiedział komandor Doyle miłym, spokojnym głosem, bez porównania mniej groźnym niż cały jego wygląd. - Dużo słyszeliśmy tutaj o tobie. W porządku, kapitanie. Już ja się nim teraz zajmę.

Pilot zasalutował i odpłynął z pokoju. Przez następne dziesięć minut komandor Doyle poddawał mnie szczegółowej indagacji, tworząc sobie obraz mego życia i zainteresowań. Opowiedziałem mu, że urodziłem się w Nowej Zelandii, a przez parę lat mieszkałem kolejno w Chinach, Południowej Afryce, Brazylii i Szwajcarii, bo mój ojciec, który jest dziennikarzem, przenosił się z miejsca na miejsce z racji swego zawodu. Osiedliliśmy się w Missouri, bo mama miała dosyć gór

i potrzebowała zmiany krajobrazu. W przeciwieństwie do innych rodzin nie podróżowaliśmy wiele i nie zwiedziłem nawet połowy miejscowości, gdzie byli wszyscy nasi sąsiedzi. To może wpłynęło na moje marzenia o podróży kosmicznej.

Gdy komandor Doyle skończył notować to, co mówiłem, z dodatkiem licznych swoich uwag (wiele bym dał, żeby je przeczytać!), odłożył staroświeckie wieczne pióro i przyglądał mi się przez chwilę, jak gdyby miał przed sobą osobliwe zwierzę. Zamyślony bębnił olbrzymimi palcami po stole; odnosiło się wrażenie, że bez trudu mógłby nimi przedziurawić materiał, z którego stół był zrobiony. Trochę się bałem i pogorszyłem jeszcze sytuację oddalając się od podłogi i unosząc bezradnie na pół drogi do sufitu. W żaden sposób nie mogłem nigdzie dofrunąć, chyba żebym się ośmieszył próbując pływać, co zresztą niekoniecznie odniosłoby pożądaną skuteczną. Komandor parsknął i cała twarz zmarszczyła mu się w szerokim uśmiechu.

- Sądzę, że to może być całkiem zabawne - powiedział. Gdy jeszcze ciągle zastanawiałem się, czy mogę się zdobyć na śmiałość i zapytać dlaczego, on mówił dalej, rzuciwszy okiem na jakieś wykazy wiszące za nim na ścianie.

- Lekcje popołudniowe właśnie się skończyły. Zaprowadzę cię tam, żebyś się zapoznał z kolegami.

Potem chwycił długą metalową rurę, która widocznie leżała pod biurkiem, i jednym zrywem potężnego lewego ramienia wyrzucił się z krzesła.

Ruch ten był tak szybki, że zupełnie zbaraniałem.

A za chwilę z trudem powstrzymałem okrzyk zdumienia. Bo gdy komandor Doyle wysunął się zza biurka, spostrzegłem, że nie ma nóg.

Po przeniesieniu się do nowej szkoły czy do nieznanego dzielnicy następuje zawsze chaotyczny okres wypełniony tyłoma nowymi wrażeniami, że później trudno go sobie dokładnie odtworzyć. Podobnie wyglądał mój pierwszy dzień na stacji kosmicznej. Nigdy przedtem nie przydarzyło mi się takie mnóstwo rzeczy w tak krótkim czasie. Nie tylko zetknąłem się z wieloma nowymi ludźmi - musiałem również nauczyć się na nowo żyć.

Z początku czułem się bezradny jak niemowlę. Nie byłem w stanie obliczyć wysiłku potrzebnego na jakiegokolwiek poruszenie. Chociaż waga znikła, pęd został. Wprawienie czegoś w ruch wymagało siły, a jeszcze więcej zużywało się jej na zatrzymanie tego ruchu.

I tu wkraczały na scenę miotły.

Wymyślił je komandor Doyle, a nazwa pochodziła naturalnie od dawnych wierzeń, że w zamierzonych czasach na miotłach jeździły czarownice. Na stacji faktycznie jeździliśmy na miotłach. Składały się one z dwóch pustych w środku rur zatkniętych jedna w drugą i złączonych mocną sprężyną. Jedna rura kończyła się haczykiem, druga zaś szeroką gumową poduszczką. To było wszystko. Jeśli chciałeś wykonać jakiś ruch, musiałeś oprzeć poduszczkę o najbliższą ścianę i odepchnąć się. Odbicie wyrzucało cię w powietrze, a dopływając do miejsca przeznaczenia pozwalałeś sprężynie amortyzować szybkość i zatrzymywałeś się. Każda próba zatrzymania się za pomocą gołych rąk łatwo mogła się skończyć złamaniem ich w przegubach.

Wszystko razem bynajmniej nie było tak łatwe, jak to brzmi w opowiadaniu, bo bez należytej uwagi jak nic mógł nastąpić odskok z powrotem do miejsca startu.

Jakiemu wypadkowi uległ komandor, dowiedziałem się dużo później. Blizna pochodziła ze zwykłej katastrofy samochodowej z czasów jego młodości, natomiast osobną historię stanowił drugi, poważniejszy wypadek, który się zdarzył podczas pierwszej wyprawy komandora na planetę Merkury. Był on podobno dobrym sportowcem i utrata nóg musiała stanowić dla niego jeszcze dotkliwszy cios niż dla przeciętnych ludzi.

Powód jego przybycia na stację kosmiczną wydawał się oczywisty: było to jedyne miejsce, gdzie nie odczuwał kalectwa. Dzięki potężnie rozwiniętym ramionom był chyba najzręczniejszym mężczyzną na stacji. Mieszkał tu już od dziesięciu lat i nie zamierzał wracać na Ziemię, gdzie znowu czułby się bezradny. Nigdy nawet nie wyjeżdżał na inne stacje kosmiczne, jeśli działała tam siła ciężenia, i nikt nie był na tyle nietaktowny i niemądry, żeby namawiać go na taką podróż.

Na Stacji Wewnętrznej przebywało około stu osób, a wśród nich dziesięciu praktykantów o parę lat starszych ode mnie. Z początku trochę nie poszło im w smak, że się koło nich kręcę, ale od czasu bójki z Ronnie Jordanem wszystko ułożyło się gładko i przyjęli mnie do swego grona. O bójce opowiem później.

Najstarszym praktykantem był Tim Benton, wysoki, spokojny Kanadyjczyk. Nie mówił wiele, ale gdy raz się odezwał - wszyscy słuchali. To właśnie Tim nauczył mnie o miejscowych zwyczajach, gdy zostałem mu przekazany przez komandora Doyle'a z paroma słowami wyjaśnienia.

- Przypuszczam, że wiesz, co tutaj robimy? - zapytał z powątpiewaniem, gdy zostaliśmy sami.
- Tankujecie statki kosmiczne w drodze z Ziemi i przeprowadzacie naprawy i przeglądy.
- Owszem, to jest nasze główne zadanie. Dalej położone stacje mają wiele innych obowiązków, ale w tej chwili nie masz co zaprzętać sobie tym głowy. Jest natomiast jedno ważne zagadnienie, które chciałbym ci wyjaśnić od razu. Otóż ta nasza Stacja Wewnętrzna w istocie składa się z dwóch części odległych od siebie o parę mil. Chodź ze mną, wszystko ci zaraz pokażę.

Popchnął mnie do luku i wyjrzałem na zewnątrz. Na tle gwiazd, zda się tak bliskich, że można by ich dotknąć wyciągniętą ręką, wisiało coś, co wyglądało na olbrzymie koło zamachowe. Obracało się z wolna dokoła swojej osi, a w czasie obrotów mogłem dostrzec migotanie światła słonecznego na lukach obserwacyjnych. Mimo woli narzuciło mi się porównanie jego gładkiej, zwartej powierzchni z wiotką, ażurową konstrukcją stacji, gdzie stałem, a raczej gdzie unosiłem się swobodnie. Olbrzymie koło miało oś, bo ze środka sterczał długi, wąski walec zakończony osobliwą rzeczą, której celu nie mogłem odgadnąć. Obok powoli manewrował jakiś statek kosmiczny.

- To jest Stacja Mieszkalna - powiedział Benton z dezaprobatą. - Hotel i tyle. Zauważyłeś pewnie, że wiruje. Z tej racji na krawędzi posiada normalne ziemskie ciężenie wskutek siły odśrodkowej. Rzadko tam chodzimy. Skoro raz człowiek przyzwyczai się do nieważkości, ciężenie tylko przeszkadza. Natomiast wszyscy pasażerowie z Marsa i Księżyca muszą się tam przesiadać. Po pobycie w dużo słabszym polu siły ciężenia powrót wprost na Ziemię byłby dla nich niebezpieczny, a Stacja Mieszkalna ma warunki sprzyjające aklimatyzacji. Lądują oni na środku, gdzie nie ma ciężenia, i powoli posuwają się ku krawędzi, gdzie działa normalna ziemska grawitacja.

- Ale w jaki sposób lądują, skoro cały ten interes wiruje? - zapytałem.
- Widzisz ten statek, który się właśnie ustawia?

Przypatrując się uważnie, spostrzeżesz, że oś stacji nie wiruje. Porusza ją silnik w przeciwnym kierunku niż wirowanie stacji, więc w rzeczywistości stoi ona nieruchomo w przestrzeni. Statek może tam przycumować i przekazać pasażerów. Sprzęgło może swobodnie wirować i skoro tylko oś się rozrusza, aby zrównać prędkość ze stacją, pasażerowie mogą wysiąść.

Brzmi to zawile, ale działa sprawnie. I czyż można wymyślić lepszy sposób?

- Czy będę miał okazję zwiedzenia Stacji Mieszkalnej? - zapytałem.
- Może się to i da zrobić, chociaż nie widzę celu.

Z takim samym skutkiem mógłbyś wrócić na Ziemię.

I takie, w istocie, jest założenie tej stacji.

Nie nalegałem i dopiero pod sam koniec pobytu nadarzyła mi się sposobność obejrzenia Stacji Mieszkalnej.

Oprowadzanie mnie musiało być okropną piłą, bo przez cały czas Tim musiał mnie albo popychać, albo ciągnąć, aż do chwili kiedy „stanąłem” na własnych nogach kosmicznych. Parę razy Tim ledwo mnie ocalił, gdy puściłem się ze zbyt wielkim rozpędem i o mało nie rąbnąłem głową w jakąś przeszkodę. Okazał wiele cierpliwości, a ja w końcu odgadłem, na czym polega cały dowcip, i względnie swobodnie mogłem poruszać się, gdzie chciałem.

Uplłynęło kilka dni, zanim zorientowałem się w olbrzymim labiryncie połączonych z sobą korytarzy i kabin ciśnieniowych, z których składała się Stacja Wewnętrzna. W czasie tej pierwszej wycieczki z Timem dokonałem jedynie szybkiego przeglądu warsztatów, sprzętu radiowego, siłowni, urządzeń klimatyzacyjnych, sypialni, magazynów i obserwatorium.

Chwilami trudno było uwierzyć, że wszystko to zostało dowiezione w przestrzeń kosmiczną i zmontowane pięćset mil ponad Ziemią. Nie wiedziałem jeszcze i to dopiero Benton wspomniał mi o tym mimochodem - że właściwie większość materiałów sprowadzono z Księżyca. Dzięki słabej sile ciężenia na Księżycu, o wiele oszczędniej kalkuluje się sprowadzanie stamtąd sprzętu, chociaż Ziemia znajduje się o tyle bliżej.

Moja pierwsza inspekcja zakończyła się wewnątrz jednej ze śluz. Przed nami tkwiły olbrzymie koliste drzwi, ściśle przywierające na gumowych uszczelkach, które prowadziły w pustkę kosmiczną. Naokoło wisały na ścianach skafandry, wzbudzając moją pożądlivość.

Zawsze marzyłem, aby przywdziać taki strój i stać się małym, osobnym światem.

- Jak myślisz - zapytałem Tima - czy w czasie mego pobytu tutaj trafi mi się okazja włożenia takiego skafandra?

Tim zastanowił się, a potem rzucił okiem na zegarek.

- Jeszcze mam pół godziny wolnego czasu i powinienem zabrać coś, co zostawiłem na krawędzi stacji.

Pójdziemy tam.

- Ale czy... - zatknęło mnie i nagle mój zapal przygasł. - Czy to bezpiecznie? Czy nie trzeba solidnej zaprawy, żeby używać takich skafandrów?

Tim spojrzał na mnie nieporuszony.

- Chyba się nie boisz, co?

- Oczywiście, że nie.

- No to jazda.

Odpowiedź na swoje pytanie otrzymałem w chwili, gdy Tim pokazywał mi, jak się kładzie skafander kosmiczny.

- To prawda, że trzeba porządnej wprawy, zanim potrafisz się z nim obchodzić. I ani myślę pozwolić ci na jakieś eksperymenty. Będziesz siedział w środku i leciał ze mną tak samo bezpieczny jak teraz, dopóki nie zaczniesz manipulować przyrządami sterowniczymi. Dla pewności od razu je zamknę.

Trochę mnie to dotknęło, ale nie odezwałem się.

Ostatecznie w tym wypadku Tim rządził, a nie ja.

U większości ludzi słowa „kombinezon kosmiczny” wywołują obraz czegoś na podobieństwo skafandra używanego przez nurków, w którym można chodzić i posługiwać się rękami. Tego rodzaju skafandrów, rzecz jasna, używa się na przykład na Księżycu. Ale na stacji kosmicznej, gdzie nie ma siły ciężenia, nogi i tak nie mają zastosowania, bo na zewnątrz trzeba się poruszać za pomocą silniczków raketowych.

Z tego właśnie powodu dolna część skafandra kosmicznego stanowi po prostu sztywny walec. Gdy wlałem weń, nóg mogłem używać tylko do naciskania pedałów sterowych, czego pilnie się

wystrzegalem.

Znajdował się tam jeszcze mały fotel, a przezroczysta kopuła ponad górną częścią cylindra zapewniała dobrą widoczność. Rękami i ramionami mogłem się posługiwać. Pod samą brodą miałem małą, idealnie porządną pulpity sterowy z miniaturową klawiaturą i paroma przyrządami pomiarowymi. Jeślibym chciał ująć rękami coś, co leżało na zewnątrz, mogłem je wysunąć przez giętkie rękawy zakończone rękawicami, które, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądały niezdarnie, pozwalały jednak dokonywać dość delikatnych manipulacji.

Tim włączył parę przekładni na moim skafandrze i zaciągnął mi nad głowę przezroczystą kopułę. Miałem wrażenie, że znajduję się w trumnie z widokiem na zewnątrz. Wreszcie Tim wybrał skafander dla siebie i przytwierdził go do mojego za pomocą cienkiej linki nylonowej.

Wewnętrzne drzwi śluzy zatrzęsły się za nami z głuchym łoskotem i doszła do mnie wibracja pomp, które z powrotem wprowadzały powietrze do wnętrza stacji. Rękawy mego ubrania zaczęły lekko sztywnieć.

Tim zawołał do mnie głosem zniekształconym wskutek przejścia przez nasze hełmy.

- Na razie nie włączam radia. Jeszcze powinieneś mnie słyszeć. Uważaj teraz! Próba! Raz. Dwa. Trzy.

Cztery. Pięć...

Gdzieś przy pięciu głos Tima zaczął zanikać. Gdy doszedł do dziesięciu, nie słyszałem absolutnie nic, chociaż ciągle widziałem ruchy jego warg. Koło nas znajdowało się już za mało powietrza, żeby przenosić dźwięki. Zapadła naprawdę niesamowita cisza i z ulgą powitałem słowa, które dotarły teraz do mnie przez głośnik zainstalowany w skafandrze.

- Otwieram luk wyjściowy - mówił Tim. - Nie ruszaj się wcale. Ja zrobię wszystko, co potrzeba.

Wśród głuchej ciszy olbrzymie drzwi powoli uchyliły się do wewnątrz. Teraz unosiłem się swobodnie, a gdy resztki powietrza rozwiały się w przestrzeni, poczułem lekkie szarpnięcie. Przedemną widniał krąg gwiazd i z jednej strony mignęła mi zamglona obręcz Ziemi.

- Gotowy? - zapytał Tim.

- Tak - odparłem w nadziei, że mikrofon nie zdradzi mojego zdenerwowania.

Odczułem szarpnięcie liny holowniczej, gdy Tim włączył swój silnik, i wypłynęliśmy ze śluzy. Było to wprost przerażające wrażenie, ale nie wyrzekłbym się go za nic w świecie. Chociaż pojęcia „góry” i „dołu” nie miały tutaj, oczywiście, żadnego znaczenia, wydało mi się, jak gdybyśmy wysuwali się z otworu w wielkim metalowym wale, z Ziemią leżącą niezmiernie daleko pod nami. Rozum mi mówił, że jestem najzupełniej bezpieczny, ale wszystko, co było we mnie instynktem, wprost krzychało: „Spadniesz z pieca na łeb z wysokości pięciuset mil!”

Rzeczywiście trudno było nie myśleć o Ziemi jako leżącej „w dole”, skoro wypełniała ona pół nieba.

W tej chwili znajdowaliśmy się w blasku słońca, szybując ponad Afryką. Dostrzegłem Jezioro Wiktorii i olbrzymie puszcze na terenie Konga. Co też pomyśleliby Livingstone i Stanley - zastanawiałem się - gdyby wiedzieli, że nadejdzie dzień, kiedy ludzie będą mknęli nad Czarnym Kontynentem z szybkością osiemnastu tysięcy mil na godzinę? A od czasów, w jakich żyli ci wielcy podróżnicy, minęło zaledwie dwieście lat! Były to jednak dwa stulecia wypełnione po brzegi...

Widok Ziemi fascynował mnie wprawdzie, ale i przyprawiał o zawrót głowy, więc wykręciłem się w skafandrze, żeby obserwować stację. Tim odholował mnie dość daleko i znajdowaliśmy się nieomal poza nią, w pierścieniu unoszących się w przestrzeni statków kosmicznych. Usiłowałem zapomnieć o Ziemi i teraz, gdy już jej nie miałem przed oczami, naturalną kolejną rzeczą stacja

wydawała mi się być „w dole”.

I to jest cały dowcip, który koniecznie należy opanować w kosmosie. W głowie ci się zrobi straszliwy bigos, jeżeli nie wmówisz w siebie, że coś jest w dole.

Cała rzecz w tym, żeby wybrać najdogodniejszy kierunek, w zależności od tego, co się w danej chwili robi.

Tim nadał nam dostateczną szybkość, aby ta mała podróż nie zabrała za wiele czasu, więc teraz wyłączył silniki i pokazywał mi różne widoki, w miarę jak posuwaliśmy się coraz dalej. Widok z lotu ptaka na stację dopełniał obrazu, który wytworzyłem sobie w czasie zwiedzania jej wnętrza. Czulem, że naprawdę zapoznaje się z nowym otoczeniem.

Zewnętrzna krawędź stacji składała się po prostu z płaskiej, azurowej sieci dźwigarów wystających w przestrzeń. Tu i ówdzie tkwiły olbrzymie zasobniki, warsztaty z normalnym ciśnieniem, na tyle obszerne, aby pomieścić dwóch lub trzech ludzi, przeznaczone do robót, których nie można wykonywać w próżni.

Przy krawędzi stacji unosił się statek kosmiczny, ze zdjętą większą częścią opancerzenia, a zabezpieczony przed podryfowaniem w przestrzeń za pomocą paru linek, które na Ziemi zaledwie przytrzymałyby człowieka. Na kadłubie pracowało kilku mechaników w skafandrach podobnych do naszych. Chętnie podsłuchałbym ich rozmowę i dowiedziałbym się, co robią, ale ich aparaty radiowe pracowały na innej długości fali.

- Na chwilę cię tutaj zostawię - powiedział Tira odwiązując linkę holowniczą i zaczepiając ją o najbliższy dźwigar. - Nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Unosząc się jak balon na uwięzi, miałem na pewno głupią minę i całe szczęście, że nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dla zabicia czasu manipulowałem palcami poprzez rękawice mego skafandra i bezskutecznie usiłowałem zawiązać prosty węzeł na lince holowniczej. Przekonałem się później, że można tego dokonać, ale po długich ćwiczeniach. Mężczyźni na statku posługiwali się zręcznie narzędziami mimo niezdarnych rękawic.

Nagle zaczęło się ściemniać. Do tej chwili całą stację i statki unoszące się obok zalewał jaskrawy blask Słońca, tak mocny, że bałem się na nie popatrzeć. Ale teraz Słońce przesunęło się za Ziemię w momencie, gdy przeprawiliśmy się na nocną stronę planety. Odwróciłem głowę i zobaczyłem widok tak wspaniały, że mnie zupełnie zatknęło. Ziemia wyglądała jak olbrzymia czarna tarcza; zaćmiła światło gwiazd, ale wzdłuż jednej jej krawędzi biegł jeszcze olśniewający półksiężyc złotej poświaty, która gaśła wprost w oczach.

Patrzałem za siebie na linię zachodu Słońca, rozciągniętą na przestrzeni tysiąca mil w poprzek Afryki.

W środku widniała przepyszna złota aureola, a cienki klin Słońca, również jeszcze widoczny, malał i znikał; karmazynowe resztki zachodu szybko kurczyły się wzdłuż horyzontu i w końcu także znikły. Całe to widowisko nie trwało dłużej niż dwie minuty i robotnicy zajęci koło mnie wcale nie zwrócili na nie uwagi.

Ostatecznie człowiek przyzwyczaja się po pewnym czasie nawet do najwspanialszych widoków, a wskutek szybkich obrotów stacji zachód Słońca obserwowano się tutaj co sto minut.

Nie ściemniło się jeszcze zupełnie, bo Księżyc był w pierwszej kwadrze, chociaż nie wydawał się ani jaśniejszy, ani bliższy niż oglądany z Ziemi. A że na niebie było aż tłoczno od milionów gwiazd, które tu świeciły bez najlżejszego mrugania, nie mogłem się nadziwić, że w ogóle mówi się o „ciemnościach” kosmosu.

Tak się zająłem wypatrywaniem - wprawdzie bezskutecznym - innych planet, że nie zauważyłem powrotu Tima, dopóki nie poczułem szarpnięcia liny holowniczej. Powoli zawróciliśmy ku



środkowej części stacji w takiej ciszy, że wydawała się czymś nierealnym.

Zamknąłem na chwilę oczy, ale gdy je otworzyłem, sceneria wcale się nie zmieniła. Znowu się ukazała wielka, czarna tarcza Ziemi - niezupełnie jednak czarna, bo mogłem dostrzec oceany lśniące w świetle Księżyca. Ze smukłych dźwigarów wokół mnie poświata księżycowa wydobywała blask podobny do nitek jakiejś nieziemskiej pajęczyny przyprószonej miriadami gwiazd.

I właśnie w tej chwili poczułem, że nareszcie jestem w kosmosie i odtąd inne rzeczy na świecie nigdy nie będą miały dla mnie takiego samego znaczenia jak dawniej.

### 3. Jutrzenka

- A czy wiesz, co nas najbardziej nękało na Stacji Numer Cztery? - zapytał Norman Powell.

- Nie - odparłem sądząc, że oczekuje po mnie takiej właśnie odpowiedzi.

- Myszy! - zawołał uroczyście Norman. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale kilka myszy umknęło z laboratoriów biologicznych i zanim zdążyliśmy się zorientować, zaroilo się od nich na całej stacji.

- Nie wierzę w ani jedno słowo tej gadki - przerwał Ronnie Jordan.

- Myszy były takie małeńkie, że udało im się przedostać do wszystkich szybów wentylacyjnych - ciągnął Norman, wcale nie zbity z tropu. - Gdziekolwiek przyłożyło się ucho do ściany, rozlegało się wesolutkie mysie tuptanie. Nie potrzebowały drążyć dziur - w każdym pokoju znajdowało się pół tuzina gotowych otworów.

Można się domyślić, jak się obeszły z wentylacją! Ale ostatecznie daliśmy sobie z nimi radę. A wiesz jak?

- Pożyczyliście parę kotów?

Norman rzucił Ronniemu spojrzenie pełne wzgardy.

- Próbowaliśmy i tego sposobu, ale koty nie lubują się w stanie nieważkości. Były do niczego: myszy śmiały im się w nos. No i uciekliśmy się do sów.

Szkoda, że nie widziałeś naszych sów w locie. Skrzydła ich działały oczywiście tak jak normalnie i ptaki wyczyniały nimi fantastyczne rzeczy. W parę miesięcy sowy załatwiły się z myszami.

Norman westchnął.

- Potem jednak wyłonił się problem, w jaki sposób pozbyć się sów. Otóż...

Nigdy nie dowiedziałem się dalszego ciągu, bo reszta bandy zdecydowała, że mają po dziurki od nosa nieprawdopodobnych opowieści Normana. Wszyscy rzucili się na niego jednocześnie i Norman znikł w masie wirujących ciał, które z wraskiem unosiły się po kabinie. Tylko Tim Benton nigdy nie brał udziału w tych wulgarnych bójkach i teraz również cicho siedział nad książką, co zresztą wszyscy inni powinni byli robić o tej porze.

Praktykanci zbierali się codziennie w klasie, aby wysłuchać wykładu komandora Doyle'a lub innego oficera technicznego ze stacji. Komandor dał mi do zrozumienia, że powinienem uczęszczać na te wykłady, a taka wzmianka w jego ustach niewiele różniła się od rozkazu. Jego zdaniem mogłem dowiedzieć się z wykładów różnych pożytecznych rzeczy i miał rację.

Chociaż rozumiałem zaledwie czwartą część tego, co mówiono, a resztę czasu spędzałem na czytaniu jakiejś książki z miejscowej biblioteki złożonej z tomów o ultralekkiej wadze.

Po wykładach następował półgodzinny okres samodzielnej nauki i od czasu do czasu rzeczywiście trochę się wtedy uczono. Przerwy te więcej mi przynosiły korzyści niż lekcje, bo chłopcy nieustannie rozprawiali o swoich zajęciach i o tym, co widzieli w przestrzeni.

Niektórzy z nich mieszkali tutaj od dwóch lat i tylko parę razy na krótko odwiedzili Ziemię.

Wiele opowieści, jakimi mnie raczyli, odznaczało się, że tak powiem, lekką przesadą. Norman Powell, nasz rekordzista od kawałów, zawsze usiłował mnie nabierać. Początkowo łapałem się na niektóre jego historyjki, ale z czasem nauczyłem się ostrożności.

Dowiedziałem się również o paru ciekawych kawałach i figlach, które można płać w kosmosie. Do jednego z najlepszych wystarczała zwykła zapałka. Pewnego popołudnia, gdy wszyscy byliśmy w klasie, Nonnan nagle zwrócił się do mnie z zapytaniem:

- Czy wiesz, jak poddać próbie powietrze, żeby stwierdzić, czy się nadaje do oddychania?

- Jeśli się nie nadaje, chyba każdy to szybko stwierdzi - odparłem.

- Nic podobnego. Może zwalić cię z nóg tak szybko, że nie zdążysz nic na to poradzić. Ale istnieje bardzo prosty sposób, używany na Ziemi od wieków w kopalniach i jaskiniach. Po prostu niesiesz przed sobą płomień i jeśli zgaśnie, jakby go kto zdmuchnął - bierzesz nogi za pas i też znikasz, jakby cię kto zdmuchnął.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął pudełko zapalek.

Zdziwiłem się nieco na widok czegoś równie staroświeckiego tu, na stacji.

- Tutaj oczywiście będzie się palić jak należy. Ale zgasłaby natychmiast, gdyby powietrze było złe.

Od niechcienia potarł zapalną o pudełko. Główką otoczył płomyk i pochyliłem się, żeby mu się przyjrzeć z bliska. Był to bardzo dziwny płomień, nie wydłużony i spiczasty, ale kulisty. W moich oczach skurczył się i znikł.

Jakże osobliwie działa nasz mózg! Chociaż do tej pory oddychałem swobodnie, teraz zrobiło mi się duszno. Spojrzałem na Normana i powiedziałem z rozdrażnieniem:

- Spróbuj jeszcze raz. Coś musiało być nie w porządku z zapalną.

Norman posłusznie zapalił drugą, która zgasła równie szybko jak pierwsza.

- Wyjdźmy stąd - powiedziałem, z trudem łapiąc powietrze. - Widocznie zapchał się wentylator.

I wtedy dopiero zauważyłem, że inni chłopcy pękają ze śmiechu.

- Nie poddawaj się panice, Roy - odezwał się Tim. - Odpowiedź jest bardzo prosta. - Odebrał Normanowi pudełko zapalek i ciągnął: - Powietrze jest w zupełnym porządku. Ale jeśli się zastanowisz, to zaraz zrozumiesz, że płomień nie może się tutaj palić. Skoro nie ma siły ciężkości, dym się nie wydziela i ogień po prostu sam się zadusza. Popatrz, to jedyny sposób, aby się palił!

Tim potarł nową zapalną, ale zamiast trzymać ją nieruchomo, wymachiwał nią powoli w powietrzu. Zostawiała za sobą smugę dymu i paliła się równomiernie, prawie do końca.

- Zapalną przez cały czas wchodziła w świeże powietrze - ciągnął Tim - płomienia więc nie zdużyły wydzielające się gazy. Ale jeśli sądzisz, że to zabawny żarcik bez praktycznego znaczenia, grubo się mylisz.

Oznacza to, że powietrze na stacji musi być utrzymywane w ciągłym ruchu, bowiem w przeciwnym razie wykończylibyśmy się jak ten płomień. A teraz, Norman, skoro już uraczyłeś nas swoim kawałem, otwórzże wentylatory!

Żart nie żart - lekcja była bardzo pożyteczna, ale umocniła jeszcze moje postanowienie, że któregoś dnia postaram się odegrać na Normanie. Nie żebym go nie lubił, tylko jego zmysł humoru już mi nieco nadjadł.

Z drugiego końca pokoju ktoś wrzasnął:

- „Canopus” odjeżdża!

Rzuciliśmy się wszyscy do małych okrągłych okienek i wyjrzelśmy w przestrzeń. Upłynęło parę chwil, zanim zdołałem cokolwiek dostrzec, ostatecznie jednak przepchnąłem się do przodu i przycisnąłem twarz do grubej, przezroczystej masy plastycznej.

„Canopus” był największym statkiem pasażerskim obsługującym linię na Marsa i w ciągu paru tygodni przechodził tutaj zwykły przegląd. Przez ostatnie dwa dni umieszczano w nim materiały pędne i pasażerów, a teraz właśnie odpłynął od stacji na odległość kilku mil. Tak jak Stacja Mieszkalna, „Canopus” wirował z wolna, aby dać pasażerom poczucie ciężkości. Kształtem przypominał olbrzymi pączek: kabiny i część mieszkalna tworzyły pierścień wokół elektrowni i silników.

W czasie podróży wirowanie statku stopniowo się zmniejsza i do chwili przyjazdu na Marsa pasażerowie przywykną już do właściwej siły ciężkości. W drodze na Ziemię porządek będzie

odwrotny.

Odjazd statku kosmicznego z orbity nie jest nawet w przybliżeniu tak efektowny, jak start z Ziemi. Wszystko odbywa się, oczywiście, w kompletnej ciszy i bardzo powoli. Nie widać ani płomieni, ani dymu. Jedyną rzecz, którą zobaczyłem, to wiotka smuga mgły wypływająca z wylotów. Ogromne żebra zabłyły najpierw wiśniową czerwienią, a potem rozżarzyły się do białości, w chwili gdy ciepło odlotowe odpłynęło z urządzeń napędowych w przestrzeń. Liniowiec o wadze tysięcy ton rozwijał szybkość, chociaż upłynie jeszcze wiele godzin, zanim uzyska dostateczną prędkość ucieczki.

Rakieta, która przywiozła mnie na stację, mknęła stokrotnie szybciej niż „Canopus”, ale za to ten olbrzym mógł przez tygodnie utrzymywać niską siłę pędu, aby wreszcie rozwinąć końcową prędkość prawie pół miliona mil na godzinę.

Po pięciu minutach statek odbił o kilka mil i ze znaczną prędkością oddalał się od naszej orbity w stronę toru wiodącego na Marsa. W ślad za nim biegły poządliwie moje oczy; ciekaw byłem, kiedy i ja wyruszę w taką podróż. Norman widocznie zauważył wyraz malujący się na mojej twarzy, bo powiedział ze śmiechem:

- Snujesz plany, jak się zabrać na gapę następnym statkiem międzyplanetarnym? Wybij to sobie lepiej z głowy, bo taki numer nie przejdzie. Owszem, wiem doskonale, że to ulubiony chwyt w powieściach, ale w praktyce nigdy się nic podobnego nie zdarzyło. Za wiele działa hamulców. Czy wiesz, co się robi z gapowiczem, jeśli się go złapie?

- Nie - odparłem, starając się nie okazywać zbytniego zainteresowania, bo prawdę mówiąc właśnie podobna rzecz przyszła mi do głowy.

Norman złowieszczo zatarł ręce.

- Każdy dodatkowy pasażer na pokładzie to znacznie zmniejszone racje żywności i tlenu na osobę, a obliczenia materiałów pędnych również by się zachwiały.

A więc po prostu wyrzuca się go za burtę.

- W takim razie dobrze się stało, że jeszcze nikt nigdy nie spróbował jechać na gapę.

- Zapewne. Chociaż naturalnie amator podróży na gapę nie miałby nawet okazji. Zauważono by go jeszcze przed odjazdem. W statku kosmicznym po prostu nie ma miejsca na kryjówkę.

Informację tę zanotowałem w pamięci na przyszły użytek. Może się kiedyś okazać w sam raz potrzebna.

Stacja Kosmiczna Numer Jeden była bardzo obszerna, mimo to, jak szybko się przekonałem, praktykanci nie spędzali tu całego dnia. Mieli klub, jedyny w swoim rodzaju, ale upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim mnie tam wpuszczono.

W pobliżu stacji mieściło się prawdziwe muzeum astronautyki, pływający w próżni cementarz statków, które odbyły swoją służbę i zostały wycofane. Z większości zabrano instrumenty, pozostawiając same szkielety. Na Ziemi byłaby je od dawna zjadła rdza, ale tutaj ich blask na zawsze pozostanie niezmacony.

Między nimi znajdowało się kilka wielkich pionierskich pojazdów: pierwszy statek, który wylądował na Wenus, pierwszy, który osiągnął satelitów Jowisza, i pierwszy, który okrążył Saturna. Na zakończenie tych długich podróży weszły w pięćsetmilową orbitę dookołaziemską, a rakiety zabrały ich załogi. One zaś pozostały tu, gdzie je porzucono, i nigdy już powtórnie nie będą użyte.

To znaczy wszystkie z wyjątkiem „Jutrzenki”. Powszechnie wiadomo, że to „Jutrzenka” po raz pierwszy okrążyła Wenus w 1985 roku. Ale mało kto wie, że „Jutrzenka” nadal znajduje się w świetnej kondycji, bo wzięli ją pod opiekę praktykanci, urządzili tu sobie własną kwaterę główną i dla zabawy doprowadzili statek do stanu używalności. Wszyscy chłopcy byli święcie przekonani, że

„Jutrzenka” jest w tak dobrym stanie, jak gdyby była nowa, i zawsze pilnowali, aby „pożyczyć” paliwa raketowego w dostatecznej ilości na krótką wycieczkę. Czuli się niezmiernie dotknięci, że nikt im nie chce pozwolić na żadną podróż, długą czy krótką.

Komandor Doyle oczywiście wiedział o wszystkim i nawet aprobował prace remontowe na statku. Ostatecznie to także stanowiło dobrą praktykę. Przychodził czasami na „Jutrzenkę” sprawdzić, co się tam dzieje, ale zasadniczo uważano, że statek jest własnością prywatną. Zanim kogoś wpuszczono, musiał otrzymać zaproszenie. Dopiero po kilku dniach pobytu, kiedy zostałem przyjęty do bandy, jako ktoś mniej więcej swój miałem okazję udania się na „Jutrzenkę”.

Była to najdłuższa podróż, jaką odbyłem poza granicami stacji, ponieważ cmentarz znajdował się w odległości około pięciu mil. Krążył na tej samej orbicie co stacja, trochę ją wyprzedzając. Naprawdę nie wiem, jak opisać osobliwy wehikuł, który nas tam zawiózł.

Zbudowano go ze szmelcu wyszabrowanego z innych statków i był to po prostu zasobnik ciśnieniowy mogący pomieścić około tuzina osób. Do jednego końca podwieszono silnik raketowy o małej mocy, było tu także parę pomocniczych silniczków do sterowania, śluza o prostej konstrukcji, radio do utrzymywania łączności ze stacją - i to wszystko. Ten dziwaczny stateczek mógł wykonać skok do „Jutrzenki” w ciągu mniej więcej dziesięciu minut, a potrafił rozwinąć prędkość dochodzącą najwyżej do trzydziestu mil na godzinę.

Ochrzczono go „Skowronek niebieski” - nazwa zaczerpnięta podobno z jakiejś słynnej powieści fantastycznonaukowej z dawnych czasów.

„Skowronek” był zwykle zaparkowany przy zewnętrznej krawędzi stacji, gdzie nikomu nie wchodził w drogę. W razie potrzeby paru praktykantów w kombinezonach kosmicznych odczepiało cumy i holowało pojazd do najbliższej śluzy. Następnie „Skowronka” sprzęgało się i wchodziło na jego pokład przez łączącą rurę, tak jak się wchodzi do prawdziwego pasażerskiego statku kosmicznego.

Moja pierwsza podróż na „Skowronku” dostarczyła mi zupełnie innych wrażeń niż wylot z Ziemi. „Skowronek” wyglądał na rozklekotany grat i posądzałem go, że lada chwila może się rozlecieć, chociaż w rzeczywistości zapewniał dostateczne bezpieczeństwo. Było nas dziesięciu, więc w malutkiej kabinie panował straszliwy tłok, i gdy silnik raketowy zaczął pracować, powolne przyspieszenie przesunęło nas wszystkich w tył statku. Przy takiej niskiej sile pędu moja waga spadła do funta - w zupełnym przeciwieństwie do startu z Ziemi, kiedy byłbym przysiągł, że ważę tonę! Po paru minutach tego powolnego ruchu odcieliśmy dopływ napędu i płynęliśmy swobodnie przez następne dziesięć minut, a wtedy dalszy krótki odrzut doniósł nas zgrabnie do celu.

Wewnątrz „Jutrzenki” było mnóstwo miejsca; ostatecznie mieszkało tu ongiś pięciu mężczyzn przez prawie dwa lata. Nazwiska ich, wyskrobane na farbie ścian kabiny nawigacyjnej, nadal były czytelne i widok ich przeniósł mnie w wyobraźni prawie o sto lat wstecz, do wielkich pionierskich dni lotów kosmicznych, kiedy nawet Księżyc stanowił nowy, nieznaną świat, a nikt jeszcze nie dotarł do żadnej z planet.

Mimo sędziwego wieku pojazdu każdy przedmiot w kabinie lśnił jak nowy. Tablica przyrządów, przynajmniej w moim mniemaniu, mogła należeć do współczesnego statku. Tim Benton dotknął jej delikatnie.

- Jak nowa! - powiedział nie ukrywając dumy. Słowo daję, któregoś dnia mógłbym was zabrać na Wenus!

Z czasem zapoznałem się dokładnie z przyrządami sterowniczymi „Jutrzenki”. Można było nimi bezpiecznie manipulować, skoro zbiorniki nie zawierały paliwa i naciśnięcie guzika: „Główny napęd”, wywoływało jedynie błysk czerwonego światła. A jednak sam fakt, że siedzę w fotelu

pilota i snują marzenia z rękami na sterze, napełniał mnie podnieceniem.

Za głównym zbiornikiem założono mały warsztat i tu odbywało się mnóstwo prac modelarskich, a także sporo poważnych robót inżynierskich. Niektórzy praktykanci przygotowali plany różnych przyrządów; tu je chcieli wypróbować i przed zademonstrowaniem wyższym instancjom sprawdzić, czy działają. Karl Hasse, nasz geniusz matematyczny, próbował zbudować jakiś nowy przyrząd nawigacyjny, ponieważ jednak zawsze chował swoje dzieło, gdy ktoś się zbliżał, nikt właściwie nie wiedział, do czego to coś miało służyć.

Nauczyłem się więcej o statkach kosmicznych w trakcie obijania się po wnętrzu „Jutrzenki” niż poprzednio z książek czy wykładów. To prawda, że miała ona blisko sto lat, ale poza pewnymi szczegółami główne zasady planowania pojazdów międzyplanetarnych zmieniły się mniej, niż można by przypuszczać. Nadal muszą one posiadać pompy, zbiorniki na materiały pędne, urządzenia wentylacyjne, regulację temperatury i tak dalej. Ten i ów wichajster może ulec zmianie, ale funkcje, które spełnia, nadal pozostają takie same.

Wiedza, jakiej nabyłem na pokładzie „Jutrzenki”, bynajmniej nie ograniczała się do techniki. Nabrałem tutaj wprawy w ruchach przy stanie nieważkości i nauczyłem się walki zapaśniczej przy swobodnym spadaniu. I teraz właśnie wypada wspomnieć o Ronnie’m Jordanie.

Ronnie, najmłodszy z praktykantów, był ode mnie starszy o jakieś dwa lata. Ten zawadiacki, jasnowłosy Australijczyk, który urodził się w Sydney, ale większą część życia spędził w Europie, znał w rezultacie trzy czy cztery języki i od czasu do czasu mimo woli przechodził z jednego na drugi.

Ronnie był dobroduszny i niefrasobliwy; odnosiło się wrażenie, że nigdy naprawdę nie przywyknie do zaniku siły ciężkości i nadal traktuje stan nieważkości jako wspaniałą kawal. W każdym razie bez ustanku wypróbowywał jakieś nowe sztuczki; zrobił na przykład parę skrzydeł i sprawdzał, jak z ich pomocą się fruwa. (Próba dowiodła, że niezbyt dobrze, ale że skrzydła zostały nieprawidłowo zaprojektowane.) Z nadmiaru energii i wesołości często wdawał się w żartobliwe bójki z innymi chłopcami, a boks w warunkach swobodnego spadania to naprawdę fascynujące widowisko.

Pierwszy problem, jaki się nasuwa, to oczywiście schwytywanie przeciwnika - rzecz niełatwa, bo jeśli on się wzdraga, ma przecież do wyboru mnóstwo różnych kierunków ucieczki. Ale nawet, jeśli przeciwnik przyjmie wyzwanie, nie brak dalszych komplikacji. Żadnego stylu boksu nie da się uprawiać, skoro pierwsze uderzenie rozdzieliłoby partnerów. Jedyłą zatem praktycznie dostępną formą walki jest zapaśnictwo. Spotkanie zaczyna się zwykle od tego, że partnerzy unoszą się w powietrzu jak najdalej od wszelkich stałych przedmiotów. Chwytają się za przeguby na odległość ramienia, a już tego, co się dzieje następnie, niepodobna dokładnie zaobserwować. Powietrze wypełnia kłębowisko fruwających rąk i nóg i powoli wirujących ciał.

Według reguł gry zwycięża ten, który utrzyma przeciwnika przyciśniętego do ściany przez tyle czasu, ile zajmie policzenie do pięciu. Sprawa o wiele trudniejsza w rzeczywistości, niż to wygląda w opowiadaniu, bo wystarczy dobre pchnięcie z jednej strony, aby obydwaj zapaśnicy pofrunęli z powrotem na środek pokoju. Trzeba pamiętać, że skoro nie istnieje siła ciężkości, na nic się zda usiąść na swojej ofierze i siedzieć dopóty, dopóki się nie załamie pod wpływem samego ciężaru.

Moja pierwsza walka z Ronnie’em wynikała ze sporu na tematy polityczne. Może się wydać śmieszne, że te sprawy, ważne na Ziemi, mają jakiegokolwiek znaczenie w kosmosie. W pewnym sensie rzeczywiście go nie mają, a przynajmniej nikogo nie obchodzi, czy się jest obywatelem Federacji Atlantyckiej, Unii Panazjatyckiej czy Konfederacji Pacyfiku. Ale często wybuchał spór, w jakim kraju najprzyjemniej się mieszka, a że każdy z nas dużo podróżował, różnice zdań były ogromne.

Gdy oświadczyłem kiedyś Ronnie’emu, że gada głupstwa, odpowiedział mi na to:

- Takie powiedzenie nie ujdzie ci na sucho.

Nawet się nie obejrzałem, a on już przygwoździł mnie w rogu pokoju, Norman Powell zaś opieszale liczył do dziesięciu, żeby mi jeszcze dać jakąś szansę.

Nie mogłem uciec, bo Ronnie wparł się mocno nogami w obie ściany tworzące ten załamek kabiny.

Przy następnej okazji poszło mi trochę lepiej, jednak Ronnie także z łatwością wygrał. Nie tylko górował nade mną siłą, ale w dodatku ja nie miałem żadnej techniki.

Mimo wszystko w końcu udało mi się wygrać jeden jedyny raz. Osiągnąłem to dzięki niezmiernie rozważnemu zaplanowaniu moich posunięć, a zresztą może Ronnie nabrał w końcu zbytnej pewności siebie.

Przekonałem się, że jeśli tylko dopuszczę, aby mnie przyparł w kącie kabiny - koniec ze mną! Mógł wtedy zastosować swój ulubiony chwyt „rozwiązdy” i unieruchomić mnie wspierając się o ściany tam, gdzie się z sobą stykały. Z drugiej strony, jeślibym został na otwartej przestrzeni, przeciwnik górujący nade mną siłą i zręcznością wkrótce zmusiłby mnie do zajęcia niekorzystnej pozycji. A więc należało obmyślić jakiś sposób neutralizujący jego przewagę.

Zanim znalazłem właściwą odpowiedź, roztrząsałem intensywnie całe zagadnienie, a potem, gdy nikogo nie było w pobliżu, wytrwale ćwiczyłem, bo cała rzecz wymagała starannego wystoperowania.

Wreszcie byłem gotów. Siedzieliśmy przy małym stoliku przymocowanym w jednym końcu kabiny „Jutrzenki”, w tym końcu, który zwykle uważa się za podłogę. Ron siedział naprzeciw mnie i przez pewien czas spieraliśmy się w sposób dobronudzny. Bójka jednak nieuchronnie wisiała w powietrzu. Gdy Ron zaczął odpinać pasy zabezpieczające od swego krzesła, uznałem to za znak, że czas zabrać się do dzieła.

Ron właśnie oswobodził się od pasów, kiedy wrzasnąłem:

- Złap mnie, proszę bardzo!

I rzuciłem się wprost na „sufit” odległy o piętnaście stóp. Ten odcinek planu wymagał starannego obliczenia czasu. Ledwo Ron zorientował się w kierunku, jaki obrałem, wyrzucił się sam w ułamek sekundy po mnie.

Skoro raz obierzemy jakąś określoną trasę, przy swobodnej orbicie niepodobna się zatrzymać, dopóki w coś nie gruchniemy. Ron miał nadzieję, że spotka mnie pod sufitem; wcale nie przewidział, że dotrę zaledwie wpół drogi. Bo stopa tkwiła mi w pętli sznura, który przezornie umocowałem do podłogi. Po paru zaledwie jardach szarpnęło mną, zatrzymałem się i cofnąłem z powrotem. Ron nie miał wyboru - musiał walić prosto w górę. Tak go zaskoczył mój unik, że w trakcie wzbijania wywinął koziołka, aby zobaczyć, co się dzieje, i przy okazji grzmotnął o sufit z okropnym łoskotem. Jeszcze nie zdążył przyjść do siebie, gdy ja powtórnie rzuciłem się w powietrze, ale tym razem już nie zawisłem na sznurze. Ron jeszcze ciągle nie odzyskiwał równowagi, a ja już rwałem w górę jak meteor. Nie zdążył w porę ustąpić mi z drogi, wobec czego dałem mu takiego łupnia, że bez trudu dało się go przytrzymać licząc do pięciu, a właściwie Norman doliczył do dziesięciu, zanim Ron zdradził jakiegokolwiek oznaki życia. Trochę mnie to nawet zaniepokoiło, ale wreszcie się poruszył.

Zwycięstwo nie było może zbyt chlubne i ten i ów uważał, że dopuściłem się oszustwa. A jednak regulamin nie wspominał, żeby takie chwytły miały być niedozwolone.

Manewr nie nadawał się jednak do powtórnego zastosowania i następnym razem Ron odegrał się na mnie. Ale ostatecznie był przecież starszy.

Inne nasze rozrywki nie miały tak nieokrzesanego charakteru. Graliśmy dużo w szachy namagnetyzowanymi figurami; co prawda nie sprawiało mi to specjalnej przyjemności, bo nie celuję

w tej grze. Jedyłą chyba konkurencją, w której zawsze byłem pierwszy, stanowiło „pływanie”, rozumie się nie w wodzie, a w powietrzu.

Ale to znów tak nas wyczerpywało, że nieczęsto uprawialiśmy ten sport. Potrzebowaliśmy do tego celu obszernego pomieszczenia; zawodnicy musieli startować ustawieni rzędem. Zadanie polegało na tym, by dotrzeć do mety, przepychając się przez powietrze, co bardzo przypominało pływanie w wodzie, ale nasuwało o wiele więcej trudności i odbywało się wolniej.

Z niewiadomych powodów osiągałem tutaj lepsze rezultaty niż inni; rzecz dziwna, bo w zwyczajnym pływaniu jestem dość słaby.

Nie chciałbym, aby czytelnik odniósł wrażenie, że spędzaliśmy cały czas na „Jutrzence”. Na stacji kosmicznej każdy ma pełne ręce roboty i być może dlatego załoga stara się jak najintensywniej wykorzystywać wolne od pracy chwile. Mieliśmy zaś stosunkowo więcej okazji do rozrywek, niż się może zdawać, ponieważ - rzecz ciekawa, a nie wszystkim wiadoma - wystarczało nam bardzo mało snu. Jest to jeden ze skutków braku ciężkości. Przez cały czas mojego pobytu w kosmosie nie spałem chyba jednym ciągiem dłużej niż cztery godziny.

Pilnowałem się, żeby nigdy nie opuszczać wykładów komandora Doyle'a, nawet jeśli trafiła się jednocześnie jakaś inna atrakcja. W taktowny sposób Tim zwrócił mi uwagę, że stała moja obecność na tych wykładach robi korzystne wrażenie, a zresztą komandor był dobrym wykładowcą. Na pewno nigdy nie zapomnę prelekcji o meteorach, którą dla nas wygłosił, We wspomnieniach wydaje mi się to zabawne, bo nastawiłem się wtedy na porządne nudziarstwo. Po wcale interesującym początku wykładowca wkrótce zabrnął w statystyki i tablice. Wiecie zapewne, co to są meteory: małe odłamki materii, które krążą w przestrzeni i spalają się wskutek zderzenia z atmosferą ziemską. Ich przeważającą większość stanowią drobiny niniejsze niż ziarnko piasku, ale czasami do atmosfery spadają całkiem pokaźne meteory o wadze wielu funtów. Olbrzymy sto - lub nawet tysiactonowe rozbijają się o Ziemię niezmiernie rzadko, powodując znaczne straty.

We wczesnym okresie lotów kosmicznych powszechnie obawiano się meteorów. Nie zdawano sobie sprawy z rozmiarów przestrzeni i sądzono, że gdy człowiek opuści ochronną warstwę atmosfery, będzie to coś w rodzaju znalezienia się w zasięgu zaporowego ognia karabinów maszynowych. Dzisiaj nasza wiedza w tej dziedzinie jest dokładniejsza. Chociaż meteory nie stanowią poważnego niebezpieczeństwa, mniejsze z nich czasem przebijają stacje lub statki kosmiczne i zachodzi konieczność stosowania środków zaradczych.

Gdy komandor Doyle mówiąc o meteorach pokrył tablicę obliczeniami, aby wykazać, jak niewielką ilość materii przedstawiają one w przestrzeni międzyplanetarnej, przestałem na chwilę słuchać. Ale wkrótce zaciekały mnie jego uwagi na temat, co by się stało, gdyby jakiś meteor ewentualnie z nami się zderzył.

- Musicie pamiętać - powiedział - że z powodu olbrzymiej prędkości meteor nie zachowuje się tak, jak przedmiot o powolnym ruchu, np. kulka karabinu, której prędkość wynosi zaledwie jedną milę na sekundę. Jeśli meteor uderzy w przedmiot stały - nawet kawałek papieru - przeistacza się w obłok rozżarzonej pary. Jest to jeden z powodów, dla których wyposażono stację w podwójny kadłub: zewnętrzny pancierz stanowi nieomal całkowitą ochronę przeciwko każdemu meteorowi, który moglibyśmy spotkać.

Istnieje wszakże pewne słabe prawdopodobieństwo, że wielkiemu meteorowi udałoby się przebić obie ściany i wybić dość duży otwór. Ale nawet takie uszkodzenie niekoniecznie spowodowałoby poważne skutki.

Powietrze oczywiście zaczęłoby uchodzić, ale każdy pokój stykający się z przestrzenią jest przecież zaopatrzony w taki oto przyrząd.



I podniósł w górę krążek z gumowym otokiem, bardzo podobny do pokrywki od garnka. Nieraz widziałem na stacji takie krążki, pomalowane jaskrawożółtą farbą i zawieszane na ścianach, ale nie poświęciłem im specjalnej uwagi.

- Oto niezawodny środek na dziury o średnicy do sześciu cali. Wasza rola polega jedynie na przyłożeniu krążka do ściany w okolicy uszkodzenia i pociągnięcia go wzdłuż niej, dopóki nie zakryje otworu. Nigdy nie próbujcie przykładać krążka wprost na dziurę. Gdy już krążek jest na swoim miejscu, ciśnienie powietrza utrzyma go tam do chwili, kiedy da się przeprowadzić solidną reperację.

Rzucił nam krążek.

- Obejrzyjcie go sobie i podajcie dalej. Czy są jakieś pytania?

Chciałem zapytać, co się stanie, jeśli średnica otworu ma więcej niż sześć cali, ale zląkłem się, że takie pytanie może być uznane za bardzo głupie. Rozejrzałem się po klasie, aby zobaczyć, czy ktoś zamierza przerwać milczenie, i wtedy właśnie spostrzegłem, że nie ma Tima Bentona. Nieobecność Tima była czymś niezwykłym i zastanawiałem się, co się mogło z nim stać. Może pomagał komuś w jakiejś pilnej robocie gdzie indziej na terenie stacji.

Nie dane mi było jednak rozważać dłużej zagadnienia, gdzie się podział Tim, bo akurat w tej chwili rozległ się ostry, raptowny wybuch, wprost ogłuszający w zamkniętym pokoju. Zaraz potem nastąpił przeraźliwie cienki świst uciekającego powietrza, powietrza umykającego przez dziurę, która ukazała się nagle w ścianie klasy.

## 4. Plaga piratów

Byliśmy zbyt zaskoczeni w pierwszej chwili, gdy prąd powietrza targał nasze ubrania i pchał nas ku ścianom, aby cośkolwiek uczynić; nie mogliśmy oderwać oczu od wyrwy o poszarpanych brzegach, znaczącej jak rana białą politurę. Wobec szybkości tego, co się stało, nie zdążyłem się nawet przestraszyć strach przyszedł później. Po paru sekundach bezruchu porwaliśmy się jednocześnie. Krążek leżał na pulpicie Normana Powella i tam wszyscy runęli. Nastąpił moment beładnego popychania się, aż wreszcie głos Normana wzbił się ponad świst powietrza:

- Z drogi!

Rzucił się przez pokój; prąd schwycił go, jak woda w kanale młyńskim chwyta małą słomkę, i grzmotnął nim o ścianę. Z bezradnym osłupieniem obserwowałem walkę Normana, który usiłował nie dać się wessać przez otwór. Potem równie nagle jak powstał, świszczący ryk zamilkł. Normanowi udało się wsunąć krążek na miejsce.

Dopiero teraz odwróciłem się, żeby zobaczyć, co w krytycznym momencie robił komandor Doyle. Ujrzałem ze zdziwieniem, że spokojnie siedzi przy biurku.

Co więcej, na ustach igra mu uśmiech, a w ręce trzyma stoper. Zaczęło mi świtać w głowie straszne posądzenie, które wkrótce stało się pewnością. Inni chłopcy również wpatrywali się w komandora i nastąpiło długie, lodowate milczenie. Wreszcie Norman odkasznął i ostentacyjnie potarł sobie łokieć, który stłukł o ścianę. Gdyby przy braku ciężenia udało mu się pokuśtykać, z pewnością byłby pokuśtykał wracając na miejsce. A zasiadłszy w ławce ulżył sobie chwytając gumkę, którą przytwierdził do stołu swój notatnik, napiął ją i wypuścił, aż opadła z głośnym cmoknięciem. Komandor nie przestawał się uśmiechać.

- Przykro mi, Norman, że się uderzyłeś - powiedział. - Naprawdę muszę ci pogratulować szybkości działania. W pięć sekund zaledwie dopadłeś do ściany, co jest doskonałym wynikiem, zważywszy, że wszyscy włązili ci w drogę.

- Dziękuję, panie komandorze - odparł Norman z niepotrzebnym naciskiem na dwóch ostatnich słowach. Zauważyłem, że niezbyt mu przypadł do gustu kawał, którego tym razem on padł ofiarą. - Ale ten żart był chyba dość - hm - ryzykowny?

- Mylisz się. Jeśli ci chodzi o szczegóły techniczne, wokół dziury znajduje się trzycalowa rurka z kurkiem na końcu. Na zewnątrz zaś siedzi Tim w skafandrze i gdyby otwór nie został zatkany przez nas w ciągu dziesięciu sekund, on byłby zamknął kurek i odciął prąd powietrza.

- W jaki sposób powstał ten otwór? - zapytał ktoś inny.

- Mały, całkiem mały ładunek wybuchowy i nic więcej - odpowiedział komandor. Uśmiech znikł z jego twarzy i znowu mówił poważnie.

- Nie zrobiłem tego wyłącznie dla kawału. Możecie kiedyś znaleźć się wobec prawdziwego niebezpieczeństwa i próba ta może mieć zasadnicze znaczenie, bo nie stracie głowy. Przekonaliście się, że tej wielkości przebicie może spowodować porządny przeciąg i w pół minuty opróżnić pokój. Ale przy szybkich ruchach i bez paniki łatwo zaradzić uszkodzeniu.

Zwrócił się do Karla Hasse, który jako dobry uczeń siedział zawsze w pierwszej ławce.

- Karl, zauważyłem, że ty jeden z całej klasy wcale się nie ruszyłeś. Dlaczego?

Karl odpowiedział bez wahania swoim zwykłym suchym i pedantycznym tonem.

- Wskutek prostego wniosku. Jak nam pan wyjaśnił, przypadek zderzenia z wielkim meteorem zdarza się niezmiernie rzadko. A przypadek zderzenia właśnie wtedy, kiedy pan skończył wykład o meteorach, byłby już tak rzadki, że prawie niemożliwy.

A więc wiedziałem, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo i że pan na pewno przeprowadza

jakiś test.

Dlatego siedziałem na miejscu, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Wszyscy spojrzeliśmy na Karla z głupim uczuciem.

Prawdopodobnie miał rację. Ale nie zyskiwał przez to sympatii.

Jednym z najbardziej podniecających momentów w życiu stacji kosmicznej jest przybycie rakiety pocztowej z Ziemi. Przyjazdy i odjazdy wielkich międzyplanetarnych statków pasażerskich nie mają takiego znaczenia, jak pojawienie się malutkich stateczków o jaskrawożółtej barwie, które pozwalają załodze stacji na utrzymywanie kontaktu z domem. Wiadomości przekazywane drogą radiową to dobra rzecz, ale nie da się ich porównać z listami, a przede wszystkim z paczkami z Ziemi.

Urząd pocztowy na stacji był to kącik obok jednej ze śluz i zazwyczaj zbierała się tam gromadka ludzi, jeszcze zanim rakieta przycumowała. Skoro tylko worki z pocztą znalazły się na pokładzie, od razu je rozpruwano i sortowano z błyskawiczną szybkością. Tłum rozpraszał się; jedni dzierżyli swoje przesyłki, a inni powiadali: „O, tym razem niczego się nie spodziewałem...”

Szczęściarz, który dostał paczkę, niedługo był w stanie utrzymać ją dla siebie. Poczta kosmiczna jest kosztowna, a paczka zawierała zwykle jakieś luksusowe drobiazgi, normalnie niedostępne na stacji.

Zdziwiłem się ogromnie na widok sterty listów oczekujących na mnie po przybyciu pierwszej rakiety pocztowej - większość była od zupełnie obcych osób. Napisali je przeważnie moi rówieśnicy, którzy słyszeli o mnie albo może oglądali mnie w telewizji, w nadziei otrzymania wszystkich szczegółów o życiu na stacji.

Gdybym chciał odpisać każdemu z nich, nie miałbym czasu na nic innego. Co gorsza, nie stać mnie było na korespondencję, nawet gdyby starczyło mi czasu, bo musiałbym wydać na znaczki wszystkie moje pieniądze.

Zapytałem Tima, co mi radzi zrobić.

- Może jestem cyniczny, ale sądzę, że większości tych chłopaków zależy na znaczkach poczty kosmicznej. Jeśli uważasz, że wypada im odpowiedzieć, poczekaj lepiej do powrotu na Ziemię. O wiele ci to taniej wyniesie.

Postąpiłem według jego rady, prawdopodobnie sprawiając zawód wielu osobom.

Dostałem również paczkę z domu z wyśmienitym zestawem słodczy i list od mamy z poleceniami, abym uważał na siebie i ciepło się ubierał. O liście nikomu nie wspomniałem, ale to, co zostało z paczki, zapewniło mi popularność w ciągu paru następnych dni.

Chyba mało kto na Ziemi nie oglądał nigdy seryjnego programu telewizyjnego pod tytułem: „Dan Drummond, detektyw kosmiczny”. Przy tej czy innej okazji większość widzów musiała śledzić losy Dana, który wykrywał przemytników międzyplanetarnych i zgrane bandy oszustów lub prowadził nie kończącą się walkę z Czarnym Jarvisem, najbardziej wyrafinowanym ze wszystkich piratów działających w kosmosie.

Po przyjeździe na stację jedną z pomniejszych niespodzianek, jakie mnie czekały, była popularność Dana Drummonda wśród tutejszej załogi. Nikt nie opuszczał ani jednego odcinka jego przygód, czy to w chwilach wolnych od zajęć, czy nawet w czasie służby! Wszyscy oczywiście udawali, że włączają telewizję jedynie dla śmiechu, ale nie było to całkowicie zgodne z prawdą.

Po pierwsze „Dan Drummond” jest o wiele mniej bezsensowny niż mnóstwo innych programów telewizyjnych. A od strony technicznej to nawet całkiem dobra robota i osoby przygotowujące program niewątpliwie mają zapewnioną konsultację fachową, chociaż może nie zawsze z niej korzystają. Istnieje coś więcej niż podejrzenie, że ktoś ze stacji pomaga przy pisaniu scenariusza, ale

jeszcze nikomu nie udało się tego dowieść. Posądzano nawet komandora Doyle'a, chociaż prawdopodobnie nikt nie śmiałby wprost go o to oskarżyć.

Specjalne zainteresowanie wywołał wśród nas bieżący odcinek, ponieważ dotyczył stacji kosmicznej, która rzekomo miała okrążać Wenus. Na „Królowej Nocy”, pirackim statku Czarnego Jarvisa, zapas paliwa był na wyczerpaniu, załoga planowała więc najazd na stację, żeby się zatankować. Jeśli trafią się łupy i zakładnicy - tym lepiej. W zakończeniu ostatniego odcinka piracki statek, atramentowoczarnej barwy, podkraść się pod stację, gdzie niczego nie podejrzewano, i wszyscy zastanawialiśmy się, co nastąpi dalej.

Korsarstwo w przestrzeni kosmicznej nigdy nie istniało; skoro nikt na świecie poza multimilionowym koncernem nie może sobie pozwolić na budowę pojazdów kosmicznych i dostarczenie im paliwa, trudno sobie wyobrazić, by Czarny Jarvis mógł liczyć, że utrzyma się z tego procederu. To wszakże nie mąciło naszej uciechy przy oglądaniu programu, ale czasami wywoływało gwałtowne dysputy na temat możliwości popełniania przestępstw w kosmosie. Piotr van Holberg, który mnóstwo czasu trawił na lekturze sensacyjnych czasopism i oglądaniu seryjnych programów, twierdził, że z pewnością dałoby się coś zdziałać w tej dziedzinie, jeśliby ktoś naprawdę się uparł. Zabawiał się wymyślaniem najrozmaitszych zbrodni i pytał każdego z nas, co może doprowadzić do schwytania przestępcy. Uważaliśmy, że Piotr minął się ze swoim prawdziwym powołaniem.

Ostatni wyczyn Czarnego Jarvisa wprowadził Piotra w niezwykłą zadumę - przez parę dni obliczał wartość, jaką dla złoczyńcy międzyplanetarnej mogło przedstawiać wyposażenie stacji. Wypadła mu zawrotna suma, zwłaszcza po dodaniu wartości ładunków towarowych. I gdyby Piotr nie był tak bardzo uczulony w tej dziedzinie, nie byłby wcale zauważył osobliwego zachowania się „Cygnuma”.

Oprócz statków kosmicznych kursujących według stałego rozkładu, do stacji przybijały parę razy na miesiąc statki odbywające specjalne kursy. Zwykle prowadzono na nich pracę badawczą, a czasami wchodziło w grę coś naprawdę sensacyjnego, jak na przykład wyprawa na zewnętrzne planety. Jakikolwiek miały zadanie, na stacji wszystko się o tym wiedziało.

Ale o „Cygnumie” wiadano niewiele ponad to, że figurował w spisie Lloyda jako średniej wielkości statek towarowy i miał być niebawem wycofany wobec prawie pięciu lat służby bez kapitalnego remontu. Przybycie tego statku i zakotwiczenie (tak, tego właśnie wyrażenia stałe się używa!) w odległości około dziesięciu mil nie wzbudziło specjalnego zdziwienia. Odległość była większa niż zwykle, ale to mogło jedynie znaczyć, że statek miał arcyostrożnego pilota. „Cygnum” tam więc sobie stał, a wszelkie próby wykrycia, co robi, zawiodły kompletnie. Załogę stanowiło dwóch ludzi. Wiedzieliśmy to, bo pojawili się w skafandrach, aby się zameldować w Sekcji Kontrolnej. Nie podali daty odjazdu i odmówili wyjawienia celu przybycia, który jakoby był niezwykły, chociaż zgodny z prawem.

Wskutek tego powstało naturalnie i poszło w obieg wiele plotek. Jedna głosiła, że statek został w tajemnicy wynajęty przez księcia Edwarda, który - jak powszechnie wiadomo - od lat usiłował dostać się w kosmos. Podobno parlament brytyjski nie chciał mu na to pozwolić, jako że następcę tronu uważano za osobę zbyt cenną, aby mogła narażać życie w rozrywkach tak niebezpiecznych, jak loty kosmiczne. Niemniej książę jest młodzieńcem pełnym determinacji i nikogo nie zdziwi, jeśli pewnego dnia - pozyskawszy sobie uprzednio załogę - znajdzie się w przebraniu na Marsie. Jeśliby kiedykolwiek przedsięwziął taką podróż, znajdzie mnóstwo entuzjastów chętnych do pomocy.

Piotr jednakże wysnuł o wiele bardziej złowieszczą teorię. Przybycie tajemniczego pojazdu z mało gadatliwą załogą pasowało doskonale do jego wyobrażeń o zbrodni międzyplanetarnej. Jeśli ktoś zamierza obrabować stację przestrzenną, dowodził Piotr, czyż nie zabrałby się do dzieła właśnie w ten sposób?

Nabijaliśmy się z niego wykazując, że „Cygnus” zrobił, co się dało, żeby wzbudzić podejrzenia, a nie żeby je uspić. Poza tym był to niewielki statek i nie mógł pomieścić liczniejszej załogi. Oprócz tych dwu ludzi, którzy przyszedli na stację, nie miał chyba innych pasażerów.

Ale Piotr tak się zagalopował w swych domysłach, że nie potrafiliśmy go przekonać, a ponieważ nas to bawiło, pozwalaliśmy mu brnąć dalej i nawet podjudzaliśmy go złośliwie. Oczywiście nikt tej historii nie brał na serio.

Tych dwóch ludzi z „Cygnusa” przychodziło na stację co najmniej raz na dzień po pocztą z Ziemi i aby przeczytać gazety i czasopisma w świetlicy. Rzecz zupełnie naturalna, jeśli nie mieli nic lepszego do roboty, ale Piotr uważał to za wysoce podejrzaną. Ich postępowanie dowodziło, według niego, że przepatrywali teren i zaznajamiali się z miejscowymi warunkami.

- Na pewno torują drogą jakiemuś desantowi uzbrojonemu w kordy - odezwał się ktoś ironicznie.

A potem, całkiem niespodziewanie, Piotr wysunął świeże dowody, co sprawiło, że zaczęliśmy go traktować poważniej. Przewiedział się w Sekcji Sygnałów, że nasi zagadkowi goście ciągle otrzymują wiadomości z Ziemi, posługując się własnym radiem działającym na długości fali nie stosowanej nigdy do obsługi programów urzędowych czy handlowych. Nic w tym zresztą nie było nielegalnego, gdyż używali jednej z fal „wolnego eteru”, ale znowu coś poza normą. Poza tym posługiwali się szyfrem. I to już było naprawdę zaskakujące.

Cała sprawa wprawiła Piotra w nadzwyczajne podniecenie.

- Najlepszy dowód, że dzieje się tu coś osobliwego - mówił wojowniczo. - Nikt prowadzący uczciwą robotę nie zachowywałby się w ten sposób. Nie twierdzą, że oni się trudnią czymś tak staroświeckim jak korsarstwo. Ale co byście powiedzieli na przemysł narkotyków?

|- Nie sądzę, aby liczba narkomanów w koloniach na Marsie i Wenus zapewniała zyski temu procederowi - wtrącił łagodnie Tim Benton.

- Nawet mi na myśl nie przyszło, żeby przemysł miał iść w tym kierunku - odciął się pogardliwym tonem Piotr. - Przypuśćmy, że ktoś odkrył jakiś narkotyk na którejś z planet i szmugluje go na Ziemię...

Co wy na to?

- Pomysł wzięty z przedostatniej przygody Dana Drummonda - odezwał się ktoś. - Pamiętacie tę historię, którą nadawali w zeszłym roku? Rzecz działa się na równinach Wenus.

- Jest jeden jedyny sposób, aby się przekonać ciągnął uparcie Piotr. - Mam zamiar przyjrzeć się temu z bliska. Kto idzie ze mną?

Ochotników nie było. Ja byłbym się zgłosił, ale wiedziałem, że Piotr mnie nie weźmie.

- Co, - wszyscy macie stracha? - urągał nam Piotr.

- Po prostu nikt nie jest dość zainteresowany odparł Norman. - Mam lepsze sposoby, żeby marnować czas.

Wtedy, ku ogólnemu zdziwieniu, wystąpił Karl Hasse.

- Ja pójdę - powiedział. - Mam już tej całej sprawy po dziurki w nosie i to jedyny sposób, aby Piotr się wreszcie od niej odczepił.

Wyprawa na tę odległość w pojedynkę sprzeciwiała się przepisom bezpieczeństwa, więc gdyby Karl nie zgłosił się na ochotnika, Piotr musiałby z niej zrezygnować.

- Kiedy wyruszyacie? - zapytał Tim.

- Oni tu przychodzą po pocztę codziennie po południu; gdy obydwaj będą na stacji, poczekamy na następny okres zaćmienia i wtedy się wymkniemy.

Te pięćdziesiąt minut wypadało wówczas, gdy stacja przechodziła przez cień Ziemi. W tym

okresie niewielkie przedmioty były ledwie widoczne, nawet z bliska, słabe istniały zatem szansę, aby ktoś wyprawę zauważył. Co prawda chłopcy mogą mieć również pewne trudności w odnalezieniu „Cygnausa”, skoro statek odbija bardzo mało światła gwiazd i prawdopodobnie będzie niedostrzegalny już z odległości jednej mili.

Zwrócił na to uwagę Tim Benton.

- Pożyczę „biper” z magazynu - odpowiedział Piotr. - Joe Evans da mi za pokwitowaniem.

„Biper” to mały aparat radarowy, niewiele większy od kieszonkowej latarki elektrycznej; używa się go do radiolokacji przedmiotów, które oddaliły się od stacji.

„Biper” ma zasięg paru mil, jeśli chodzi o wykrycie przedmiotu rozmiarów skafandra, a statek odkryje z dużo większej odległości. Trzeba poruszać aparatem, a gdy jego fale odbijają się od czegoś, rozlega się seria sygnałów: „bip, bip, bip”. Im bliżej dochodzimy do danego przedmiotu, tym większa jest częstotliwość sygnałów i przy pewnej wprawie można wyznaczyć odległość bardzo dokładnie.

Tim Benton, aczkolwiek z niechęcią, udzielił ostatecznie zezwolenia na ten wyczyn, pod warunkiem, że Piotr przez cały czas będzie utrzymywał z nami kontakt radiowy, meldując, co się dzieje. A więc śledziłem całą przygodę przy głośniku w jednym z warsztatów.

Łatwo sobie wyobrazić, że myślą towarzyszyłem Piotrowi i Karłowi w wygwieżdżonym mroku, z ogromną, ciemną Ziemią poniżej i stacją powoli wchodzącą w jej cień.

Chłopcy uważnie przyjrzeni się „Cygnausowi”, gdy jeszcze można było go dostrzec w odbitym świetle słonecznym, i odczekali pięć minut po wejściu stacji w cień, zanim wyruszyli we właściwym kierunku. Kurs ich był tak dokładnie określony, że nie potrzebowali posługiwać się aparatem sygnalizującym: „Cygnaus” wyrósł przed nimi w mroku prawie dokładnie o czasie przewidzianym według obliczeń i zatrzymali się.

- Wszystko w porządku - zameldował Piotr. W jego głosie wyraźnie dawał się odczuć ton podniecenia. Żywej duszy tu nie ma.

- Czy widać coś przez luki? - zapytał Tim. Nastąpiła chwila ciszy, mąconej jedynie głośnym oddechem i czasami metalicznym trzaskiem przyrządów sterowych przy skafandrach. A potem usłyszeliśmy łoskot i okrzyk Piotra.

- To bardzo nieostrożnie - zabrzmiał głos Karla. Gdyby ktoś był w środku, mógłby pomyśleć, że spotkali asteroid.

- To nie moja wina - tłumaczył się Piotr. - Noga mi się ześliznęła.

Następnie usłyszeliśmy człapanie - to Piotr szedł przez kadłub.

- Nic nie mogę dojrzeć w kabinie - meldował. Ciemno choć oko wykol. Ale z całą pewnością nikogo tu nie ma. Wejść do środka. Czy u was wszystko w porządku?

- Tak. Podejrzana para gra w szachy w świetlicy.

Norman rzucił okiem na szachownicę i powiada, że zanosi się jeszcze na dość długo.

Tim zaśmiał się. Widziałem, że bawi się znakomicie, traktując całą historię jak wyśmienity kawał. A mnie również ogarniało podniecenie.

- Uważajcie na ewentualne pułapki - ciągnął Tim. - Jestem pewien, że żaden doświadczony pirat nie opuściłby statku bez jakiegoś ubezpieczenia. Może w służbie czyha na was robot z pistoletem radiacyjnym!

Nawet Piotr uważał to za nieprawdopodobne i wyraził tę opinię raczej stanowczo. Doszedł do nas teraz bardziej stłumiony łoskot, gdy Piotr kierował się do śluzy; potem nastąpiła dłuższa pauza - oglądał widać stery. Są one jednakowe na każdym statku i nie można zamknąć ich od zewnątrz, więc nie przewidywał tutaj większych trudności.

- Teraz wchodzę do środka - oznajmił.

Nastąpiła powtórna przerwa, pełna napięcia. Gdy Piotr odezwał się znowu, głos jego zabrzmiał słabiej wskutek tłumiących właściwości kadłuba, ale słyszeliśmy go lepiej po wzmocnieniu odbioru.

- Kabina nawigacyjna wydaje się najzupełniej normalna - meldował. W głosie zadźwięczała mu wyraźna nuta rozczarowania. - Rzucimy jeszcze okiem na ładunek.

- Trochę za późno o tym wspominać - powiedział Tim - ale czy zdajecie sobie sprawę, że to wy trudnicie się teraz korsarstwem czy czymś w tym rodzaju?

Przypuszczam, że prawnicy określiliby to jako „nieupoważnione wejście na statek kosmiczny bez wiedzy i zgody właścicieli”. Może ktoś zna wymiar kary za takie przestępstwo?

Nikt nie miał o tym pojęcia, chociaż padło parę niepokojących sugestii. A potem znowu usłyszeliśmy głos Piotra.

- A to dopiero! Luk do magazynu jest zamknięty!

Niestety trzeba będzie zrezygnować. Widać zabrali klucze ze sobą.

- Niekoniecznie - zabrzmiała odpowiedź Karla. Wiesz przecie, że często miewa się zapasowy komplet kluczy na wypadek, jeśli zginą te, które się nosi przy sobie. Chowa się je zawsze w miejscu uważanym za bezpieczne, ale zwykle można łatwo wywnioskować gdzie.

- No to jazda, Sherlocku. Czy tam u was nadal wszystko w porządku?

- Tak. Jeszcze daleko do końca partii. Zasedli do szachów chyba na całe popołudnie.

Ku ogólnemu zdumieniu Karl odnalazł klucze w mniej niż dziesięć minut. Wsadzono je w małe zagłębienie pod tablicą przyrządów.

- Dobra nasza! - krzyknął radośnie Piotr.

- Zmiłujcie się i nie ruszajcie niczego - ostrzegął Tim, żałując teraz, że w ogóle pozwolił na cały ten wyczyn. - Obejrzyjcie sobie wszystko i zaraz wracajcie.

Nie było odpowiedzi: Piotra zanadto absorbowały drzwi. Usłyszeliśmy stłumiony odgłos, gdy je wreszcie otworzył, a potem trzeszczenie, gdy się przez nie przemykał. Piotr miał ciągle na sobie skafander, a więc mógł komunikować się z nami przez radio. Chwilę później doszedł nas jego okrzyk:

- Karl! Popatrz tylko!

- O co chodzi? - odparł Karl, jak zawsze spokojnie. - Tak wrzasnąłeś, że mało mi bębenki w uszach nie popękały.

Nie posunęliśmy sprawy naprzód wykrzykując nasze własne zapytania i Tim dopiero po dłuższej chwili przywrócił spokój.

- Dostyc tych wrzasków! Dalej, Piotr, mów po ludzku, co znalazłeś!

Wyraźnie słyszałem, jak Piotr przełknął ślinę, zanim odzyskał mowę.

- Tu jest pełno broni! - wykrztusił. - Słowo daję, nie nabieram was! Widzę ich ze dwadzieścia sztuk, są przytwierdzone do ścian. Nigdy w życiu nie widziałem takich rewolwerów. Mają śmieszne lufy, a poniżej czerwone i zielone bębny. Nie mam pojęcia, do czego one mogą...

- Karl - zapytał Tim - czy Piotr nas nabiera?

- Nie - brzmiała odpowiedź. - To najprawdziwsza prawda. Niechętnie to stwierdzam, ale jeśli istnieje taka rzecz jak pistolet radiacyjny, mamy je właśnie przed sobą.

- Co tu robić? - jęknął Piotr. Nie wydawał się wcale zadowolony znajdując potwierdzenie swoich teorii.

- Nic tam nie ruszaj! - rozkazał Tim. - Podaj nam dokładny opis wszystkiego, co zdołasz zauważyć, a potem natychmiast wracajcie.

Ale zanim Piotr zdążył to zrobić, spotkał nas nowy i stokroć gwałtowniejszy wstrząs. Bo nagle

usłyszeliśmy szept Karla:

- A to co?

Na chwilę zaległa cisza i wreszcie głos, w którym z trudem domyśliłem się głosu Piotra, szepnął:

- Na zewnątrz jest jakiś statek. Właśnie przybija.

Co mamy robić?

- Wiejcie - szepnął rozkazująco Tim, tak jakby szeptanie mogło coś pomóc. - Bierzcie nogi za pas i zmiatajcie na stację każdy inną drogą. Jeszcze przez dziesięć minut będzie ciemno, więc chyba nikt was nie zobaczy.

- Za późno - powiedział Karl, który jeszcze ciągle zachowywał resztki spokoju. - Już wchodzą na pokład. Już otwierają drzwi zewnętrzne.



## 5. Kolej na gwiazdę

Przez chwilę każdy czuł pustkę w głowie i milczał.

Wreszcie Tim, ciągle szeptem, tchnął w mikrofon:

- Zachowujcie spokój! Jeśli im powiecie, że jesteście w kontakcie radiowym z nami, nie odważą się was ruszyć.

Narzuciła mi się refleksja, że to chyba pogląd zbyt optymistyczny. Ale mógł dobrze wpłynąć na nastrój naszych towarzyszy, który prawdopodobnie był raczej pod psem.

- Złapię jeden z tych pistoletów! - zawołał Piotr. Nie mam pojęcia, jak się z nimi obchodzić, ale może ich nastraszyć. Ty także, Karl, weź jeden!

- Na miłość boską, bądźcie ostrożni! - zaklinał Tim, który zdradzał teraz wielki niepokój. - Ron, połącz się z komandorem i zamelduj, co się dzieje! - zwrócił się do Ronnie'ego. - A wy nastawcie teleskop na „Cygusa”, żeby sprawdzić, jaki statek tam przybił.

Należało wcześniej o tym pomyśleć, ale w ogólnym podnieceniu wyleciało to wszystkim z pamięci.

- Są teraz w kabinie nawigacyjnej - meldował Piotr. - Już ich widzę. Nie mają na sobie skafandrów i są bez broni. To nam daje przewagę.

Piotr, jak podejrzewałem, po trosze odzyskiwał animusz w przewidywaniu, że jeszcze może zostać bohaterem dnia.

- Idę na ich spotkanie - oznajmił nagle. - Lepsze to, niż tkwić tutaj, gdzie w końcu muszą nas przyłapać.

Chodź, Karl.

Czekaliśmy wstrzymując oddech. Nie wiem nawet, czegośmy się spodziewali, chyba wszystkiego, od salwy strzałów aż do syku czy trzasku tej tajemniczej broni, którą dzierżyli nasi towarzysze. Nie przewidzieliśmy jedynie tego, co nastąpiło w rzeczywistości.

Najpierw padło pytanie rzucone przez Piotra (trzeba mu przyznać, że głos jego brzmiał całkiem spokojnie):

- Co tu robicie i kim jesteście?

Nastąpiła cisza - wydała nam się długa jak wieczność. Wyobrazałem sobie całą scenę tak, jakbym sam był przy niej obecny - Piotr i Karl, zaszachowani, stali trzymając broń przed sobą, a mężczyźni, którym rzucili wezwanie, rozważali, czy się poddać, czy walczyć.

I nagle - nie do wiary! - ktoś się roześmiał. Paru słów, chyba po angielsku, nie dosłyszeliśmy, bo zagłuszył je ryk wesołości. Wyglądało na to, że trzy czy cztery osoby śmieją się jednocześnie na całe gardło.

Nic nam nie pozostało innego, jak czekać, dopóki hałas nie ucichnie, i ginąć z ciekawości. A potem w głośniku zabrzmiał nieznamy głos, rozbawiony i przyjacielski.

- W porządku, chłopaki! Odstawcie te spluwy. Nawet myszy tym nie ubijecie, chyba żebyście grzmotnęli ją po łbie. Jesteście pewnie ze stacji? Co do nas „Film Dwudziestego Pierwszego Wieku”, do usług!

Jestem Lee Thomson, asystent reżysera. A ta broń mroząca krew w żyłach, którą dzierzycie, to rekwizyty przygotowane do naszego najnowszego eposu z przestrzeni międzygwiazdnych. Niezmiernie mnie cieszy, że ktoś się nabrał na te pistolety. Osobiście uważałem je zawsze za kiepską imitację.

W tym momencie, niewątpliwie na mocy prawa reakcji, i my wybuchnęliśmy śmiechem. I gdy zjawił się komandor, upłynęła dłuższa chwila, zanim ktoś zdołał mu wyjaśnić, co się stało.

Ale najśmieszniejsza rzecz w tym wszystkim, że chociaż Piotr i Karl tak się nieludzko wygłupili, oni właśnie mieli największy ubaw. Bo filmowcy zaczęli się nad nimi rozpajęczać i zabrali ich na swój statek, gdzie było mnóstwo żarcia całkiem innego niż normalne jedzenie u nas na stacji.

Cała tajemnica okazała się dziecinnie prosta, gdy wreszcie dopytaliśmy się o wszystko. „Film Dwudziestego Pierwszego Wieku” zamierzał kręcić prawdziwą epopeję, pierwszy film międzygwiazdny, a nie tylko międzyplanetarny. W dodatku miał to być pierwszy długometrażowy film wykonany całkowicie w przestrzeni kosmicznej, bez żadnej blagi wyprodukowanej w studio.

I w tym tkwił powód całej tajemniczości. Gdyby inne wytwórnie filmowe usłyszały, co się święci, wszystkie zaczęłyby małpować. A „Film Dwudziestego Pierwszego Wieku” chciał zrobić początek na wielką skalę. Transport rekwizytów przysłano wcześniej, w oczekiwaniu na przybycie głównej ekipy z aparatami filmowymi i innym sprzętem. Oprócz „pistoletów radiacyjnych”, na które natknęli się Piotr i Karl, skrzynki w ładowni zawierały osobliwe skafandry o czterech nogawicach dla istot, które rzekomo miały zamieszkiwać planety Alfya Centaura. „Film Dwudziestego Pierwszego Wieku” projektował rzecz naprawdę stylową. Dowiedzieliśmy się też, że inna ekipa wytwórni pracuje na Księżycu.

Właściwe kręcenie filmu miało się zacząć za dwa dni i wtedy spodziewano się trzeciego statku z aktorami.

Olbrzymie podniecenie wywołała wiadomość, że gwiazdą filmu będzie nie kto inny, jak Linda, chociaż zastanawialiśmy się, czy wiele jej uroku zdoła przeniknąć przez skafander kosmiczny. Partnerem Lindy miał być Tex Duncan w swojej zwykłej roli krzepkiego mężczyzny. A to uszczęśliwiło Normana Powella, który żywił olbrzymi podziw dla Texa i trzymał jego fotografię wetkniętą za półkę.

Wszystkie te przygotowania, prowadzone tuż obok, mocno nas odrywały od pracy; po służbie każdy członek załogi wskakiwał w skafander i sunął naprzeciwko, by rzucić okiem, jak sobie radzą technicy filmowi.

Wyładowali już kamery i przytwierdzili je do niewielkich jednostek raketowych, za pomocą których mogli się poruszać dostatecznie wolno. Przez skomplikowane zabiegi, dodanie wieżyczek i gniazd karabinów „na niby”, przeistaczano drugi statek kosmiczny w coś przypominającego okręt wojenny z innego systemu słonecznego - przynajmniej taką nadzieją żywił „Film Dwudziestego Pierwszego Wieku”. Rzeczywiście wyglądało to imponująco.

Gwiazdy filmowe wkroczyły na scenę akurat w trakcie wykładu komandora Doyle'a. Nie wiedzieliśmy nic o ich przyjeździe aż do chwili, kiedy otworzyły się drzwi i do klasy wpłynęła mała procesja. Otwierał ją dowódca stacji, za nim sunął jego zastępca, a potem Linda. Na jej twarzy błąkał się nieco zakłopotany uśmiech i nie ulegało wątpliwości, że brak ciężenia wytrąca ją z równowagi. Współczułem jej, pomny na moje pierwsze trudności. Gwiazdę eskortowała jakaś starsza pani, która najwidoczniej czuła się jak w domu w warunkach bezgrawitacyjnych i aplikowała Lindzie pomocne szturchnięcia, gdy aktorka zdradzała tendencję do utkwienia w jakimś kącie.

Tuż za Lindą sunął Tex Duncan. Usiłował radzić sobie bez eskorty, ale nie bardzo mu to szło. Tex był dużo starszy, niż sądziłem na podstawie jego filmów; musiał mieć co najmniej trzydzieści pięć lat i poprzez jego włosy prześwitywały widoki we wszystkich kierunkach, w jakie się chciało patrzeć. Rzuciłem okiem na Normana, ciekaw, jak on zareaguje na wygląd swego bożyszczka. Norman robił wrażenie ciut-ciut rozczarowanego.

Okazało się, że wszyscy filmowcy słyszeli już o przygodzie Piotra i Karla, bo przedstawiono ich pannie Lorelli, z którą wymienili ceremonialny uścisk dłoni.

Ona zadała im parę całkiem sensownych pytań na temat ich pracy, wzdrygnęła się

z obrzydzeniem na widok równań wypisanych na tablicy przez komandora Doyle'a i zaprosiła nas wszystkich na podwieczorek na pokład największego statku ekipy filmowej, „Orsona Wellesa”. Stwierdziłem, że Lindą jest bardzo dużo sympatyczniejsza niż Tex, który wyglądał na faceta znudzonego do szpiku kości.

Od tej chwili, niestety, „Jutrzenka” została zaniedbana, zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że możemy zarobić trochę forsy pomagając przy dekoracjach. Nasze obycie ze stanem nieważkości okazało się bardzo pożyteczne, bo chociaż większość personelu technicznego była już poprzednio w przestrzeni kosmicznej, filmowcy nie czuli się zbyt dobrze w tych warunkach i musieli poruszać się powoli i ostrożnie. Nam każda rzecz wychodziła o wiele sprawniej, skoro raz powiedziano nam, co należy robić.

Najliczniejsze sceny filmu nakręcono wewnątrz „Orsona Wellesa”, przystosowawszy go do roli latającego studia. Wszystkie partie, które miały się odgrywać na statku kosmicznym, nakręcono tutaj, na odpowiednim tle maszyn, pulpity sterowych i innych urządzeń. Ale najciekawsze sekwencje sfilmowano w przestrzeni.

Tex Duncan, jak wywnioskowaliśmy, miał w jednym epizodzie filmu uratować Linde JMHN1 od runięcia w przestrzeń kosmiczną wprost na tor zbliżającej się planety. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy tego momentu, bo „Film Dwudziestego Pierwszego Wieku” wielce się chlubił, że Tex nigdy nie używa zastępców i sam występuje nawet w najbardziej niebezpiecznych momentach. Sądziliśmy, że będzie to widowisko warte obejrzenia i, jak się okazało, mieliśmy rację.

Pobyt mój na stacji trwał już wtedy dwa tygodnie i uważałem się za starego wygę. Brak ciężaru ciała wydawał mi się zupełnie naturalny i nieomal całkowicie zapomniałem o znaczeniu słów „góra” i „dół”. Takie rzeczy, jak wciąganie płynu przez rurkę, zamiast picia z filiżanek czy szklanek, nie stanowiły już żadnej nowości - były po prostu częścią życia.

Naprawdę brakowało mi na stacji chyba tylko jednego: kąpiel taka jak na Ziemi była tu nieosiągalna.

W domu z rozkoszą leżałem zawsze w gorącej wodzie, dopóki ktoś nie zaczynał walić w drzwi łazienki, żeby sprawdzić, czy nie zasnąłem. Na stacji tylko prysznic był dostępny i nawet do tego celu należało stanąć w środku walca z nieprzemakalnego materiału ściśle związanego przy szyi, aby pył wodny nie uciekł. Każda większa ilość wody tworzyła dużą kulę szybującą po pokoju, dopóki nie zderzyła się ze ścianą. A wtedy część jej rozdrabniała się na małe krople, które ruszały w samodzielną wędrówkę, natomiast większość wodnej kuli rozlewała się na powierzchni, z którą się zderzyła, powodując straszliwy bałagan.

Na Stacji Mieszkalnej, gdzie działała siła ciężenia, były łazienki i nawet mały basen. Wszyscy uważali, że basen założono jedynie na pokaz.

Reszta załogi, tak jak i praktykanci, przywykła do mojej obecności i czasem mogłem brać udział w takich czy innych robotach. Uczyłem się, ile się dało, unikając jednak molestowania ludzi zbyt licznymi pytaniami; rozmaite informacje i rysunki wypełniły mi cztery grube notatniki. Po powrocie na Ziemię, gdybym był chciał, mogłem napisać grubą książkę o stacji!

Wolno mi teraz było udawać się mniej więcej wszędzie, dokąd chciałem, pod warunkiem utrzymania łączności z Timem Bentonem albo z komandorem. Największy urok miało dla mnie obserwatorium z niewielkim, ale silnym teleskopem, który mogłem nastawiać sobie dla zabawy, jeśli w danej chwili nikt go nie potrzebował.

Nigdy nie nużyło mnie oglądanie Ziemi, gdy jej przybywało i ubywało. Kraje leżące pod nami były zwykle wolne od chmur i otrzymywałem dobrą widoczność kontynentów, nad którymi mknęła nasza stacja.

Z powodu jej szybkości Ziemia co sekundą umykała wstecz o pięć mil. Ale ponieważ znajdowaliśmy się na wysokości pięciuset mil, przy właściwym zmienianiu pozycji teleskopu udawało się dość długo utrzymać dany punkt w polu widzenia, zanim nie zagubił się we mgłach przy horyzoncie. W oprawie teleskopu jest takie sprytne automatyczne urządzenie, które do tego służy. Wystarczy nastawić na coś instrument, żeby obracał się z odpowiednią szybkością.

W ciągu każdych stu minut, podczas okrążania świata, widziałem pas ciągnący się na północ aż do Japonii, do Zatoki Meksykańskiej i Morza Czarnego. Ku południowi dostrzegałem w najdalszym punkcie Rio de Janeiro, Madagaskar i Australię. Był to cudowny sposób nauki geografii, chociaż z powodu krzywizny Ziemi bardziej oddalone kraje miały mocno zniekształconą postać i trudno je było rozpoznać za pomocą zwykłych map.

Leżąc nad równikiem, orbita stacji przechodziła dokładnie ponad dwiema największymi rzekami świata, Kongiem i Amazonką. Przez teleskop zaglądałem w głąb dżungli i bez trudności dostrzegałem poszczególne drzewa i większe zwierzęta. Obserwacja Wielkiego Rezerwatu Afrykańskiego dostarczała cudownych wrażeń, bo jeśli bacznie rozglądałem się naokoło, mogłem wykryć prawie każde zwierzę, jakie chciałem.

Mnóstwo czasu spędzałem również patrząc na zewnątrz, w przeciwną stronę niż Ziemia. Chociaż faktycznie nie znajdowałem się teraz bliżej Księżyca i planet „- bo na tej wysokości miałem za sobą tylko pięć setnych drogi na Księżyc - widzialność tutaj, poza atmosferą, była znacznie lepsza. Olbrzymie góry księżycowe wydawały się tak bliskie, że kusilo mnie, by wyciągnąć rękę i wodzić palcami wzdłuż ich poszarpanych grzbietów. Tam gdzie na Księżycu panowała noc, dostrzegałem niektóre osady świecące w ciemnościach jak gwiazdy. Ale najcudowniejszego widoku dostarczał start statku kosmicznego. Przy okazji słuchałem radia, notując godziny odjazdów, a potem biegłem do teleskopu, nastawiałem go na odpowiednią część księżyca i czekałem.

Na razie nie widziałem nic oprócz kręgu ciemności.

Nagle pojawiała się iskierka o rosnącym blasku. Jednocześnie rosły jej rozmiary: to rakieta wystrzelała coraz wyżej i ogień jej wydechu oświetlał coraz większe połacie krajobrazu księżycowego. W tym jaskrawym, niebieskobiałym oświetleniu oglądałem góry i równiny na powierzchni Księżyca w takiej świetności, w jakiej nigdy nie ukazywały się za dnia. W miarę jak rakieta parła w górę, krąg światła rozszerzał się i bladł, aż w końcu stawał się za słaby, aby uwypuklać dalsze szczegóły krainy leżącej poniżej. Pnący się w górę statek kosmiczny przeistaczał się w maleńką, błyszczącą gwiazdę, która szybko sunęła w poprzek czarnej tarczy Księżyca. Parę minut później gwiazda gasła prawie tak samo nagle, jak się ukazywała. Statek umknął od Księżyca i bezpiecznie wyruszył w podróż. Za trzydzieści czy czterdzieści godzin osiągnie orbitę naszej stacji i w moich oczach jego załoga wysiądzie tak nonszalancko, jak gdyby właśnie odbyła przejażdżkę helikopterem do pobliskiego miasta.

W czasie pobytu na stacji napisałem chyba więcej listów niż w ciągu całego roku w domu. Wszystkie były bardzo krótkie i miały na końcu następujący dopisek: „P.S. Proszę o odesłanie tej koperty do mojej kolekcji”. W ten sposób zapewniałem sobie skompletowanie znaczków poczty kosmicznej, które wzbudzą ogólną zazdrość w naszej dzielnicy. Zaprzestałem tego procederu dopiero wtedy, gdy zabrakło mi pieniędzy.

Listy ode mnie wywoływały pewno zdziwienie wielu dalekich ciotek i wujów.

Udzieliłem również jednego wywiadu telewizyjnego; przeprowadzał go reporter z Ziemi. Wyszło wtedy na jaw, że moja podróż na stację wzbudziła spore zainteresowanie - wszyscy chcieli wiedzieć, jak mi się teraz powodzi. Oświadczyłem, że czuję się świetnie i że wcale nie mam ochoty wracać, przynajmniej na razie. Tyle jeszcze było tu do zrobienia i do obejrzenia, a ekipa „Filmu

Dwudziestego Pierwszego Wieku” właśnie zaczęła normalny tok pracy.

W czasie przygotowań technicznych Tex Duncan ćwiczył się w używaniu skafandra. Instruktaż poruczonej jednemu z inżynierów i dowiedzieliśmy się, że nie ma on wysokiego mniemania o swoim uczniu. Pan Duncan był zbyt pewny siebie i uważał, że pojadł wszystkie rozumy; skoro umiał latać w rakiemie, sądził, że obchodzenie się z kombinezonem kosmicznym będzie dziecinną igraszką.

Tego dnia, kiedy zaczęli kręcić zdjęcia w otwartej przestrzeni, udało mi się zdobyć dobry punkt obserwacyjny. Ekipa pracowała w odległości pięćdziesięciu mil od stacji, a my wszyscy wybraliśmy się tam na „Skowronku”, naszym prywatnym jachcie, jak nazywaliśmy czasami ten stateczek.

„Film Dwudziestego Pierwszego Wieku” musiał przenieść się aż tak daleko z dość zabawnego powodu. Zdawałoby się, że wobec ogromnego kłopotu i kosztu związanego z transportem aktorów i aparatów w kosmos należało od razu zabrać się do roboty i zacząć filmowanie. Tymczasem okazało się wkrótce, że to nie takie proste. Przede wszystkim oświetlenie było zupełnie wadliwe.

Poza atmosferą, gdy znajdujemy się bezpośrednio w świetle słonecznym, odnosi się wrażenie, że pada na nas intensywne światło pojedynczego reflektora. Słoneczna strona każdego przedmiotu jest jaskrawo oświetlona, a strona przeciwna tonie w głębokiej czerni.

W rezultacie, gdy patrzymy na jakiś przedmiot, widzimy tylko jego część. Aby uzyskać pełny obraz tego przedmiotu, trzeba poczekać, aż się obróci i zostanie oświetlony z drugiej strony.

Z czasem można się do takich rzeczy przyzwyczaić, ale filmowcy uznali, że tego rodzaju ujęcie zbiłoby z tropu widzów na Ziemi. Postanowili więc zdobyć dodatkowe oświetlenie, żeby wypełnić zacienione miejsca. Przez pewien czas rozważali nawet możliwość wprowadzenia dodatkowych reflektorów, które szybowałyby w przestrzeni wokół artystów, ale aby wytrzymać konkurencję ze Słońcem, musiałyby być ogromnie potężne, więc zaniechano tego projektu. Potem ktoś rzucił nowy pomysł:

- A gdyby tak użyć zwierciadeł?

I ten pomysł zostałby odrzucony, gdyby ktoś sobie nie przypomniał, że największe z istniejących zwierciadeł znajdowało się w odległości zaledwie paru mil.

Stara siłownia słoneczna nie pracowała już od przeszło trzydziestu lat, ale jej gigantyczny reflektor nadal był w świetnym stanie. Zbudowano go we wczesnej epoce astronautyki, aby zbierać energię płynącą ze Słońca i zamieniać ją na pożyteczną energię elektryczną. Główny reflektor była to olbrzymia czara o średnicy prawie trzystu stóp i kształcie zupełnie podobnym do zwierciadła w szperaczu. Padając nań, światło słoneczne skupiało się na spiralkach w ognisku, gdzie zamieniało wodę w parę, a potem poruszało turbiny i turbozespoły.

Samo zwierciadło stanowiło bardzo wątlą konstrukcję z wygiętych dźwigarów, podtrzymujących niewiarygodnie cienkie płyty sodu metalicznego. Zastosowano sód, gdyż był lekki i tworzył dobry reflektor. Tysiące tych segmentów zbierało światło słoneczne i rzucało je w jeden punkt, tam gdzie za czasów działalności elektrowni znajdowały się spirale. W każdym razie generator zabrano stąd bardzo dawno i pozostało jedynie olbrzymie zwierciadło, bez celu unoszące się w przestrzeni. Nikomu nie przeszkadzało, żeby filmowcy użyli go do swoich celów. Gdy zapytali o pozwolenie, wyznaczono im jakąś symboliczną opłatę za wynajem i pozwolono brać się do roboty.

To, co z tego wynikło, należało do rzędu spraw, które wyglądają na oczywiste po fakcie, ale których nikt nie przewiduje zawczasu. Gdy dotarliśmy na teren, operatorzy zajęli już swoje stanowiska w odległości około pięciuset stóp od wielkiego zwierciadła. W tej chwili każdy przedmiot tutaj był oświetlony z obu stron - z jednej bezpośrednio przez światło słoneczne, z drugiej zaś przez jego odbłask, który padł na zwierciadło, skupił się w ognisku, a potem od niego odbił.

To może brzmi trochę zawile, bardzo więc przepraszam, ale musicie koniecznie zrozumieć całą

sytuację.

„Orson Welles” unosił się za operatorami, którzy w chwili naszego przybycia manewrowali właśnie kukłą, aby uzyskać odpowiedni kąt. Gdy każda rzecz będzie już w idealnym porządku, miejsce wycofanej kukły zajmie Tex Duncan. Wszyscy musieli się śpieszyć, żeby przyłapać półksiężyc Ziemi jako tło. Ale niestety, wskutek wielkiej prędkości naszego ruchu po orbicie, Ziemi przybywało i ubywało tak szybko, że zaledwie dziesięć minut w ciągu każdej kolejnej godziny nadawało się na filmowanie.

W czasie przygotowań poszliśmy do nastawni. Była to obszerna kabina ciśnieniowa na obręczy wielkiego zwierciadła, skąd przez okna roztaczał się widok we wszystkich kierunkach. Nasi technicy, oczywiście za odpowiednią opłatą, doprowadzili to pomieszczenie do stanu używalności i naprawili urządzenia klimatyzacyjne. Do nich również należało nastawienie zwierciadła, dopóki nie stanie znowu na wprost Słońca. Osiągnęli to umocowując kilka rakiet do obręczy i eksploatując je przez parę sekund w ustalonych odstępach czasu. Była to precyzyjna robota, którą mogli wykonać jedynie fachowcy.

Zdziwiła nas trochę obecność komandora Doyle’a w tym skąpo umeblowanym pokoju. On zaś wydał się nieco skrępowany na nasz widok. Zastanawiałem się, dlaczego zależało mu na dodatkowym zarobku, skoro nigdy nie wracał na Ziemię, aby wydać tam pieniądze.

Gdy czekaliśmy na filmowanie, komandor objaśnił nam, w jaki sposób siłownia działała i dlaczego rozwój tanich i nieskomplikowanych generatorów atomowych uczynił ją przestarzałą. Od czasu do czasu wyglądałem przez okno, aby sprawdzić, co robią operatorzy.

Nastawiliśmy radio na ich długość fal i polecenia reżysera płynęły nieprzerwanym potokiem. Na pewno marzył o tym, żeby być znowu w normalnym studio na Ziemi, i przeklinał tego, komu przyszedł do głowy szaleńczy pomysł nakręcenia filmu w kosmosie.

Olbrzymie wklęsłe zwierciadło, widziane z krawędzi, wyglądało naprawdę imponująco. Paru segmentów brakowało i przez te otwory mogłem dostrzec blask gwiazd, ale poza tym nie było wcale zniszczone i oczywiście nie zmatowiało. Czuję się jak mucha pełzająca po krawędzi metalowego spodka. Chociaż całą czarę zalewało światło słoneczne, z naszego punktu obserwacyjnego zwierciadło wydawało się ciemne. Promienie słoneczne gromadzone w nim ogniskowały się w punkcie odległym o mniej więcej dwieście stóp.

Istniało tu jeszcze parę dźwigarów sięgających do punktu ogniskowego, tam gdzie ongiś mieściły się spirale; teraz kończyły się one w próżni.

Nadszedł wreszcie decydujący moment. Na „Orsonie Wellesie” otworzyły się zewnętrzne drzwi śluzy i wypłynął z niej Tex Duncan. Nauczył się wcale nieźle operować swoim skafandrem, chociaż ja na pewno zręczniejszym bym się poruszał, gdybym miał tyle okazji do treningu, co on.

Kukłę usunięto, reżyser zabrał się do dyrygowania, a operatorzy zaczęli jechać za Texem. Jego rola w tej scenie była minimalna: miał tylko wykonać parę prostych manewrów w skafandrze. Tex, jak się domyśliłem, szybował w kosmosie po zniszczeniu statku, poszukując innych rozbitków. Nie trzeba dodawać, że wśród nich znajdowała się Linda Lorelli, chociaż jeszcze się nie ukazała. Cała scena - jeśli można się tak wyrazić - należała do Texa.

Operatorzy kręcili dalej, aż do chwili kiedy ukazała się Ziemia w pierwszej kwadrze i dało się rozróżnić parę kontynentów. Dalsze filmowanie nie miało już sensu, bo wszystko by się wtedy wykryło. Akcja filmu rozgrywała się przecież przy jednej z planet Alfy Centaura i było niedopuszczalne, aby widzowie zauważyli Nową Gwineę, Indie czy Zatokę Meksykańską. Iluzja byłaby ordynarnie zniweczona.

Nie pozostawało nic innego, jak odczekać trzydzieści minut, aż Ziemia stanie się znowu

półksiężycem i niedyskretną geografiją przysłoni mgła lub obłoki. Usłyszeliśmy, że reżyser kazał operatorom przerwać filmowanie, i wszyscy odetchnęli. Tex zaś oznajmił przez radio:

- Zapalam papierosa. Zawsze marzyłem, aby zapalić w skafandrze kosmicznym.
- Znowu się popisuje - mruknął ktoś za mną. Jeśli dostanie choroby przestrzeni, będzie miał za swoje!

Operatorzy otrzymali kilka dalszych instrukcji i znowu rozległ się głos Texa:

- Jeszcze dwadzieścia minut? Niech mnie diabli wezmą, jeśli będę tu tkwił przez cały ten czas.

Pójdę obejrzeć to osławione lustro do golenia.

- To znaczy nas - zauważył Tim Benton z najwyższym obrzydzeniem.
- Dobrze - odparł reżyser, który prawdopodobnie wiedział, że z Texem lepiej się nie spierać. -

Ale proszę wrócić na porę.

Patrzałem przez luk obserwacyjny i spostrzegłem lekką mgłę z odrzutu Texa, gdy ruszył w naszą stronę.

- Dostępnie przesuwa - zauważył ktoś. – Mam nadzieję, że zdoła zatrzymać się w porę. Nie życzymy sobie nowych dziur w naszym zwierciadku.

I wtedy wszystko zaczęło się dziać naraz. Usłyszałem głos komandora Doyle'a, który krzychał:

- Każcie zatrzymać się temu idiocie! Niech zahamuje, jeśli mu życie miłe! Wali wprost na ognisko spali się tam na popiół!

Upłynęło parę sekund, zanim zrozumiałem, co to znaczy. A potem przypomniałem sobie, że zgromadzone przez nasze zwierciadło światło i ciepło koncentrowało się na tym malutkim odcinku przestrzeni, dokąd właśnie beztrąsko sunął Tex. Ktoś mnie objaśnił, że to ciepło równa się ciepłu dziesięciu tysięcy ogrzewaczy elektrycznych, a skupia się w promieniu o paru zaledwie stopach szerokości. A jednak nie istniało tu nic uchwytnego dla oka, nie istniał żaden sposób wycucia niebezpieczeństwa, aż do chwili gdy już będzie za późno. Poza ogniskiem promień rozszczepiał się znowu i wkrótce stawał się nieszkodliwy. Ale w miejscu, gdzie niegdyś znajdowały się spiralki, w odstępach między dźwigarami, żar ten mógł w sekundę rozpuścić każdy metal. Tex kierował się wprost na tę lukę! Gdy tam dotrze, będzie żyć akurat tyle czasu, co ćma w płomieniu acetylenowo-tlenowym!

## 6. Szpital w przestrzeni

Ktoś coś krzyczał przez radio, usiłując przestrzec Texa. Ale nawet gdyby ostrzeżenie dotarło do niego w porę, nie byłem pewien, czy ten człowiek wykaże tyle rozsądku, żeby się odpowiednio zachować. Z równym prawdopodobieństwem mógł wpaść w panikę i stracić panowanie nad sterami, nie zmieniając kierunku.

Komandor musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo nagle wrzasnął:

- Trzymajcie się mocno, chłopcy! Przechyłę lustro!

Uczepiłem się najbliższego uchwyty. Jednym szarpnięciem potężnych ramion komandor Doyle wyrzucił się w kierunku tymczasowej tablicy sterowniczej zainstalowanej koło luku obserwacyjnego. Spojrzał na przybliżającą się postać i dokonał w myśli szybkiego obliczenia. A potem tylko migały jego palce przy naciskaniu gałek.

W odległości trzystu stóp, na najdalszym krańcu wielkiego zwierciadła, ukazały się teraz pierwsze fontanny płomieni bijące ku gwiazdom. Całą ramę wokół nas przeniknęło drżenie; nie była ona przystosowana do tak szybkiego przechyłu. Ale mimo to obrót wydawał się bardzo powolny.

Potem spostrzegłem, że Słońce oddala się w bok.

Zmieniliśmy już teraz ustawienie bezpośrednio ku Słońcu i niewidzialny stożek ognia zogniskowany w naszym zwierciadle zwracał się w stronę pustki kosmicznej, nikomu nie zagrażając. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, w jakiej odległości minął go Tex, ale mówił nam później, że jeden krótki, jaskrawy wybuch światła przeszedł obok niego, oślepiając go na przeciąg paru chwil.

Rakiety wypaliły się i z westchnieniem ulgi puściłem uchwyt. Chociaż przyśpieszenie było nieznaczne (te słabe jednostki posiadały za małą moc, aby wywołać jakiś naprawdę gwałtowny skutek), zaprojektowana odporność zwierciadła nie wytrzymała i tego; kilka jego segmentów oddarło się i z wolna powirowało w przestrzeń. Cała siłownia również wirowała. Upłynęło jeszcze sporo czasu i trzeba było nader umiejętnie żonglować napędem raketowym, aby uspokoić ruch, który nadał zwierciadłu komandor Doyle. Słońce, Ziemia i gwiazdy obracały się powoli wokół nas i aby z powrotem odzyskać orientację co do ich położenia, musiałem na chwilę przymknąć oczy.

Gdy je otworzyłem, komandor rozmawiał żywo z „Orsonem Wellesem”, wyjaśniając, co się stało, i bez ogródek wyrażając swoją opinię o panu Duncanie.

Tego dnia nie ponowiono już zdjęć i przez dłuższy czas nikt nie widział Texa.

Wkrótce po tym epizodzie nasi goście zapakowali manatki i wyjechali; wielki to był dla nas zawód. Ale ciemności trwające wtedy, kiedy stacja pozostawała w cieniu Ziemi, a równie długie, co okres światła, stanowiły zbyt poważną przeszkodę dla sprawnej pracy. Filmowcy widocznie wcale tego nie przewidzieli i słyszeliśmy, że przenieśli się o dziesięć tysięcy mil dalej, w orbitę nieco przechyloną, dzięki czemu przebywali stale w blasku słonecznym.

Z żalem patrzeliśmy na ich odjazd - wnieśli przecież tyle urozmaicenia w nasze życie, a poza tym zależało nam bardzo, aby zobaczyć w akcji sławetne pistolety radiacyjne. Ku ogólnemu zdziwieniu cała ekipa powróciła na Ziemię bez żadnego wypadku. Ale film jeszcze się nie ukazał.

W sercu Normana nastąpił kres kultu bohatera.

Fotografia Texa znikła z jego półeczki i już się tam nigdy więcej nie pojawiła.

W moich wędrownkach po stacji zwiedziłem już teraz prawie każdy zakątek, gdzie wstęp nie był wzbroniony.

Zakazany teren obejmował całą siłownię - tam zresztą nikomu nie wolno było wchodzić ze względu na promieniowanie - dział magazynów pod strażą surowego kwatermistrza i główną kabinę nawigacyjną. A to właśnie miejsce strasznie chciałem obejrzeć; mózg stacji, skąd utrzymywano



łącność radiową ze wszystkimi statkami na tym odcinku kosmosu, no i oczywiście z Ziemią. Dopóki wszyscy nie nabiorą przekonania, że można mi zaufać i że nie sprawię kłopotu swoją osobą, nie mogłem się spodziewać, aby mnie tam wpuszczono. Postanowiłem sobie jednak, że kiedyś muszę dopiąć swego, no i wreszcie trafiła się okazja.

Obowiązki młodszych praktykantów obejmowały noszenie kawy i lekkiej przekąski oficerowi dyżurnemu w połowie jego wachty. Wpadało to zawsze w chwili, gdy stacja mijała południk Greenwich. Ponieważ jedno okrążenie Ziemi trwało dokładnie sto minut, okres ten stanowił podstawę całego naszego życia i zegary przystosowano do takiej właśnie lokalnej „godziny”.

Po pewnym czasie nabywało się wprawy w określaniu pór dnia, po prostu rzucając okiem na Ziemię i sprawdzając, jaki się ma pod sobą kontynent.

Kawę, tak jak wszystkie płyny, przenosiło się w zamkniętych naczyniach przezwanymi „poidłami”; pić ją było można przez rurkę z masy plastycznej, bo wskutek braku ciężenia nalewanie byłoby niemożliwe. Posiłek zabierano do kabiny w lekkiej ramie z małymi otworami na różne naczynia. Dyżurni zawsze witali z wielkim entuzjazmem pojawienie się tej tacy, chyba że właśnie załatwiali jakieś ważne sprawy i nie mieli na nic czasu.

Musiałem użyć mnóstwa argumentów, zanim Tim Benton zgłosił mnie do tej funkcji. Moja pomoc dowodziłem - zwolni innych chłopców do ważniejszej roboty. Na co Tim odparł, że to jest właśnie jeden z nielicznych obowiązków, który wszyscy ogromnie lubią. Ale wreszcie ustąpił.

Pouczono mnie dokładnie, jak mam się zachowywać, i w chwili gdy stacja szybowała ponad Zatoką Gwinejską, stanąłem pod drzwiami kabiny i potrząsnąłem dzwoneczkiem. (Jeden z wielu osobliwych zwyczajów panujących na stacji.) Dyżurny oficer wrzasnął:

„Wejść!”, a ja precyzyjnie się z taczą przez drzwi i rozdałem jedzenie i napoje. Ostatnie „poidło” wręczyłem właściwej osobie akurat nad wybrzeżem afrykańskim.

W kabynie musieli wiedzieć, że to ja się zjawię, bo nikt nie zdradził zdziwienia na mój widok. Ponieważ trzeba było poczekać na puste naczynia, mogłem swobodnie rozejrzeć się po pokoju. Panowała tu niepokalana czystość i porządek; naokoło tego kopulastego pomieszczenia biegła szeroka szklana tablica. Oprócz dyżurnego oficera i jego zastępcy kilku radiooperatorów siedziało przy swoich instrumentach, a paru innych pracowników krzątało się wokół nie znanego mi sprzętu. Pełno tu było tarcz numerowych i ekranów telewizyjnych, światła zapalały się i gasły, ale panowała zupełna cisza. Mężczyźni siedzący przed małymi stolikami mieli słuchawki na uszach i laryngofony, więc dwie osoby mogły rozmawiać ze sobą nie przeszkadzając innym.

Pochłonęła mnie obserwacja pracy tych fachowców, którzy sprawnie wykonywali swoje zadania, kierowali statkami oddalonymi o tysiące mil, łączyli się z innymi stacjami kosmicznymi lub z Księżycem i kontrolowali liczne instrumenty, od których zależało życie nas wszystkich.

Dyżurny oficer siedział przy ogromnym biurku o szklanym blacie, gdzie jarzył się skomplikowany wzór kolorowych świateł. Widać tu było Ziemię, orbity innych stacji i tory wszystkich statków w naszym odcinku przestrzeni. Od czasu do czasu mówił coś cicho, ledwie dostrzegalnym ruchem warg; wiedziałem, że wydaje wtedy rozkaz zbliżającemu się statkowi, aby wstrzymał się trochę, z lądowaniem lub przygotował już do zetknięcia ze stacją.

Spełniłem swoje zadanie i nie śmiałem zostać tu dłużej, ale następnego dnia trafiła mi się nowa okazja odwiedzenia kabiny. A ponieważ ruch był mały, jeden z zastępców uprzejmie wszystko mi pokazał. Pozwolił mi posłuchać paru rozmów radiowych i objaśnił funkcjonowanie wielkiej tablicy.

Największe wrażenie zrobił na mnie jednak lśniący metalowy walec umieszczony w środku pokoju, ze sterami i mrugającymi światełkami.

- A to - powiedział z dumą mój przewodnik - to ZAKOP.

- Co takiego? - zapytałem.
- Skrót Automatycznego Kalkulatora Orbity Podróży.

Rozważałem przez chwilę te inicjały.

- A co ma oznaczać litera „z” na początku?
- Każdy o to pyta. Nic nie oznacza.

Zwrócił się teraz do operatora.

- Na co jest nastawiony?

Odpowiedź składała się głównie z obliczeń matematycznych, ale pochwyciłem słowo „Wenus”.

- Dobra. Przypuśćmy, że chcemy pojechać na Wenus, dajmy na to za cztery godziny.

Ręce mignęły na klawiaturze przypominającej nadmiernie wyrośniętą maszynę do pisania.

Sądziłem, że ZAKOP będzie furkotać i trzaskać, ale tylko parę świateł zmieniło kolor. A potem, mniej więcej po dziesięciu sekundach, dwa razy rozległ się brzęczyk i z wąskiego otworu wyleciał kawałek taśmy gęsto zadrukowany cyframi.

- Proszę, jest tu wszystko, o co ci chodziło. Kierunek wystrzelenia, elementy orbity, czas lotu, właściwa pora hamowania. Jedyłą rzeczą, której ci brak, to statek kosmiczny!

Zaciekawiło mnie, ile setek obliczeń wykonał mózg elektronowy w ciągu tych paru sekund. Podróże kosmiczne są rzeczywiście sprawą skomplikowaną, tak skomplikowaną, że czasem mnie to przygnębiało. Potem jednak uprzytomniłem sobie, że przecież ludzie zatrudnieni tutaj nie wyglądali na bardziej rozgarniętych niż ja: po prostu mieli solidne wykształcenie.

Przy pilnej pracy można wszystko opanować.

Nadszedł wreszcie koniec mojego pobytu na Stacji Wewnętrznej, ale nie taki, jakiego każdy się spodziewał. Włączyłem się w monotonną rutynę codziennego życia i nawet mnie objaśniono, że nic się tu nigdy podniecającego nie dzieje, a jeśli poszukuję dreszczyków, powinienem być zostać na Ziemi. Doznałem pewnego rozczarowania, bo miałem nadzieję, że póki jestem na stacji, zdarzy się coś niezwykłego, chociaż sam nie wiedziałem co. No i proszę sobie wyobrazić, moje życzenie wkrótce się spełniło.

Zanim wam o tym opowiem, muszę wspomnieć o innych stacjach kosmicznych, które dotychczas pominąłem.

Nasza stacja, na wysokości zaledwie pięciuset mil, znajdowała się najbliżej Ziemi, ale istniały też inne, dużo dalsze stacje, spełniające równie ważne funkcje.

Im dalej leżały w przestrzeni, tym dłużej oczywiście trwał ich pełny obrót wokół Ziemi. Nasz „dzień” składał się tylko ze stu minut, ale najdalsze stacje potrzebowały dwudziestu czterech godzin, aby przebiec orbitę, co miało ciekawe skutki, o których wspomnę później.

Jak to wyjaśniłem poprzednio, Stacja Wewnętrzna była punktem tankowania i remontów statków kosmicznych, zarówno przybywających, jak i odjeżdżających. Ze względu na te zadania musiała się znajdować jak najbliżej Ziemi. Odległość poniżej pięciuset mil byłaby niebezpieczna, bo ostatnie, nawet słabe ślady powietrza pozbawiłyby stację szybkości i mogłyby spowodować jej rozbitcie.

Natomiast stacje meteorologiczne muszą być w znacznej odległości, aby „widzieć” jak najwięcej Ziemi.

Dwie takie stacje, na wysokości sześciu tysięcy mil, okrążały ją w ciągu sześciu i pół godzin. Tak jak nasza Stacja Wewnętrzna szybowały ponad równikiem. To znaczy, że chociaż w polu widzenia miały większy obszar niż my, okolice podbiegunowe były dla nich również niewidoczne albo poważnie zniekształcone.

Z tego powodu założono Polarną Stację Meteorologiczną, której orbita, w przeciwieństwie do innych stacji, biegła ponad biegunami. Te trzy stacje razem wzięte mogły uzyskać praktycznie ciągły

obraz pogody nad całą planetą.

Stacje te prowadziły również wiele badań astronomicznych. Zbudowano dla nich kilka ogromnych teleskopów; unosiły się na swobodnych torach, gdzie ich waga nie miała znaczenia.

Powyżej stacji meteorologicznych, na wysokości piętnastu tysięcy mil, krążyły laboratoria biologiczne i słynny Szpital Kosmiczny. Prowadzi się tam mnóstwo badań w warunkach bezgrawitacyjnych i można z powodzeniem leczyć wiele chorób nieuleczalnych na Ziemi. Na przykład serce, nie wykonując tutaj tak ciężkiej pracy przy pompowaniu krwi, może odpoczywać w stopniu nieosiągalnym na Ziemi.

I wreszcie, na wysokości dwudziestu dwóch tysięcy mil, znajdowały się trzy wielkie stacje przekaźnikowe.

Ich obrót trwał całą dobę i dlatego mogło się wydawać, że stale wiszą nad tymi samymi punktami Ziemi. Połączone ze sobą wiązkami fal radiowych, dawały zasięg telewizyjny na całą planetę. Nie tylko telewizja, ale dalekodystansowa obsługa radiowa i telefoniczna przechodziła przez zespół przekaźnikowy, którego budowa w końcu dwudziestego wieku całkowicie zrewolucjonizowała łączność światową.

Jedna stacja, obsługująca obie Ameryki, znajdowała się nad 90° długości zachodniej. Druga - nad 30° długości wschodniej - miała w swym zasięgu Europę i Afrykę. Trzecia zaś, nad 150° długości wschodniej obsługiwała całą strefę Pacyfiku. Nie było miejsca na Ziemi, skąd nie udałoby się złapać którejś z tej trójki.

A gdy się już raz nastawiło odbiornik na odpowiedni kierunek, nie potrzebowało się go więcej poruszać.

Słońce, Księżyc i planety mogły wschodzić i zachodzić, ale trzy stacje przekaźnikowe nie zmieniały nigdy swego ustalonego położenia na niebie.

Ich różne orbity łączyła wahadłowa obsługa niewielkich rakiet, które podróżowały dość rzadko. Ogólnie biorąc, ruch między poszczególnymi stacjami był mało ożywiony. Większość ich spraw załatwiano bezpośrednio z Ziemią. Z początku miałem nadzieję, że odwiedzę którąś z naszych sąsiadek, ale po paru wywiadach wyszło na jaw, że mi się to nie uda. Miałem wracać do domu za tydzień, a w tym okresie nie trafiłoby się z pewnością wolne miejsce w rakiecie.

Zresztą, jak mnie objaśniono, nawet gdyby znalazło się miejsce dla pasażera, nie brakło bardziej pożytecznych ładunków do zabrania.

Byłem właśnie na „Jutrzence”, przypatrując się, jak Ronnie Jordan wykańcza piękny model statku kosmicznego, kiedy odezwało się radio. Mówił Tim Benton ze stacji, gdzie pełnił służbę. Głos jego zdradzał wielkie podniecenie.

- Czy to Ron? Czy jest tam jeszcze kto? Co, tylko Roy? Mniejsza o to. Słuchaj mnie teraz uważnie, bo to bardzo ważna sprawa.

- Jazda, mów, o co chodzi - powiedział Ron.

Obydwaj byliśmy potężnie zdziwieni, bo nie zdarzyło się nigdy, żeby Tim był aż tak podniecony.

- Potrzebna nam jest „Jutrzenka”. Obiecałem komandorowi, że będzie gotowa w trzy godziny.

- Co?! - krzyknął Ronnie. - To nie do wiary!

- Nie ma czasu na dysputy. Wytlumaczę wam wszystko później. Inni chłopcy już idą. Muszą użyć skafandrów, bo przecież wy wzięliście „Skowronka”.

A teraz notujcie, co trzeba, i zaczniacie sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

Przez następne dwadzieścia minut pochłaniało nas sprawdzanie urządzeń sterowych, oczywiście tych, które w ogóle działały. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co się mogło stać, ale roboty było

takie mnóstwo, że zbrakło nam czasu na domysły. Na szczęście zapoznałem się już tak dokładnie z „Jutrzenką”, że mogłem sporo pomóc Ronowi przy odczytach przyrządów pomiarowych.

Od strony śluzy rozległ się łoskot i hałasy, po czym zjawiło się trzech naszych kolegów, holując baterie i kable. Przyjechali na jednym z raketowych traktorów, które służyły do przesuwania pojazdów i magazynów na terenie stacji, i przywieźli ze sobą dwa pojemniki paliwa, co wystarczyło do napełnienia zapasowych zbiorników. Od nich dopiero dowiedzieliśmy się powodu całego rozgardiaszu.

Alarm powstał w związku z chorobą pewnego pasażera ze statku kursującego na trasie Mars-Ziemia, który właśnie przybił do Stacji Mieszkalnej; człowiek ten zachorował bardzo poważnie i musiał poddać się operacji najdalej w ciągu dziesięciu godzin. Odstawienie go do Szpitala Kosmicznego dawało jedyną szansę uratowania mu życia, ale niestety ani jeden statek nie był w tej chwili do dyspozycji. Wszystkie statki na Stacji Wewnętrznej znajdowały się w naprawie i nie nadawały się do użytku przed upływem co najmniej jednego dnia.

I wtedy Tim namówił komandora, aby powierzył to zadanie praktykantom. Argumentował, że „Jutrzenka” była bardzo starannie utrzymana, a podróż do Szpitala Kosmicznego nie wymagała jakichś niezwykłych wyczynów. Nie zużyje się wiele paliwa i nawet obejdzie się bez włączenia głównych silników.

Całą trasę odbędziemy na pomocniczych raketach.

Komandor Doyle zgodził się, aczkolwiek niechętnie, bo żadna inna alternatywa nie przychodziła mu do głowy. Postawił jednak szereg warunków: mieliśmy dojechać „Jutrzenką” na stację o jej własnych siłach i tutaj ją zatankować, a komandor miał osobiście pilotować nasz pojazd.

W ciągu następnej godziny usilnie starałem się być pożyteczny, w nadziei, że zostanę włączony do załogi.

Moje główne zadanie miało polegać na zbieraniu nie przytwierdzonych przedmiotów, które mogły zacząć się walić w momencie włączenia silników. Określenie „walić” jest może za silne wobec tego, że nie mieliśmy zamiaru rozwijać wielkiej szybkości. Ale każda rzecz szybująca w powietrzu mogła przeszkadzać i nawet stanowić niebezpieczeństwo, jeśli znalazłaby się w nieodpowiednim miejscu.

Cóż to był za wspaniały moment, gdy Norman Powell włączył silnik! Na razie dał krótki i słaby napad, a my wszyscy śledziliśmy liczniki, czy nie ukaże się sygnał niebezpieczeństwa. Od wypadku włożyliśmy skafandry - gdyby któryś motor eksplodował, w kabinie nawigacyjnej nic by nam się prawdopodobnie nie stało, ale łatwo mogłaby powstać dziura w kadłubie.

Całe przedsięwzięcie odbyło się planowo. Wskutek łagodnego przyspieszenia każdy z nas poszybował w stronę, która nagle stała się podłogą. A potem poczucie ciężaru znowu znikło i wszystko wróciło do normy.

Uwaga nasza skupiła się na odczycie przyrządów pomiarowych i porównywaniu cyfr; w rezultacie Norman orzekł:

- Silniki są w porządku. Można startować.

I tak „Jutrzenka” wyruszyła w pierwszą swoją podróż po blisko stu latach wakacji. W porównaniu do jej wielkiej podróży na Wenus obecna wycieczka była raczej niepoważna - około pięciu mil zaledwie od „cementarza” do Stacji Wewnętrznej. A jednak dla nas stanowiło to prawdziwą przygodę, bo każdy był przywiązany do tej poczciwej starej landary.

Dojazd do Stacji Wewnętrznej zajął nam około pięciu minut i Norman zatrzymał statek o paręset jardów przed jej krańcem. Nie chciał ryzykować przy pierwszym swoim dowództwie. Traktory już się tu kręciły, wkrótce przyczepiono liny holownicze i „Jutrzenka” została przyholowana.

Od tej chwili uznałem za rozsądniejsze trzymać się na uboczu. Na tyłach znajdowało się kilka mniejszych pomieszczeń, zwykle służących za magazyny. Większość luźnego sprzętu ze statku zapakowano teraz tutaj i przytwierdzono jak należy. Mimo to zostało jeszcze mnóstwo miejsca.

Chciałbym jedną rzecz dokładnie wyjaśnić. Chociaż w stosunku do mnie użyto określenia „gapowicz”, ja osobiście wcale nie uważani, aby było sprawiedliwe.

Nikt przecież nie kazał mi wyjść, a ja wcale się nie ukrywałem. Gdyby ktoś wszedł przez warsztat i krzątał się po magazynie, byłby mnie zobaczył. Ale nikt nie wszedł. Czy to moja wina?

Chwile oczekiwania mijały bardzo powoli. Dochodziły do mnie oddalone, stłumione okrzyki i rozkazy, a po chwili dało się odczuć charakterystyczne pulsowanie pomp, gdy paliwo napływało do zbiornika.

Wiedziałem, że komandor Doyle na pewno czeka, aż statek osiągnie właściwy punkt na swojej orbicie dokołaziemskiej, i dopiero wtedy puści w ruch silniki.

Nie miałem pojęcia, kiedy to nastąpi, i przeżyłem niesamowity moment zawieszenia.

Wreszcie ostatnia z rakiet z rykiem ożyła. Powróciło poczucie ciężaru. Spływałem po ścianie i stwierdziłem, że znowu stoję na nieruchomej podłodze. Zrobiłem kilka kroków, żeby sprawdzić, jakie to uczucie, i nie odniosłem przyjemnego wrażenia. W ciągu ostatnich dwóch tygodni tak przyzwyczailem się do braku ciężaru, że jego chwilowy powrót wydał mi się przykrą zawadą.

Huk silników trwał przez trzy czy cztery minuty; pod koniec hałas prawie mnie ogłuszył, mimo że zatkałem sobie uszy palcami - nie przewidywano, aby pasażerowie jechali tak blisko rakiet. Odetchnąłem z ulgą, kiedy nagle siła pędu zmalała i otaczający mnie ryk zaczął słabnąć. Wkrótce umilkł zupełnie, chociaż w uszach ciągle mi dzwoniło i dopiero po dłuższej chwili zacząłem słyszeć normalnie.

Ale to było głupstwo. Grunt, że wyruszyliśmy w drogę i nikt już nie zdoła odesłać mnie z powrotem!

Postanowiłem przeczekać jeszcze chwilę, zanim ukazę się w kabinie nawigacyjnej. Komandor Doyle był ciągle zajęty sprawdzaniem kursu i nie chciałem zawracać mu głowy. Poza tym musiałem obmyślić jakąś przekonującą blagę.

Mój widok wywołał ogólne zdumienie. Wśród głuchego milczenia wpłynąłem przez drzwi i powiedziałem:

- Ktoś powinien był mnie ostrzec, że statek wyrusza.

Komandor Doyle spojrział na mnie bez słowa. Przez chwilę nie mogłem rozstrzygnąć, czy się rozniewa, czy nie. Wreszcie odezwał się:

- Cóż ty tu robisz?

- Przywiązywałem sprzęt w magazynie.

Komandor zwrócił się do Normana, który miał dosyć głupią minę.

- Tak było rzeczywiście?

- Tak jest, panie komandorze. Kazałem mu to zrobić, ale sądziłem, że już skończył.

Komandor zastanawiał się chwilę. A potem powiedział:

- Nie ma teraz czasu na roztrząsanie tej sprawy.

Skoro tu jesteś, musimy cię tolerować.

Brzmiało to niezbyt zachęcająco, ale i nie najgorzej.

A mina Normana warta była jeszcze dłuższej podróży!

Reszta załogi „Jutrzenki” obejmowała Tima Bentona, który patrzył na mnie z zagadkowym uśmiechem, i Ronnie’ego Jordana, który w ogóle unikał mego wzroku. Wieźliśmy dwóch pasażerów. Chory, spięty pasami, leżał na noszach przymocowanych do ściany; dano mu pewnie jakiś narkotyk,

bo w ciągu całej podróży nie odzyskał przytomności. Towarzyszył mu młody lekarz, który tylko z niepokojem sprawdzał godzinę i od czasu do czasu robił pacjentowi zastrzyki. Nie wymówił chyba więcej jak tuzin słów przez całą drogę.

Tim wyjaśnił mi później, że chory cierpiał na ostrą, niezmiernie rzadką formę choroby żołądka, spowodowaną powrotem wysokiej siły ciężenia. Na szczęście udało mu się dotrzeć do orbity ziemskiej, bo jeśliby zachorował w trakcie dwumiesięcznej podróży, środki lecznicze możliwe do zastosowania na statku pasażerskim nie byłyby go ocaliły.

Byliśmy skazani na bezczynność, gdy „Jutrzenka” szybowała w przestrzeń po długiej krzywej, która za mniej więcej trzy i pół godziny miała ją doprowadzić do Szpitala Kosmicznego. Za nami Ziemia uciekała wstecz bardzo powoli. Już nie wypełniała sobą nieomal połowy nieba. Dostrzegliśmy teraz o wiele więcej jej powierzchni, niż to było możliwe ze Stacji Wewnętrznej, która szybowała nisko nad równikiem. Od północy w polu widzenia ukazało się Morze Śródziemne, a na przeciwległych krańcach horyzontu, prawie jednocześnie, wysunęła się Japonia i Nowa Zelandia.

Ziemia za nami ciągle malała. I wreszcie stała się kulą zawieszoną w przestrzeni, tak niewielką, że jednym spojrzeniem dało się objąć jej całość. Sięgałem teraz wzrokiem tak daleko ku południowi, że dostrzegłem wielką czapę lodową Antarktydy, lśniąca jak biała grzywa za wąskim cyplem Patagonii.

Znajdowaliśmy się na wysokości piętnastu tysięcy mil ponad Ziemią, szybując ku orbicie Szpitala Kosmicznego. Za chwilę trzeba będzie znowu użyć rakiet, aby zrównać orbity. Tym razem jednak nie ucierpię już tak jak poprzednio, siedząc w dźwiękoszczelnej kabinie.

Wraz z hukem rakiet powrócił znowu ciężar ciała.

Nastąpił jeden dłuższy wybuch energii, a potem seria krótkich, dodatkowych eksplozji. Gdy się skończyły, komandor Doyle odpiął pasy ochronne od fotela pilota i popłynął do luku obserwacyjnego. Instrumenty pokładowe powiedziały mu dużo dokładniej, gdzie się znajdujemy, niż byłby zdolny uczynić to wzrok.

A jednak chciał zaznać przyjemności obejrzenia tego widoku na własne oczy. Ja także przysunąłem się do luku, z którego nikt w tej chwili nie korzystał.

Tuż obok nas unosiło się coś, co przypominało olbrzymi kwiat kryształowy z koroną zwróconą ku Słońcu. Z początku nie mogłem ocenić jego istotnych rozmiarów ani domyślić się odległości. Potem zaś, skroś przezroczystych ścian, dostrzegłem małe figurki w ruchu i pochwyliłem blask światła słonecznego na skomplikowanych machinach i sprzęcie. Stacja miała co najmniej pięćset stóp średnicy, a koszt transportu całego materiału o piętnaście tysięcy mil ponad Ziemię musiał być zawrotny. Dopiero później przypomniałem sobie, że tylko nieznaczna część tych rzeczy przybyła z Ziemi. Jak i inne stacje, Szpital Kosmiczny zbudowano prawie wyłącznie z elementów wyprodukowanych na Księżycu.

Gdy powoli dopłynęliśmy bliżej, spostrzegłem ludzi, gromadzących się na pokładach obserwacyjnych i w pawilonach krytych szkłem, którzy śledzili nasz przyjazd. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ten lot „Jutrzenki” naprawdę stanowił sensację i znajdzie się w programach wszystkich stacji radiowych i telewizyjnych. Jako wiadomość dziennikarska posiadał wszystkie potrzebne czynniki - walkę o życie ludzkie i rozmach wyczynu od dawna nie używanego pojazdu. W szpitalu przypuszczają do nas atak ze wszystkich stron.

Nadjechały traktory raketowe i liny holownicze zaczęły nas wciągać. Po paru minutach zetknęły się nasze śluzy i przez połączenie rurowe przedostaliśmy się do szpitala. Pierwszy ruszył doktor wraz z ciągle nieprzytomnym pacjentem, a za nim my, z pewnym ociąganiem, naprzeciw

oczekującego nas tłumy.

Ostatecznie za nic w świecie nie byłbym zrezygnował z tej frajdy, a komandor na pewno bawił się równie dobrze jak każdy z nas. Przyjmowano nas z różnymi hecami jak bohaterów. Choć ja palcem nie kiwnąłem i co prawda nie miałem nawet prawa w ogóle się tutaj znaleźć (na ten temat padło zresztą parę dosyć kłopotliwych pytań), zbierałem takie same laury jak i tamci. Gościnnie otworzyły się przed nami podwoje stacji.

Na powrót do Stacji Wewnętrznej, jak się okazało, musieliśmy poczekać dwa dni, ponieważ żaden statek nie odchodził w tym okresie na Ziemię. Mogliśmy oczywiście odbyć podróż powrotną na „Jutrzenkę”, ale komandor Doyle postawił veto.

- Raz można kusić Opatrzność - powiedział - ale nie mam zamiaru tego powtarzać. Zanim nasza staruszka puści się w następną podróż, musi się poddać remontowi i próbie silników. Nie wiem, czy zauważyliście, że temperatura w komorze spalania zaczęła nieprzyjemnie wzrastać na ostatnim etapie. I kilka innych rzeczy nie szło tak, jak należy. Nie zamierzam być bohaterem dwa razy w ciągu jednego tygodnia. Następny raz może być ostatnim!

Było to niewątpliwie rozsądne podejście, ale sprawiło nam zawód. Z powodu ostrożności „Jutrzenka” nie wróciła na swój zwykły parking przez blisko miesiąc, ku wielkiemu zmartwieniu swoich opiekunów.

W każdej lecznicy panuje według mnie przygnębiający nastrój, ale Szpital Kosmiczny różnił się od zwykłych szpitali. Ciężko chorych było tu niewielu; na Ziemi od dawna nie żyliby albo byliby zupełnie do niczego wskutek działania ciężenia na ich słabe serca.

Wielu pacjentów nadawało się do powrotu na Ziemię w przyszłości, inni mogli bezpiecznie mieszkać na Księżycu lub na Marsie, a tylko najpoważniejszym przypadkom przyszedłoby pozostać tu na zawsze. Rodzaj wygnania, zapewne, ale jednak dopisywał im dobry humor. Ogromny, zalany słońcem szpital zawierał wszystko, co było dostępne na Ziemi, oczywiście jeśli nie zależało to od siły ciężenia.

Szpital zajmował tylko połowę terenu stacji; resztę przeznaczono na rozmaite laboratoria badawcze. Pod opieką przewodników odbyliśmy kilka ciekawych wycieczek po lśniących czystością pracowniach. A oto co się zdarzyło w czasie jednej takiej wycieczki.

Komandor stale był zajęty jakimiś sprawami w Wydziale Technicznym, więc nas samych zaproszono na zwiedzenie Działu Biologicznego, który według zapowiedzi miał być niezmiernie interesujący. Okazało się, że określenie „interesujący” jest grubo za skromne.

Polecono nam zgłosić się do niejakiego doktora Hawkinsa w korytarzu numer 9, Biologia 2. Otóż nie ma nic łatwiejszego, jak zgubić się na stacji kosmicznej, ponieważ bowiem wszyscy miejscowi doskonale orientują się w terenie, nikt nie dba o jakieś napisy czy strzałki.

Znaleźliśmy, jak nam się zdawało, korytarz numer 9, ale drzwi z tabliczką „Biologia 2” - ani śladu.

Była natomiast tabliczka „Biofizyka 2” i po krótkiej naradzie orzekliśmy, że to coś bardzo zbliżonego.

Na pewno ktoś będzie w pokoju i skieruje nas, gdzie trzeba.

Tim Benton stał najbliżej, więc ostrożnie odemknął drzwi. - Ciemno choć oko wykol - mruknął z niezadowolaniem. - Pfuj, śmierdzi jak w sklepie rybnym podczas upału.

Zajrzałem mu przez ramię. W pokoju panował półmrok i odróżniłem tylko niewyraźne zarysy paru przedmiotów. Było tu bardzo ciepło i wilgotno, a ze wszystkich stron ze szmerem pryskała nieustannie woda. Rozchodził się również jakiś osobliwy zapach, którego nie mogłem zidentyfikować, coś pośredniego między zapachem Zoo i oranżerii.

- To nie tu - powiedział Ronnie Jordan. - Chodźmy spróbować szczęścia gdzie indziej.

- Chwileczkę! - zawołał Norman. Widocznie jego wzrok szybciej niż mój przystosował się do ciemności. - Popatrzcie tylko! Oni mają tutaj drzewo! Przynajmniej to coś wygląda na drzewo, chociaż jest niesamowicie dziwaczne.

Ruszył naprzód, a my za nim, powodowani taką samą ciekawością. Zdałem sobie sprawę, że moi koledzy nie widzieli pewnie drzewa, a nawet źdźbła trawy, od wielu miesięcy. Dla nich drzewo stanowiło niezwykłą sensację.

Teraz już widziałem lepiej. Znajdowaliśmy się w obszernym pokoju; naokoło stały słoje i klatki o szklanych frontowych ściankach. Powietrze przesyciła mgiełka z niezliczonych rozpylaczy i czułem się jak w tropikalnej dżungli. Wszędzie tkwiły pęki żarówek, ale światło zgaszono, a nam nie udało się znaleźć kontaktów.

Okolo czterdziestu stóp przed nami wznosiło się drzewo, które zauważył Norman. Było rzeczywiście niezwykłe. Z metalowego pudła połączonego z różnymi rurkami i pompkami wyrastał smukły, prosty pień.

Liści nie było; z pnia zwisało jedynie kilkanaście gałęzi zwięzających się u dołu, co nadawało drzewu nader smętny wygląd. Przypominało płaczącą wierzbę odartą z listowia. Z pęków rozpylaczy bił w jego kierunku nieustanny strumień wody, wzmagając jeszcze wilgoć powietrza. Zacząłem z trudnością oddychać.

- To nie może być drzewo z Ziemi - powiedział Tim. - Nigdy też nie słyszałem, żeby coś podobnego rośło na Marsie lub na Wenus.

Od tej osobliwości dzieliło nas już tylko parę stóp, a im bliżej podchodziliśmy, tym mniej mi się podobała.

Wspomniałem coś na ten temat, ale Norman tylko się roześmiał.

Śmiech jednak wkrótce przeszedł we wrzask przerażenia. Bo nagle smukły pień pochylił się, wyrzucając ku nam długie gałęzie jak bicze. Jeden owinał mi przegub ręki, a drugi schwycił mnie w pól. Pełen zgrozy, nie mogłem nawet krzyknąć. Przekonałem się na własnej skórze, niestety za późno, że to wcale nie było drzewo, a jego „gałęzie” stanowiły ohydne macki.



## 7. Świat potworów

Moja reakcja była instynktowna i błyskawicznie szybka. Chociaż unosiłem się w powietrzu w połowie wysokości pokoju, a więc nie miałem pod ręką żadnego solidnego uchwytu, mogłem jeszcze z powodzeniem walić naokoło, gdzie popadnie. Inni chłopcy poszli za moim przykładem. Gdy zetknąłem się z podłogą, udało mi się wymierzyć potężne kopnięcie. Cienkie macki zwolniły uchwyt, a ja pomknąłem do sufitu. Złapałem się czegoś w porę, unikając grzmotnięcia o pułap, a potem spojrzałem w dół, żeby sprawdzić, co się dzieje z kolegami.

Wszyscy już się oswobodzili i teraz, kiedy strach minął, zdałem sobie sprawę, jak słabiotkie były w rzeczywistości te zaciskające się macki. Gdybyśmy się znajdowali na stałym gruncie, z ciężeniem działającym na naszą korzyść, bylibyśmy się uwolnili bez najmniejszego trudu. A nawet tutaj żadnemu z nas nic się nie stało. Najedliśmy się tylko strachu.

- Cóż to takiego, u diabła? - wykrztusił Tim, gdy mógł już oddychać i wywikłał się z jakichś gumowych rurek, które spadały fałdami wzdłuż ściany.

Każdy z nas zbyt był wstrząśnięty, aby się zdobyć na odpowiedź. Niepewnie sunęliśmy do wyjścia, kiedy pokój zalała nagle powódź światła i ktoś zawołał:

- Co to za harmider?

Otworzyły się drzwi i wpłynął przez nie mężczyzna w białym kitlu. Popatrzawszy na nas chwilę, powiedział:

- Mam nadzieję, że żaden z was nie drażnił się z Cuthbertem?

- Drażnić się z nimi - zawołał Norman. - Takiego stracha, jak on, jeszcze nikt mi w życiu nie napędził! Szukaliśmy doktora Hawkinsa, a trafiliśmy na tego... tego potwora z Marsa czy diabeł wie skąd!

Nieznajomy roześmiał się. Nabrał rozpędu spod drzwi i popłynął do wiązki macek w tej chwili nieruchomych.

- Niech pan uważa! - krzyknął Tim.

Ze zgrozą, ale jak urzeczeni obserwowaliśmy tę scenę. Skoro tylko człowiek znalazł się w ich zasięgu, smukłe macki znowu wyskoczyły do przodu i owinęły się dokoła niego. A on osłonił tylko twarz wyciągniętą ręką, ale poza tym żadnym ruchem nie usiłował się bronić.

- Cuthbert nie odznacza się, niestety, nadmierną inteligencją - powiedział. - Zakłada, że cokolwiek się zbliża, powinno być jedzeniem, i wobec tego sięga po nie. My jednak nie stanowimy lekkostrawnego posiłku, więc szybko daje za wygraną - ot, tak.

Macki już zwolniły uścisk. Ruchem do złudzenia przypominającym gest wzgardy odrzuciły więźnia, który wybuchnął śmiechem na widok naszych zdumionych min.

- Cuthbert nie może się również pochwalić specjalną siłą. Z łatwością można się wyswobodzić z jego objęć, nawet gdyby nie chciał was puścić.

- A ja uważam, że to jednak niebezpiecznie zostawiać na wolności taką bestię - powiedział Norman z godnością. - Proszę nam powiedzieć, co to właściwie jest? I z jakiej planety pochodzi?

- Zdziwicie się, ale wyjaśnienie pozostawię już doktorowi Hawkinsowi. To on mnie prosił, żebym was poszukał, gdy nie zjawiliście się u niego. Doprawdy, bardzo mi przykro, że Cuthbert napędził wam takiego stracha. Drzwi powinny być zamknięte na klucz, ale ktoś znowu o tym zapomniał.

To było wszystko, co otrzymaliśmy na pociechę!

Z niemiłej przygody wynieśliśmy nieodpowiedni nastrój do zwiedzania i słuchania naukowych objaśnień, ale mimo nieudanego początku laboratorium biologiczne wydały nam się bardzo ciekawe.

Doktor Hawkins, kierownik tutejszych pracowni badawczych, opowiedział nam o bieżącej robocie i o zawrotnych możliwościach, jakie niska siła ciężenia otworzyła w dziedzinie przedłużania życia.

- Na Ziemi - mówił - serce musi walczyć z ciężeniem od chwili naszych urodzin. Krew jest nieustannie pompowana do całego ciała, od głowy do nóg i z powrotem. Serce odpoczywa tylko, kiedy leżymy, a to nawet dla największych leniuchów stanowi zaledwie jedną trzecią życia. Tutaj natomiast serce nie - wysila się, by przewyciężyć grawitację.

- W takim razie dlaczego nie galopuje jak maszyna bez obciążenia? - zapytał Tim.

- Słuszne pytanie. A oto odpowiedź: bo natura dała nam cudowny automatyczny regulator. A sercu pozostaje i tak sporo do roboty w żyłach i arteriach wobec siły tarcia. Ciągłe jeszcze nie wiemy, jakie zmiany przyniesie brak ciężenia, bo zbyt niedawno opanowaliśmy przestrzeń. Ale można sądzić, że długość życia powinna tutaj znacznie przekroczyć setkę lat. Tyle samo osiągnie się może i na Księżycu. Jeśli potrafiemy tego dowieść, zacznie się ucieczka starych ludzi z Ziemi! Na razie jednakże są to wszystko domniemania. A teraz pokażę wata coś, co według mnie jest równie fascynujące.

Doktor Hawkins zaprowadził nas do pokoju o ścianach składających się prawie wyłącznie ze szklanych klatek pełnych stworzeń, których na pierwszy rzut oka nie mogłem zidentyfikować. A potem wyrwał mi się stłumiony okrzyk zdziwienia:

- Muchy! Skąd się tu wzięły muchy?

Rzeczywiście były to prawdziwe muchy. Z jedną wszakże różnicą - rozpiętość ich skrzydeł wynosiła stopę albo i więcej.

Doktor Hawkins roześmiał się.

- Znowu brak ciężenia z dodatkiem paru specjalnych hormonów. Na Ziemi, jak wiecie, ciężar ciała zwierzęcia ma decydujący wpływ na wzrost. Mucha tych rozmiarów nie mogłaby unieść się w powietrzu.

Lot naszych wychowanek sprawia dziwne wrażenie; z łatwością dostrzega się bicie ich skrzydeł.

- Co to za gatunek much? - zapytał Tim.

- *Drosophila* - muszka owocowa. Szybko się lęgnie i na Ziemi badano ją przez około półtora wieku.

Drzewo genealogiczne tej tutaj muchy mogę doprowadzić wstecz do 1920 roku!

Osobiście znałem bardziej porywające zajęcia niż badanie much, ale biolodzy wiedzieli prawdopodobnie, co robią. Ostatecznie rezultaty były rzeczywiście imponujące... i obrzydliwe. Muchy nie grzeszą urodą, nawet przy normalnej wielkości.

- A teraz coś dla kontrastu - powiedział doktor Hawkins nastawiając duży projekcyjny mikroskop. Tego jegomościa możecie zobaczyć gołym okiem, to znaczy normalnie.

Przekręcił kontakt i na ekran padł krąg światła.

Mieliśmy przed sobą kroplę wody z dziwnymi kłaczkami galarety i maleńkimi żyjątkami, które kręciły się w polu widzenia. A w środku ekranu gnuśnie powiewając mackami, znajdował się...

- Jakże! - zawołał Ron. - To przypomina potwora, co próbował nas schwycić.

- Słusznie - odparł doktor Hawkins. - To jest hydra; największa ma zaledwie dziesiątą część cała długości. Jak widzicie, Cuthbert nie pochodzi z Marsa czy z Wenus, ale przywieziono go z Ziemi. Zwiększenie jego rozmiarów jest jak do tej pory naszym najbardziej imponującym osiągnięciem.

- Ale jaki jest cel eksperymentu? - zapytał Tim.

- Ten, że łatwiej prowadzić badania nad istotami, gdy są większe. Nasza wiedza o żywej

materii niezmiernie wzrosła, odkąd potrafimy osiągnąć takie rzeczy. Chociaż muszę przyznać, że z Cuthbertem przesoliliśmy. Utrzymanie go przy życiu pochłania mnóstwo wysiłków i nie zanosi się na to, abyśmy mieli pobić ten rekord.

Poszliśmy powtórnie do Cuthberta. Tym razem światło się paliło; poprzednio wdepnęliśmy do laboratoriów akurat w czasie jednego z krótkich okresów sztucznej „nocy”. Mimo pewności, że stwór nie jest groźny, trzymaliśmy się z daleka. Tim Benton jednak dał się namówić i podał mu kawałek mięsa; cienka macka natychmiast porwała jedzenie i wpakowała na wierzch długiego, smukłego „pnia”.

- Powiniennem wam jeszcze wyjaśnić - powiedział doktor Hawkins - że hydry zwykle unieruchamiają swoje ofiary przez ukąszenie. Wzdłuż macek rozmieszczone są gruczołki z jadem, ale udało się nam je zneutralizować. Gdyby nie to, Cuthbert byłby równie niebezpieczny, jak klatka pełna kobr.

Chciałem powiedzieć, że nie mam wysokiego mniemania o doborze faworytów w laboratoriach, ale w porę ugryzłem się w język, bo przecież byłaby to niegrzeczna uwaga w ustach gościa.

Nowych sensacji w czasie naszego pobytu w szpitalu dostarczyła nam wizyta w Wydziale Ciężenia.

Wspomniałem już, że na niektórych stacjach kosmicznych wytwarza się rodzaj sztucznego ciężenia, dzięki ich powolnemu obrotowi wokół osi. Do czegoś podobnego służył olbrzymi zasobnik czy wirówka na terenie szpitala. Przewieziono nas tym wehikułem częściowo dla śmiechu, a częściowo, żeby sprawdzić nasze reakcje na odzyskanie ciężaru ciała.

Kabina ciężenia był to zasobnik o średnicy około pięćdziesięciu stóp; przy każdym końcu wspierał się on na dwóch czopach, a poruszały go silniki elektryczne. Wszedłszy przez luk w jednym boku, znaleźliśmy się w pokoiku, który na Ziemi byłby się wydał zupełnie normalny. Na ścianie wisiały obrazy, a do „sufitu”

(przymocowano żyrandol. Operując wrażeniami wzrokowymi zamierzano stworzyć przekonanie, że „góra” i „dół” znowu tutaj istnieją.

Zasiedliśmy w wygodnych fotelach i czekaliśmy.

Najpierw dała się odczuć łagodna wibracja i wrażenie ruchu; kabina zaczęła się obracać. Bardzo powoli wracało do mnie poczucie ciężaru. Z wysiłkiem poruszałem nogą czy ręką: znowu stałem się niewolnikiem prawa grawitacji, a zatraciłem zdolność sunięcia w powietrzu swobodnie jak ptak.

Ukryty głośnik dawał nam instrukcje.

- Teraz utrzymamy stałą szybkość. Proszę wstać i chodzić, tylko ostrożnie!

Wstałem z krzesła, ale natychmiast opadłem z powrotem, wyczerpany tym wysiłkiem.

- Uff! - zawołałem. - Jakim to ciężarem obdarzyli nas ci faceci? Mam wrażenie, że jestem na Jowiszu!

Podłuchano widać moje słowa, bo z głośnika rozległ się śmiech.

- Ważysz akurat połowę tego, co na Ziemi. Ale po kilku tygodniach nieważkości i to wydaje się dużo, prawda?

Ta uwaga przygnębiła mnie. W takim razie po powrocie na Ziemię będę ważyć dwa razy tyle, co w tej chwili! Nasz instruktor widać odgadł moje myśli.

- Nie ma się czym przejmować. Szybko przyzwyczaiłeś się do zmiany w czasie podróży z Ziemi i tak samo będzie w odwrotną stronę. Po powrocie powinieneś tylko nie przemęczać się przez parę dni i nie zapominać, że nie da rady skoczyć przez okno z najwyższego piętra, i spokojnie dopłynąć na dół.

W tym ujęciu brzmiało to idiotycznie, ale właśnie do takich rzeczy tutaj przywykłem. Ciekawe, ile ludzi skręca kark po powrocie na Ziemię z kosmosu”!

W wirówce usiłowaliśmy robić wszystkie rzeczy niemożliwe w warunkach bezgrawitacyjnych. Z uciechą patrzyliśmy, jak płyny leją się cienkim strumyczkiem i zostają na dnie szklanki. Bez ustanku podskakiwałem niewysoko w górę, żeby zaznać niezwykłego wrażenia szybkiego powrotu na to samo miejsce.

Wreszcie kazano nam się z powrotem. Puszczono w ruch hamulce i wirowanie kabiny ustało. Wraz z stanem nieważkości powróciliśmy znowu do normy!

Żałuję, że nie zostaliśmy przez tydzień albo i dłużej w Szpitalu Kosmicznym, żeby zwiedzić dokładnie cały teren. Było tu wszystko, czego brakło na Stacji Wewnętrznej, i moi koledzy, którzy od miesiący nie odwiedzili Ziemi, cenili sobie ten luksus jeszcze wyżej niż ja. Dziwiła ich możliwość oglądania sklepów i ogrodów czy pójścia do teatru. Teatr był naprawdę niezapomnianym przeżyciem. Dzięki brakowi siły ciężenia na małej przestrzeni mogło się zmieścić liczne audytorium i każdy dobrze widział całą scenę. Ale reżyser miał tu twardy orzech do zgryzienia, bo musiał w jakiś sposób stworzyć iluzję grawitacji. Postaciom w sztuce Szekspirowskiej nie uchodziłoby fruwanie w powietrzu.

Aktorzy musieli więc uciec się do obuwia magnetycznego - tego ulubionego chwytu autorów dawnych fantastycznonaukowych powieści. Był to jedyny moment, kiedy spotkałem się z jego zastosowaniem w życiu.

Widzieliśmy „Makbeta”. Wprawdzie Szekspir nic mi nie mówi i do teatru poszedłem tylko dlatego, że nas zaproszono i byłoby niegrzecznie odmówić, ale koniec końców nie żałowałem, choćby ze względu na obserwację chorych, którym przedstawienie nadzwyczaj się podobało. A poza tym mało kto może się poszczycić, że widział Lady Makbet w somnambulicznej scenie sunącą ze schodów w magnetycznym obuwiu!

Była oprócz tego inna przyczyna, dla której nie śpieszyłem się do powrotu na Stację Wewnętrzną: za trzy dni musiałem zameldować się na pokładzie statku towarowego, który miał mnie zabrać na Ziemię. Wprawdzie sprzyjało mi kolosalne szczęście, że mogłem zwiedzić Szpital Kosmiczny, lecz pozostawało ponadto mnóstwo rzeczy do obejrzenia. A więc stacje meteorologiczne, olbrzymie obserwatoria z wielkimi teleskopami unoszącymi się w powietrzu i stacje przekaźnikowe wysunięte w przestrzeń o dalsze siedem tysięcy mil. Ale trudno - musiały one poczekać do następnego razu.

Zanim przybyła po nas rakieta, dowiedzieliśmy się z radością, że powierzona nam misja została uwieńczona powodzeniem. Naszemu choremu pasażerowi nie groziło już niebezpieczeństwo i miał szansę całkowitego powrotu do zdrowia. Jednakże odjazd na Ziemię stanowiłby dla niego ryzyko i to dawało ironiczny posmak całej historii. Przebył nadaremnie te dziesiątki milionów mil. W najlepszym razie mógł spoglądać na Ziemię przez teleskopy obserwacyjne i patrzeć na zielone pola, po których nigdy już więcej nie będzie chodził. Po okresie rekonwalescencji wróci na Marsa, gdzie panuje niższa siła ciężenia.

Rakieta, którą mieliśmy się zabrać, odwołano z jej normalnego kursu między stacjami obserwacyjnymi.

W rakiecie Tim dalej dysputował z komandorem. Chociaż nie - dysputować nie jest właściwym słowem.

Nikt nie mógłby dysputować z komandorem Doyle'em.

Właściwie Tim boleściwym tonem usiłował dać mu do zrozumienia, jaka to naprawdę niepowetowana szkoda, że nie mogliśmy wrócić „Jutrzenką”. Komandor tylko się uśmiechnął.

- Poczekaj z żalami, dopóki nie zobaczysz raportu z przeglądu - doradził Timowi. - Może wtedy zmienisz zdanie. Mogę się założyć, że „Jutrzenka” potrzebuje co najmniej nowej wykładziny. Mam lepsze samopoczucie na statku kosmicznym, który liczy sobie o sto lat mniej!

Ale wobec tego, co nas ostatecznie spotkało, komandor z całą pewnością żałował, że nas nie posłuchał...

Po raz pierwszy w życiu znalazłem się teraz w jednej z tych międzyorbitowych rakiet o małej mocy, jeśli nie zaliczać do tej kategorii naszego „Skowronka” domowej produkcji. Kabina nawigacyjna przypominała urządzenia w każdym statku kosmicznym, ale z zewnątrz pojazd wyglądał bardzo osobliwie. Zbudowano go na miejscu, w kosmosie, i oczywiście nie posiadał linii opływowej ani stateczników. Kabiną o kształcie z grubsza jajowatym połączono za pomocą trzech dźwigarów ze zbiornikami paliwa i silnikami rakiety. Większość ładunku nie mieściła się w środku statku, a była po prostu przymocowywana w trafnie tak nazywanych „półkach na bagaż”, to jest w całej serii siatek drucianych wspartych na zastrzałach. Na rzeczy, które musiały być przechowywane w normalnym ciśnieniu, przeznaczono mały pojemnik z drugim lukiem wyjściowym, bezpośrednio za kabiną nawigacyjną. Cała struktura statku zdradzała troskę raczej o sprawność działania niż o estetykę.

Pilot już na nas czekał i komandor przez jakiś czas rozprawiał z nim na temat trasy.

- To nie jego rzecz - szepnął mi Norman na ucho - ale stary nie może się powstrzymać, tak mu przyjemnie, że znowu jest w przestrzeni.

Miałem na końcu języka, że przecież komandor cały czas przebywa w przestrzeni. Ale zorientowałem się, że pod niektórymi względami jego biuro na Stacji Wewnętrznej nie różni się wiele od jakiegoś biura na Ziemi.

Mieliśmy prawie godzinę do odlotu, aż nadto na wszystkie potrzebne kontrole i ostatnie przygotowania.

Usiadłem na koi najbliższej luku obserwacyjnego, żeby patrzeć na szpital w chwili, gdy oderwiemy się od jego orbity i zaczniemy spadać ku Ziemi. Trudno było uwierzyć, że ten wielki kwiat ze szkła i mas plastycznych, unoszący się w przestrzeni w promieniach słońca, które zalewało jego sale, laboratoria i pokłady obserwacyjne, rzeczywiście wiruje wokół Ziemi z prędkością ośmiu tysięcy mil na godzinę. W czasie oczekiwania na początek lotu przypomniały mi się próby wyjaśnienia mamie istoty stacji kosmicznych. Tak jak wiele innych osób, nigdy nie mogła dokładnie zrozumieć, „dlaczego one nie spadają”.

- Posłuchaj, mam - mówiłem. - One poruszają się szalenie prędko, okrążając Ziemię wielkim kołem.

A gdy coś się porusza w ten sposób, uzyskuje się siłę odśrodkową. To samo dzieje się, gdy kręcisz kamieniem uwiązany na sznurku.

- Nigdy nie kręcę kamieniami uwiązanymi na sznurku - odpowiadała mama. - I mam nadzieję, że ty także nie będziesz tego robił, przynajmniej w pokoju.

- To był tylko przykład - mówiłem dalej. - Przykład przytaczany w szkole. Tak jak kamień nie może odfrunąć, bo ciągnie go sznurek, tak stacja kosmiczna musi być tam, gdzie jest, z powodu siły ciężenia. Skoro raz nada się jej właściwą prędkość, będzie tkwiła w przestrzeni na zawsze, bez użycia jakiegokolwiek energii. Nie może utracić prędkości, bo nie istnieje opór powietrza. Prędkość musi być oczywiście dokładnie obliczona. Niedaleko Ziemi, gdzie silnie działa przyciąganie, stacja musi poruszać się szybko, aby móc się utrzymać. To tak, jakbyś uwiązała ten kamień do krótkiego sznurka: musisz nim kręcić szybko. Ale daleko od Ziemi, gdzie przyciąganie jest słabsze, stacja mogą poruszać się wolniej.

- Właśnie coś podobnego sobie wyobrażałam - odpowiadała mi mama. - Ale najbardziej mnie niepokoi taka rzecz: przypuśćmy, że któraś stacja wytraci trochę szybkości? Czy wtedy nie spadnie? Wszystko razem wygląda mi na wielkie ryzyko. Jak taniec na linie. Jeśli coś się stanie nie tak, jak trzeba...

Nie znając jeszcze wtedy odpowiedzi, mogłem jedynie argumentować w ten sposób:

- Ostatecznie Księżyc nie spada, a przecież utrzymuje się w przestrzeni właśnie na tej zasadzie.

Właściwą odpowiedź otrzymałem dopiero na Stacji Wewnętrznej, chociaż powinienem był sam na to wpaść. Jeśliby prędkość stacji kosmicznej trochę się zmniejszyła, stacja po prostu przesunęłaby się na krótszą orbitę. Trzeba by znacznego wytracenia prędkości, żeby zbliżyła się do Ziemi w sposób niebezpieczny, co wymagałoby zresztą sporo hamowania silnikami. W żadnym razie nie mogłoby się to stać przypadkiem.

Spojrzałem na zegarek. Jeszcze pół godziny do startu. Jakie to zabawne - dlaczego jestem taki śpiący?

Wyspałem się przecież świetnie zeszłej nocy. Może było za dużo wrażeń? Trzeba się trochę odprężyć i odpocząć - nic nie ma do roboty, dopóki nie przybijemy do Stacji Wewnętrznej za cztery godziny. Czy może za cztery dni? Doprawdy, nie pamiętam, ale to nieważne. Wszystko jest nieważne, nawet fakt, że każdą rzecz wokół mnie kryje częściowo różowa mgiełka...

I w tym momencie usłyszałem krzyk komandora Doyle'a. Krzyk brzmiał jak z odległości wielu mil i chociaż majaczyło mi się, że jego słowa muszą coś znaczyć, do mojej świadomości nie dochodziło ich znaczenie. Puste słowa: „Zapasowy tlen!”, brzęczały mi jeszcze ciągle w uszach, gdy całkowicie straciłem przytomność.

## 8. Wotchłań

Był to jeden z tych dziwaczkich snów, kiedy zdajemy sobie sprawę, że śnimy, ale na nic nie jesteśmy w stanie zareagować. W tym śnie zdarzenia z ostatnich paru tygodni, jak również reminiscencje z dawniejszych czasów, złożyły się na jeden wielki galimatias.

Niektóre rzeczy działały się całkiem na opak. Znajdowałem się na Ziemi, ale w stanie nieważkości, i jak obłok płynąłem nad wzgórzami i dolinami. Albo znowu, będąc na Stacji Wewnętrznej, przy każdym ruchu musiałem walczyć z siłą ciężenia.

Sen zakończył się koszmarem. Szedłem skrótami przez Stację Wewnętrzną, niedozwoloną, ale powszechnie używaną trasą, którą mi pokazał Norman. Centralną część stacji z leżącymi na jej krańcach komorami ciśnieniowymi łączyły przewody wentylacyjne na tyle obszerne, że mogły pomieścić człowieka. Powietrze cyrkulowało tędy z dużą szybkością i w niektórych miejscach czekała przejażdżka za darmo. Przyjemność niesamowita, ale należało uważać, bo łatwo było przeoczyć wyjście, a żeby wrócić, musiało się walczyć przeciwko prądowi. Otóż w tym śnie poniósł mnie strumień powietrza i zgubiłem drogę. Na wprost widziałem już wielkie łopaty wentylatora, które mnie ku sobie wsysały, a okratowanie ochronne znikło! Za chwilę zostanę pokrajany na plasterki jak polec boczkę...

- Już przychodzi do siebie - usłyszałem czyjś głos. - Stracił przytomność tylko na moment. Dajcie mu jeszcze raz pociągnąć.

Fontanna chłodnego gazu uderzyła mnie prosto w twarz i usiłowałem uchylić od niej głowę. A potem otworzyłem oczy i uprzytomniłem sobie, gdzie jestem.

- Co się stało? - zapytałem, ciągle mocno otumaniony.

Koło mnie siedział Tim Benton, trzymając w ręku balon z tlenem. Nie wyglądało na to, aby się w najmniejszej mierze przejął moim zasłabnięciem.

- Nie wiemy właściwie - odparł. - Ale już wszystko w porządku. Musiał się zaciąć przełącznik w zaworach przy opróżnianiu jednego ze zbiorników z tlenem.

Ty jeden zemdlałeś, a niebezpieczeństwo zażegnaliśmy rozbijając młotkiem rozdzielacz tlenu. Sposób prymitywny, ale zazwyczaj skuteczny. Po powrocie trzeba będzie ten rozdzielacz rozebrać i ktoś musi sprawdzić, dlaczego urządzenie alarmowe nie działało.

Ciągle byłem otumaniony i wstydziłem się trochę omdlenia, a przecież taka rzecz jest niezależna od naszej woli. Ostatecznie spełniłem rolę świnki morskiej w ludzkiej skórze, aby ostrzec innych. Chociaż porównanie do kanarków, które w dawnych czasach górnicy zabierali z sobą, aby wypróbować powietrze w kopalni, byłoby tutaj może bardziej na miejscu.

- Czy takie rzeczy często się zdarzają? - zapytałem.

- Bardzo rzadko - odpowiedział Norman Powell.

Tym razem przynajmniej miał poważną minę. - Na statku kosmicznym tyle jest rozmaitych wichajstrów, że bez ustanku trzeba się mieć na baczności. I za sto lat nie pozbedziemy się wszystkich defektów w czasie lotów kosmicznych. Raz nawali to, a drugi raz coś innego.

- Nie kracz tak, Norman - powiedział Tim. Dostała nam się już odpowiednia porcja kłopotów w czasie tej podróży. Ale teraz wszystko chyba powinno pójść gładko.

Przyszłość wykazała, że Tim nie mógł zrobić bardziej pechowej uwagi. Inni chłopcy na pewno się postarali, żeby nigdy o tym nie zapomnieli.

Oddaliliśmy się już o kilka mil od szpitala, na tyle daleko, aby nasze silniki nie mogły wyrządzić mu szkody. Pilot nastawił stery i czekał z włączeniem silników na z góry ustalony moment, a my wszyscy leżeliśmy w jego koi. Przyśpieszenie będzie za słabe, aby dać się specjalnie odczuć,

ale przy wybuchu nie powinno się wchodzić w drogę pilotowi, a zresztą po prostu nie mieliśmy się gdzie podziąć.

Silniki wyły przez prawie dwie minuty, a gdy umilkły, szpital leżał o dwadzieścia czy trzydzieści mil za nami, podobny do miniaturowej świecącej zabawki.

Jeśli pilot wykonał swoje zadanie, jak należy, opadaliśmy teraz na długą krzywą, która doprowadzi nas znowu na Stację Wewnętrzną. Nic nam nie pozostawało innego, jak siedzieć spokojnie i czekać przez następne trzy i pół godziny. Przez ten czas Ziemia będzie osiągała coraz to większe rozmiary, na nowo wypełniając prawie pół nieba.

W trakcie podróży do szpitala rozmowy były wykluczone z powodu obecności chorego, ale teraz mieliśmy już zupełną swobodę. Naszą gromadkę ogarnęło osobliwe uczucie podniecenia i nawet niefrasobliwości.

Gdybym się chwilę zastanowił, uderzyłoby mnie na pewno coś dziwnego w charakterze naszych śmiechów i żartów. W danej chwili jednak nie dostrzegałem w nich nic nienaturalnego.

Nawet komandor rozkrochmalił się tak jak nigdy.

Nie żeby na co dzień był jakiś specjalnie przytłaczający, gdy się człowiek raz z nim oswoił. Ale nie miał zwyczaju rozwodzić się na temat własnej osoby i na Stacji Wewnętrznej nikomu by się nawet nie śniło dopraszać, aby opowiedział o swoich przygodach w czasie pierwszej wyprawy na Merkurego. A gdyby nawet ktoś się na to powążył, komandor na pewno nie uległby prośbom tak jak teraz. Trochę się wzdragał, ale niezbyt przekonywająco. I wreszcie zaczął opowiadanie.

- Od czego tu zacząć? - zastanawiał się. - No cóż, o samej podróży niewiele da się powiedzieć; lot jak lot. Nikt do tej pory nie był tak blisko Słońca, ale lustrzana powłoka naszego statku działała pierwszorzędnie i chroniła nas przed zbytnim gorącem, odbijając osiemdziesiąt procent promieni słonecznych.

Według instrukcji nie mieliśmy próbować lądowania bez absolutnej pewności bezpieczeństwa. Wszedłszy więc na orbitę tysiąc mil ponad Ziemią, zabraliśmy się do dokładnych obserwacji.

Wiadomo wam oczywiście, że Merkury zawsze ma jedną stronę zwróconą ku Słońcu, a więc nie istnieje tam zjawisko dni i nocy, znane na Ziemi. Jedna strona planety jest pogrążona w wiecznych ciemnościach, druga zaś - jaskrawo oświetlona. Niemniej pomiędzy dwiema półkulami istnieje wąska strefa „półmroku”, gdzie temperatura również nie jest skrajna. Projektowaliśmy osadzić statek w tych okolicach, jeśli uda nam się znaleźć korzystne lądowisko.

Pierwsza niespodzianka spotkała nas przy oględzinach dziennej półkuli planety. Każdy sobie wyobrażał, że zobaczymy coś bardzo podobnego do Księżyca powierzchnią zrytą kraterami i łańcuchami górskimi.

Ale tak nie było. Półkula Merkurego obrócona ku Słońcu nie miała wcale gór, tylko parą niskich pagórków wśród rozległych, popękanych równin. Po chwili zastanowienia przyczyna tego stanu rzeczy wydała się oczywista. W wiecznym świetle słonecznym temperatura wynosi powyżej siedmiuset stopni Fahrenheita; o wiele za mało, aby rozpuszczać skały, dosyć jednak, aby je zmiękczyć, reszty zaś dokonała siła ciężenia.

W ciągu milionów lat wszelkie góry, które mogły istnieć na dziennej półkuli Merkurego, rozpadły się powoli, tak jak w upalny dzień rozplywa się kupka smoły. Prawdziwe góry wznosiły się jedynie wzdłuż krawędzi krainy nocy, gdzie temperatura była znacznie niższa.

Następną niespodziankę stanowiło odkrycie, że w tym gorejącym piekle są jeziora. Nie zawierały oczywiście wody, tylko roztopiony metal. Ponieważ do tej pory nikt do nich nie dotarł, nie wiemy, co to za metal przypuszczalnie ołów i cyna z domieszką innych składników. Jeziora wypełnione stopem lutowniczym!



W przyszłości, gdy odkryjemy sposób, aby je spuścić, mogą się okazać niezmiernie cenne.

Komandor z zadumą pokiwał głową, a potem ciągnął dalej:

- Jak się łatwo możecie domyślić, wcale się nam nie śpieszyło do lądowania w środku dziennej półkuli.

Więc po sporządzeniu mapy fotograficznej rzuciliśmy okiem na półkulą nocną.

Oświetlanie za pomocą bomb stanowiło jedyną możliwość jej obejrzenia. Przybliżyliśmy się na tyle, na ile starczyło nam odwagi - coś poniżej stu mil zapalając jeden po drugim znaczki o sile miliarda świateł i jednocześnie fotografując. Bomby oświetlające dzieliły naturalnie naszą prędkość i podróżowały razem z nami, dopóki się nie wypaliły.

Dziwne to było przeżycie - świadomość, że rozpraszamy mroki w miejscu, które nigdy nie widziało Słońca, w miejscu, gdzie jedynym zapewne światłem przez miliony lat była jasność gwiazd. Jeśli na nocnej półkuli Merkurego istniała jakakolwiek forma życia co wydawało się zresztą wysoce nieprawdopodobne jakaż to musiała być niespodzianka dla tamtejszych żywych istot! Od razu mi to przyszło do głowy, gdy patrzyłem, jak blask wybuchów naszych bomb zalewa ukryty w ciemnościach kontynent. A potem orzekłem, że mieszkańcy tej krainy nocy byliby pewno zupełnie ślepi, tak jak ryby w głębinach naszych oceanów. Było to jednak tylko fantazjowanie. Nic nie mogło przecież żyć w tych wieczystych ciemnościach, w temperaturze prawie czterystu stopni poniżej punktu zamarzania.

Teraz, rozumie się, wiemy na ten temat znacznie więcej - dodał z uśmiechem komandor.

- Minał prawie tydzień - ciągnął dalej - zanim zaryzykowaliśmy lądowanie; przez ten czas sporządziliśmy dość dokładną mapę powierzchni planety.

Półkula północna i znaczna część pasa granicznego są dość górzyste, ale zauważyliśmy również wiele płaskich obszarów, które wyglądały nader zachęcająco.

Ostatecznie wybraliśmy obszerną, płytką kotlinę na skraju dziennej półkuli.

Na Merkury jest jakaś atmosfera, ale zbyt rzadka, aby mogły mieć zastosowanie skrzydła czy spadochrony. Musieliśmy więc lądować, hamując silnikami odrzutowymi, tak jak się ląduje na Księżycu. Choćby się to przeżyło po raz nie wiem który, lądowanie rakiety zawsze trochę wyprowadza z równowagi, zwłaszcza w nieznanym świecie, gdzie nie ma absolutnej pewności, czy coś, co wygląda na skałę, jest nią istotnie.

Tym razem była to prawdziwa skała, a nie zdradliwe osady pyłu, jak na Księżycu. Podwozie wytrzymało uderzenie tak gładko, że w kabinie zaledwieśmy to odczuli. Potem silniki wyłączyły się automatycznie i oto byliśmy na miejscu - pierwsi ludzie na Merkury. I prawdopodobnie pierwsze żywe istoty, których stopa dotknęła tej planety.

Wspomniałem już, że wylądowaliśmy na rubieżach dziennej półkuli, a więc na horyzoncie wznosił się wielki, oślepiający krąg Słońca. Przedziwne wrażenie:

Słońce nieomal przytwierdzone w jednym punkcie, nigdy nie wschodzące ani nie zachodzące. Ponieważ Merkury ma bardzo mimośrodową orbitę, Słońce przesuwają się na niebie po łuku o znacznej rozpiętości, chociaż nigdy nie opuszcza się poniżej horyzontu. Miałem stale wrażenie, że jest późne popołudnie i noc za pasem. Bo trudno było przywyknąć, że słowa „noc” i „dzień” nic tutaj nie znaczyły.

„Badanie nowego świata” - to brzmi podniecająco i rzeczywiście jest podniecające, jednocześnie zaś wymaga ciężkiej, a także niebezpiecznej pracy, zwłaszcza na takiej planecie, jak Merkury. Pierwsze nasze zadanie polegało na sprawdzeniu, czy statek nie rozgrzał się nadmiernie; w tym celu przywieźliśmy ze sobą parę ochronnych daszków. Nazywaliśmy je „nasze parasolki”. Wyglądały osobliwie, ale spełniały swoją rolę.

Mieliśmy nawet przenośne typy daszków, podobne do wiotkich namiotów, żeby zabezpieczyć

się przy każdym dłuższym przebywaniu na otwartej przestrzeni.

Namiociki te, zrobione z białego nylonu, odbijały większość promieni słonecznych, przepuszczając ich jednak dość, aby zapewnić nam potrzebne ciepło i światło.

Kilka tygodni zeszło nam na zwiedzaniu dziennej półkuli - robiliśmy wycieczki w promieniu do dwudziestu mil od statku. Odległość na pozór niewielka, ale w istocie całkiem poważna, gdy dźwiga się na grzbiecie skafander wraz z ekwipunkiem. Zbieraliśmy setki okazów mineralogicznych i sporządzaliśmy tysiące odczytów przyrządów pomiarowych, wysyłając na Ziemię możliwie wszystkie rezultaty badań przez radio kierunkowe. Nie udało nam się jednak wnikać tak daleko w półkulę dzienną, aby dotrzeć do jezior, które zauważyliśmy poprzednio. Najbliższe leżało w odległości ponad ośmuset mil, a przecież nie mogliśmy trwonić paliwa raketowego na uwijanie się w kółko po planecie. Poza tym zagłębianie się w ten gorejący piec z naszym obecnym, nie wypróbowanym ekwipunkiem stanowiłoby zbyt wielkie ryzyko.

Komandor umilkł wpatrując się z zadumą w przestrzeń, tak jakby poza małą kabiną, która nas więziła, sięgał wzrokiem aż do spalonych, pustynnych obszarów tamtego odległego świata.

- Tak - podjął wreszcie. - Merkury to naprawdę niełatwy problem. Z zimnem umiemy sobie poradzić względnie łatwo, ale żar to inna sprawa. Może nie powinienem tego mówić, bo właśnie zimno mnie położyło, a nie gorąco...

Życie było jedyną rzeczą, której w ogóle nie spodziewaliśmy się zastać na Merkurym, chociaż doświadczenia na Księżycu powinny były dać nam dobrą lekcję. I tam przecież nikt nie liczył, że natrafi na przejawy życia. Ale gdyby ktoś mnie zapytał: „Gdzie spodziewałbyś się znaleźć życie - zakładając, że życie istnieje na Merkurym?” - odpowiedziałbym: „Jak to gdzie? Oczywiście w pasie pogranicznym”. I tu znowu popełniłbym omyłkę.

Chociaż nikt się specjalnie do tego nie palił, postanowiliśmy przynajmniej raz obejrzeć krainę nocy.

Trzeba było przesunąć statek około stu mil, aby wyjść ze strefy przejściowej. Wylądowaliśmy na płaskim szczycie niskiego pagórka, o parę mil od dość ciekawie wyglądającego łańcucha górskiego. Upłynęła cała doba, pełna przykrego napięcia, zanim nabraliśmy pewności, że nic nam tutaj nie grozi. Temperatura skały, na której osiadł statek, wynosiła minus trzysta pięćdziesiąt stopni, ale nasze grzejniki mogły temu sprostać. Nawet bez ich uruchomienia ciepłota na statku Spadała bardzo powoli, bo otaczała nas próżnia, a powleczone srebrem ściany odbijały z powrotem znaczną część ciepła, jakie traciliśmy przez promieniowanie.

Właściwie mieszkaliśmy wewnątrz dużego termosu, a nasze ciała również wytwarzały sporo ciepła.

Jednakże niewiele można się było dowiedzieć tkwiąc wewnątrz statku. Musieliśmy nałożyć skafandry ochronne i ruszyć na wyprawę. Skafandry zostały poddane dokładnym próbom na Księżycu, w czasie księżycowej nocy, kiedy jest tam prawie tak samo zimno, jak na Merkurym. Ale żadna próba nie odtwarza dokładnie rzeczywistych warunków. Dlatego poszło nas trzech: jeśliby jeden miał jakieś trudności, pozostali dwaj będą mogli odprowadzić go do statku - tak przynajmniej sądziliśmy.

Znalazłem się w tej właśnie pierwszej ekipie. Szliśmy najpierw powoli przez prawie pół godziny, nie wysilając się zbyt i składając radiowe meldunki towarzyszom na statku. Wbrew oczekiwaniom nie było zbyt ciemno, a to dzięki planecie Wenus. Wisiała nad nami na tle gwiazd, siejąc niewiarygodną poświatę grającą wśród wyraźnych cieni. Blask Wenus był tak jaskrawy, że dłużej jak przez parę sekund nie dało się patrzeć na nią wprost i dopiero przy użyciu filtru, który neutralizował to oślepiające światło, dostrzegano się z łatwością małą tarczę planety.

Ziemia i Księżyc, również widoczne, tworzyły piękną podwójną gwiazdę nad samym horyzontem. One także dawały dużo światła, a więc nigdy nie przebywaliśmy w całkowitej ciemności. Ale ani Wenus, ani Ziemia w najmniejszej mierze nie użyczały ciepła tej skutej mrozem krainie.

Nie mogliśmy się zgubić, bo statek był najbardziej widocznym punktem w promieniu wielu mil, a poza tym tkwiła przy nim potężna latarnia kierunkowa.

Z pewną trudnością odłamaliśmy parę okazów skały, zabierając je z sobą. Ale wewnątrz słuzy działało się z nimi coś przedziwnego. Kawałki skały pokrywał szron i na powierzchni zaczynały się tworzyć krople płynu, kapiąc następnie na podłogę i zaraz parując. Na tych przeraźliwie zimnych odłamkach zgęszczało się powietrze statku. Trzeba było odczekać godziną, zanim ogrzały się na tyle, by można je było wziąć w rękę.

Skoro tylko upewniliśmy się, że nasze skafandry wytrzymają warunki panujące na półkuli nocnej, podjęliśmy dalsze wycieczki, nigdy jednak nie opuszczając statku na dłużej niż parę godzin. Do gór wszakże nie dotarliśmy - były one poza naszym zasięgiem. Dużo czasu spędziłem badając je ze statku przez elektronowy teleskop. Światła do tego (było dosyć).

No i pewnego dnia zobaczyłem coś ruchomego! Tak mnie to zdumiało, że przez chwilę siedziałem jak skamieniały przy teleskopie, wpatrując się bezmyślnie w okular. Potem wróciło mi na tyle przytomności umysłu, że nastawiłem aparat filmowy.

Musieliście chyba oglądać ten film. Nie jest oczywiście nadzwyczajny z powodu marnego światła. Ale pokazuje zbocze góry z czymś w rodzaju osuwiska na pierwszym planie, gdzie wśród skał grzebało coś wielkiego i białego. Na pierwszy rzut oka to coś wyglądało jak duch i muszę się przyznać, że strach mnie obleciał. Później sensacyjne odkrycie usunęło w cień wszelkie inne uczucia i skoncentrowałem się, jak mogłem, na obserwacji.

Nie zdążyłem wiele zauważyć, ale odniosłem ogólne wrażenie, że stwór jest kulisty i posiada przynajmniej cztery nogi. Potem znikł i więcej się już nie pokazał.

Wszystkie inne zajęcia poszły w kąć i zebrała się rada wojenna. Na szczęście nakręciłem film, bo inaczej posadzono by mnie o sny na jawie. Zgodziliśmy się wszyscy, że należy spróbować dotrzeć bliżej do tej istoty: pytanie tylko, czy nie jest niebezpieczna.

Żaden z nas nie miał broni, ale na statku znajdowała się raketnica służąca do sygnalizacji. Powinna przynajmniej nastraszyć każdą bestię, która by nas ewentualnie zaatakowała. Ja dzierżyłem raketnicę, a moi dwaj towarzysze, Borrell - nawigator i Glynne - operator radiowy, zaopatrzyli się w solidne sztaby. Wzięliśmy również z sobą aparaty i sprzęt oświetleniowy w nadziei zrobienia kilku naprawdę dobrych zdjęć. Sądziliśmy, że trójka to dobra liczba uczestników wyprawy. Ograniczenie tej liczby mogłoby być ryzykowne, a z drugiej strony - gdyby niebezpieczeństwo okazało się istotnie poważne uczestnictwo całej załogi jeszcze by sprawą pogorszyło.

Do gór było pięć mil i zużyliśmy na drogę około godziny. Na statku sprawdzano nasz kierunek przez radio, a przy teleskopie zasiadł obserwator, który cały czas badał okolicę, żeby nas uprzedzić w razie pojawienia się owego stwora. Nikt nie myślał o niebezpieczeństwie - byliśmy na to zbyt podnieceni. Zresztą cóż za krzywdę mogło nam wyrządzić jakieś zwierzę wobec zbroi skafandrów - chyba żeby zmiażdżyło ich hełmy. Słaba siła ciężenia, obdarzająca dodatkową mocą, zwiększała nasze zadufanie w sobie.

Dotarliśmy wreszcie do usypiska, gdzie wyszła na jaw osobliwa rzecz. Najwidoczniej zbierano i rozbijano tu kamienie; wszędzie leżały stosy odłamków. Nie sposób było odgadnąć przyczynę, chyba że stwór - cel naszych poszukiwań - żerował właśnie wśród skał.

Zabrałem parę okazów do analizy, Glynne zaś sfotografował kamienie i zameldował o naszym

odkryciu załodze statku. A potem zaczęliśmy przepatrywać teren, nie rozłączając się na wszelki wypadek. Usypisko mierzyło około milii w szerz i zdawało się, że całe zbocze góry skruszyło się i ześliznęło w dół. Zastanawialiśmy się, jaki - wobec braku przyczyn klimatycznych - był tego powód. Skoro nie zachodziło tu zjawisko erozji, nie dało się odgadnąć, jak dawno nastąpiło przesunięcie się uskoku. Może milion lat temu, a może miliard.

A teraz proszę nas sobie wyobrazić w tej sytuacji, gramolących się przez rumowisko odłamków skalnych, z Wenus i Ziemią siejącymi blask z góry jak wspaniałe latarnie i ze światłami naszego statku w dole horyzontu - te ostatnie zresztą dodawały nam sporo otuchy. Nabrałem już właściwie pewności, iż nasza zwierzyna musi się odżywiać skałami, choćby dlatego, że innego pożywienia ta pustynna planeta chyba nie dostarcza. Na tyle się znałem na minerałach, aby móc określić, jaka to mogła być substancja.

Nagle w słuchawkach zabrzmiał podniecony głos Glynne'a.

- Mamy go! - wrzasnął. - O, przy tamtej skale!

Patrzelismy stojąc bez ruchu. Po raz pierwszy mogłem się dokładnie przyjrzeć mieszkańcowi Merkurego. Najbardziej chyba przypominał olbrzymiego pająka albo może jakiegoś kraba o długich, cienkich nogach. Miał srebrzystobiały, kulisty korpus o średnicy około jarda. Zdawało nam się na razie, że to czworonóg, ale wykryliśmy później, że ma osiem nóg, bo rezerwowy komplet ciasno przylegał do ciała, włączał się zaś do akcji, gdy niewiarygodny chłód skał zaczynał wnikać zbyt głęboko w grubą warstwę izolującego rogu na szponach czy kopytach stworzenia. Wtedy Merkurianinowi marzły nogi i przestawiał się na zapasowy komplet!

Miał również kończyny w rodzaju rąk, którymi właśnie pilnie szperał wśród skał, zakończone zrogowaciałymi pazurami czy szczypcami; mogły one być nader niebezpieczne w walce.

Głowy właściwie potworowi brakowało; na wierzchu kulistego korpusu sterczał tylko mały guzek. Jak się później okazało, mieściła się tam para dużych oczu, niezbędnych w przyćmionym świetle gwiazd na nocnej półkuli, i para mniejszych, potrzebnych w razie wypadków do lepiej oświetlonej strefy granicznej, kiedy bardziej czuła para dużych oczu pozostawała szczelnie zamknięta.

Całkowicie pochłonęła nas obserwacja tej niezdarnej istoty, która uwijała się wśród skał, od czasu do czasu przystając, aby schwycić jakiś kęs i rozbić go na drobny mak sprawnymi szponami. Następnie wysuwało się coś, co można by wziąć za język, ale zbyt szybko, aby oko dostrzegło całą czynność, i skalny pył zostawał pożarty.

- Jak myślisz, czego on szuka? - zapytał Borrell. Ta skała wygląda na dość miękką. Czy to jakiś rodzaj kredy?

- Chyba nie - odparłem. - Ma inną barwę, a zresztą kreda tworzy się jedynie na dnie morskim. Na Merkurym nigdy nie było wody.

- Czy nie należałoby podejść bliżej? - zapytał Glynne. - Stąd nie zrobię dobrego zdjęcia. Ten stwór jest bardzo paskudny, ale nie sądzę, aby był niebezpieczny. Na nasz widok zacznie pewno zmykać jak strzała.

- Dobra, chodźmy! - powiedziałem, mocniej ściskając raketnicę. - Ale idźmy powoli. I trzeba natychmiast stanąć, jeśli nas zauważy.

Byliśmy o sto stóp od potwora, gdy zaczął zdradzać pewne oznaki zainteresowania. Obrócił się na szypułkowatych nogach i w słabym, niby księżycowym świetle Wenus doskonale widziałem jego ogromne oczy.

- Czy mogę posłużyć się światłem błyskowym? zapytał Glynne. - Przy tym oświetleniu zdjęcie mi nie wyjdzie.

Zawahaleń się, ale w końcu udzieliłem mu pozwolenia. Gdy krótki błysk zaalał okolicę, bestia poderwała się.

- W każdym razie jedno zdjęcie już jest! - powiedział z ulgą Glynne. - Czy mogę zrobić zbliżenie?

- Nie - powiedziałem stanowczo. - To by go na pewno spłoszyło lub, co gorzej, rozjuszyło. Nie podobają mi się te szpony. Spróbujmy przekonać tego zwierzaka o naszych przyjacielskich zamiarach. Zostańcie tutaj, a ja podejđę bliżej. W ten sposób nie odniesie wrażenia, że organizujemy na niego masowy atak.

Nadal uważam ten pomysł za dobry, ale wtedy nie wiedziałem wiele o obyczajach Merkurian. W miarę jak posuwałem się powoli naprzód, bestia zdawała się sztywnieć jak pies nad kością i prawdopodobnie z tej samej przyczyny. Rozciągnęła się na całą wysokość, to znaczy około ośmiu stóp, i wtedy zaczęła się lekko kołysać w tył i w przód, ogromnie przypominając balon na uwięzi w podmuchach wiatru.

- Wracaj! - zawołał Borrell. - To paskudztwo jest zirytowane. Lepiej nie ryzykować.

- Nie mam zamiaru ryzykować - odparłem. W skafandrze nie tak łatwo się cofać, ale spróbuję.

Cofnąłem się o parę jardów i wtedy, nie ruszając się z miejsca, stwór nagle wyrzucił do przodu ramię i schwycił kamień. Ruch był tak wyraźnie ludzki, że wiedziałem, co się stanie dalej, więc instynktownie zakryłem wizjer ręką. Po chwili z przerażającym trzaskiem coś ugodziło w dolną część mojego skafandra.

Nie odczułem bólu, ale przez moment cały pancerz wibrował jak gong. W ciągu paru pełnych napięcia sekund wstrzymałem oddech, oczekując na złowrogi świst powietrza. Ale skafander wytrzymał uderzenie, chociaż zauważyłem głęboki wrąb na lewym udzie.

Następnym razem może nie ujdzie mi na sucho, więc zdecydowałem się użyć „broni”, aby odciągnąć uwagę wroga.

Biały błysk powoli wystrzelił ku gwiazdom, zalewając cały krajobraz ostrym światłem, które przyćmiło nawet odległą Wenus. A potem zdarzyło się coś, co zrozumieliśmy dopiero znacznie później. Zauważyłem już poprzednio parę wypukłości po obu bokach korpusu Merkurianina i teraz w naszych oczach otworzyły się one jak pokrywa skrzydeł chrząszcza. Rozwinęła się para szerokich, czarnych skrzydeł; tak były to skrzydła w świecie nieomal całkowicie pozbawionym powietrza! Po prostu zbaraniałem i na chwilę przestałem się cofać. Bomba oświetlająca wypalała się powoli, a gdy zgasła, aksamitne skrzydła złożyły się i zostały z powrotem zapakowane do futerału.

Stwór nie próbował iść za mną i tym razem nie spotkaliśmy innych podobnych istot. Domyślcie się zapewne, jak nas pochłoneła ta zagadka. Nasi towarzysze ze statku ledwie chcieli wierzyć własnym uszom, kiedy opowiedzieliśmy im całe zdarzenie. Teraz, gdy odpowiedź jest nam znana, Wszystko wydaje się zupełnie proste. Zwykle tak bywa.

To nie skrzydła obserwowaliśmy w trakcie rozkładania, chociaż przed wiekami, gdy Merkury posiadał atmosferę, organ ten był skrzydłami. Istota, którą odkryłem, stanowiła jeden z najcudowniejszych przykładów przystosowania, jaki można znaleźć w systemie słonecznym. Zwykłą jej siedzibą była strefa graniczna, ale ponieważ tam wyczerpały się minerały, które stanowiły jej pożywienie, musiała wyruszyć na zer w głąb półkuli nocnej. Całe ciało tego stworzenia rozwinęło się w kierunku obrony przed niesamowitym zimnem. Z tej racji było srebrzystobiałe, bo ten kolor wypromieniowuje najmniejsze ilości ciepła. Ale nawet mimo takiego przystosowania Merkurianin nie mógł przebywać w nieskończoność w strefie nocy, musiał wracać co pewien czas do pasa granicznego, tak jak w naszym świecie wieloryb musi wynurzać się z wody, by zaczerpnąć powietrza. Na widok słońca rozpościera swoje czarne skrzydła, które faktycznie spełniają funkcję

pochłaniacza ciepła. Tę reakcję prawdopodobnie sprowokowała moja bomba oświetlająca, a może nawet mała ilość ciepła wydzielana przez nią wydała mu się cenną zdobyczą.

Zdobywanie pokarmu musi być kwestią niezmiernie trudną, skoro natura ucieka się do tak drastycznych środków. Merkurianie nie są w istocie stworzeniami złośliwymi, ale muszą walczyć między sobą o przetrwanie. Ponieważ żaden cios nie ima się twardego pancerza korpusu, atak bywa kierowany na nogi. Uszkodzenie nóg to wyrok śmierci dla mieszkańca krainy nocy, bo nie zdoła on dotrzeć z powrotem do pasa granicznego, zanim wyczerpią się jego zapasy ciepła. Dlatego Merkurianie przyuczyli się bardzo celnie trafiać kamieniami w nogi przeciwników. Spotkany przeze mnie okaz musiał się zdziwić na widok skafandra, ale zrobił, co mógł, żeby mnie okaleczyć. I jak wkrótce wyszło na jaw, udało mu się to aż nadto dobrze.

Pomimo wysiłków włożonych w studia nad tymi istotami, nadal wiemy o nich niewiele. Ja mam na ten temat własną teorię i pragnąłbym, aby ją ktoś opracował. Wydaje mi się, że tak samo jak ewolucja niektórych Merkurian udostępniła im żerowanie na zimnej półkuli nocnej, tak też w palącym żarze półkuli dziennej istnieje może inna ich odmiana. Ciekaw jestem, jak ona może wyglądać.

Komandor przerwał. Odnosiłem wrażenie, że nie ma ochoty opowiadać dalej. Ale nasze pełne oczekiwania milczenie stanowiło zbyt silny bodziec, podjął więc opowieść:

- Wracaliśmy powoli na statek, ciągle dyskutując o napotkanej istocie, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Nogi zaczęły mi marznąć, i to bardzo silnie. Ze skafandra uciekało całe ciepło, wysysane przez zamrożone skały pod moimi stopami.

Od razu pojąłem, co się stało. Uderzenie w skafander złamało obwód grzejnika. Nic się na to nie poradzi, dopóki nie wrócę na statek, a dzieliły mnie od niego cztery mile.

Zawiadomiłem towarzyszy o wypadku i w miarę możliwości przyśpieszyliśmy kroku. Ile razy dotknąłem stopą ziemi, czułem potworny chłód przenikający coraz głębiej. Po chwili i to wrażenie ustąpiło: byłem wdzięczny i za to. Moje nogi, jak kikuty z drewna, nie miały teraz żadnego czucia, a zostały jeszcze całe dwie mile drogi, kiedy w ogóle przestałem nimi poruszać. Spojenia skafandra zamarły kompletnie.

Koledzy musieli mnie nieść, a ja straciłem przytomność. Raz się ocknąłem, jeszcze przed końcem podróży, i przez chwilę sądziłem, że jestem nieprzytomny z gorączki. Bo cały świat naokoło mnie płonął niesamowitym blaskiem. Niebo przecinały w górze jaskrawe pióropusze, fale purpurowego ognia przesuwwały się poniżej gwiazd. Tak byłem oszołomiony, że minęło sporo czasu, zanim zrozumiałem istotę zjawiska. Zorza Polarna, o wiele jaśniejsza na Merkurym niż na Ziemi, postanowiła nagle rozpocząć jedno ze swoich widowisk. Co za ironia (choć za zdałem sobie z tego sprawę dopiero później): wszystko obok mnie zdawało się płonąć, a ja szybko zamarzałem na śmierć.

Dotarliśmy do statku, nie pamiętam jak i kiedy przytomność odzyskałem w czasie podróży powrotnej, na Ziemię. Ale nogi zostawiłem na Merkurym.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Nagle pilot rzucił okiem na chronometr i zawołał:

- A to dopiero! Powinienem był skontrolować kura już dziesięć minut temu!

Napięcie prysło i wszyscy wróciliśmy z Merkurego” dokąd przeniosła nas wyobraźnia.

W ciągu następnych paru minut pilot zajął się określaniem położenia. Pierwsi piloci w kosmosie kierowali się wyłącznie według gwiazd, ale teraz istnieje wiele pomocniczych przyrządów radiowych i radarowych.

Dość uciążliwymi metodami astronomicznymi trzeba było zaprzętać sobie głowę tylko przy wielkiej odległości od macierzystego punktu, poza zasięgiem stacji ziemskich.

Śledziłem palce pilota fruujące po klawiaturze maszyny matematycznej, zazdroszcząc mu tej niewymuszonej zręczności, ale on nagle zastygł w bezruchu nad pulpitem. Potem, bardzo uważnie, znowu stukał w klawisze i na nowo zaczął obliczenia. Odpowiedź ukazała się na urządzeniu rejestrującym i już wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Bo przez sekundę pilot patrzył na cyfry, jakby nie mógł uwierzyć w ich prawdziwość.

A potem uwolnił się od zabezpieczających pasów i szybko ruszył do najbliższego luku obserwacyjnego.

Ja jeden to zauważyłem. Inni albo czytali na swoich kojach, albo zapadli w drzemkę. O parę stóp ode mnie znajdował się drugi luk i pośpieszyłem w tamtą stronę.

W przestrzeni zobaczyłem Ziemię, prawie całkowicie widoczną - ku tej planecie właśnie powoli opadał nasz statek.

I wtedy nagle chwyciły mnie jakby lodowe kleszcze i na chwilę zamarłem w bezruchu, wstrzymując nawet oddech. W tym okresie naszej podróży Ziemia powinna przecież wydawać się znacznie większa, skoro spadaliśmy od orbity szpitala. A jednak, o ile mnie oczy nie myliły, była mniejsza niż w momencie, kiedy spojrzałem na nią ostatnim razem. Rzuciłem okiem na pilota i wyraz jego twarzy potwierdził moje obawy.

Mknęliśmy w przestrzeń!

## 9. Wystrzał z Hsajma

- Panie komandorze - powiedział pilot słabym głosem. - Niech pan pozwoli tutaj na chwileczkę...

- A niech cię diabli... już zasypiałem!

- Bardzo przepraszam, ale... zdarzył się wypadek.

Je... jesteśmy w orbicie ucieczki...

- Co?!

Okrzyk ten obudził wszystkich. Potężnym zrywem komandor opuścił koję i sunął do pulpitu sterowego.

Nastąpiła krótka konferencja z nieszczęsnym pilotem, a potem komandor rozkazał:

- Połącz mnie z najbliższą stacją przekaźnikową.

Przejmuję komendę.

- Co się stało? - szepnąłem do Tkną Bentona.

- Domyślam się - odparł Tim. - Ale poczekaj chwilę, zanim wyciągniemy jakieś wnioski.

Przed upływem kwadransa nikt nie miał czasu mnie objaśnić; ten kwadrans zaś wypełniła szalona aktywność, rozmowy radiowe i błyskawiczne obliczenia.

Wreszcie Norman Powell, który tak jak i ja nie miał nic do roboty poza obserwacją, zlitował się nad moją nieświadomością.

- Na tym statku cięży widać jakieś przekleństwo powiedział z obrzydzeniem. - Pilot popełnił jedyny błąd nawigacyjny, jaki uważałoby się za niemożliwy.

Powinien był zmniejszyć szybkość o dziewięć dziesiątych mili na sekundę. On natomiast zastosował napęd akurat w odwrotnym kierunku i właśnie o tyle zyskaliśmy na szybkości. I zamiast spadać na Ziemię, lecimy w przestrzeń.

Ledwie mogłem sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek zdolny był popełnić taką przedziwną pomyłkę. Dowiedziałem się później, że błąd był z rzędu tych, które jak na przykład osadzenie samolotu kołami do góry nie są tak niemożliwe w praktyce, jakby się zdawało.

Na statku kosmicznym poruszającym się po orbicie nie sposób określić ani kierunku, ani szybkości. Wszystko robią instrumenty i obliczenia i jeśli w pewnym momencie znak ujemny weźmie się za znak dodatni, łatwo skierować statek akurat w odwrotną stronę.

Powinno się, oczywiście, zastosować inne sprawdziany, żeby uniknąć takich pomyłek. Widocznie jednak tym razem nie odniosły Skutku lub pilot ich nie użył.

Dopiero dużo później wyszła na jaw przyczyna wypadku. Prawdziwym, winowajcą był nie pechowy pilot, lecz zawór w pojemniku tlenowym, który się zaciął. Ja jeden zemdlałem, ale wszyscy moi towarzysze ucierpieli na skutek niedostatecznej ilości tlenu. To bardzo niebezpieczne niedomaganie, bo człowiek nie zdaje sobie sprawy, że mu coś dolega. I można strzelić całe mnóstwo idiotycznych byków, mając wrażenie, że pracuje się na medal.

Nie warto było jednak doszukiwać się przyczyny wypadku. Przed nami stało zagadnienie: co robić dalej?

Dodatkowa prędkość, którą zostaliśmy obdarzeni” była prędkością ucieczki. Innymi słowy, poruszaliśmy się z taką szybkością, że Ziemia nigdy już nie mogła nas do siebie przyciągnąć. Kierowaliśmy się w przestrzeń kosmiczną, gdzieś poza orbitę Księżyca, i dokładny tor nie będzie nam znany, dopóki nie opracuje go dla nas ZAKOP. Komandor Doyle złożył radiowy meldunek o naszym położeniu i teraz musieliśmy czekać na dalsze instrukcje.

Sytuacja była poważna, jeśli nie beznadziejna. Mieliśmy jeszcze spory zapas materiałów



pędnych, całą rezerwę przeznaczoną na przybicie do Stacji Wewnętrznej. Gdybyśmy tę rezerwę zużyli w tej chwili, zdołalibyśmy przynajmniej zapobiec oddalaniu się od Ziemi, ale za to moglibyśmy wejść w nową orbitę, która nie wiadomo, czy zaprowadziłaby nas w pobliże jednej ze stacji przestrzennych. W każdym razie musieliśmy zaopatrzyć się gdzieś w świeży zapas paliwa, i to jak najszybciej. Krótkodystansowy pojazd, który nas niósł, nie nadawał się do dłuższych podróży kosmicznych i posiadał ograniczony zapas tlenu, co najwyżej na jakieś sto godzin. Jeśli przez ten czas nie otrzymamy pomocy, czeka nas smutny koniec.

To zabawne, ale chociaż po raz pierwszy w życiu znalazłem się w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa, bałem się o połowę mniej, niż kiedy Cuthbert schwycił mnie w swoje objęcia albo kiedy „meteor” przebił ścianę klasy. Bo jednak obecna przygoda miała inny charakter. Od krytycznego momentu dzielił nas jeszcze okres kilku dni. I wszyscy mieliśmy ogromne zaufanie do komandora Doyle'a, byliśmy pewni, że jakoś nas z tego bigosu wyratuje.

Chociaż w danej chwili nikogo to nie uderzyło, nie bez ironicznej wymowy był fakt, że gdybyśmy się trzymali „Jutrzenki”, zamiast z nadmiaru ostrożności wybrać inny statek na podróż powrotną, nic by nam nie groziło.

Minęło prawie piętnaście minut, zanim personel obsługujący maszyny matematyczne na Stacji Wewnętrznej opracował dla nas nową orbitę i podał ją nam drogą radiową. Komandor Doyle wykreślił nasz tor, a my zaglądaliśmy mu przez ramię, żeby zobaczyć, jaki kurs weźmie Statek.

- Kierujemy się na Księżyc - mówił komandor prowadząc palcem po kropkowanej linii. - Za mniej więcej czterdzieści godzin minie jego orbitę na tyle blisko, aby grawitacyjne pole Księżyca wywarło na nas jakiś znaczniejszy wpływ. Jeśli mamy hamować silnikami, możemy dać się przyciągnąć.

- Kto wie, czy to nie dobra myśl? - odezwał się ktoś. - Dzięki temu przynajmniej przerwalibyśmy kurs w przestrzeń.

Komandor w zadumie pocierał brodę.

- Nie wiem - odparł. - To zależy, czy są na Księżycu jakieś statki, które mogłyby do nas podjechać.

- A nie moglibyśmy sami wylądować na Księżycu” gdzieś w pobliżu jakiejś osady? - zapytał Norman.

- Skąd! Mamy przecież za mało paliwa na lądowanie. Zresztą silniki są za słabe, to powinniście już wiedzieć.

Norman poddał się i kabinę wypełniło długie, frasobliwe milczenie, które zaczęło mnie denerwować.

Wiele bym dał za to, żeby móc wysunąć własne olśniewające pomysły, ale istniało małe prawdopodobieństwo, aby okazały się bardziej genialne od propozycji Normana.

- Cała bieda w tym - rzekł w końcu komandor że wchodzi tu w grę tyle różnych czynników. Istnieje kilka rozwiązań naszego problemu. Chcemy znaleźć takie, które byłoby najtańsze. Koszt będzie kolosalny, jeśli nam przyjdzie zawezwać statek z Księżyca, żeby zrównał z nami prędkość i przekazał nam parę ton paliwa. To jest właśnie oczywista, naga prawda.

Ulęgę przyniosła mi świadomość, że jednak istnieje jakieś wyjście. Tego głównie pragnąłem się dowiedzieć.

Rachunkiem niech się martwi ktoś inny.

Nagle pilot rozpromienił się. Do tej pory siedział pogrążony w ponurym milczeniu i nie odezwał się ani słówkiem.

- Już wiem! - powiedział. - Że też nam to wcześniej nie przyszło do głowy! A żeby tak użyć

wyrzutni Hipparchusa? Jeśli można opierać się na tym wykresie, mogliby - wystrzelić do nas stamtąd pewną ilość paliwa bez specjalnego kłopotu.

Rozmowa ożywiła się teraz i zesłała na tory techniczne; ja od razu zostałem w tyle. Po dziesięciu minutach rozwiął się ponury nastrój panujący w kabinie, odgadłem więc, że wyciągnięto jakieś zadowolające wnioski.

Gdy wreszcie dyskusja została zakończona i przeprowadzono wszystkie potrzebne rozmowy radiowe, przyparłem Tima do muru i zagroziłem, że dopóty będę mu wiercił dziurę w brzuchu, dopóki mi nie wyjaśni dokładnie, co się dzieje.

- Wiesz chyba, co to jest wyrzutnia Hipparchusa, co, Roy? - zapytał.

- Czy to ten magnetyczny przyrząd, który wystrzela pojemniki z paliwem dla rakiet okrążających Księżyc?

- Tak. Otóż jest to tor elektromagnetyczny długości około pięciu mil, który biegnie na wschód i zachód przez krater Hipparchusa. Wybór padł na ten właśnie punkt, gdyż znajduje się on blisko środka tarczy Księżyca, a rafinerie materiałów pędnych również są niedaleko. Statki oczekujące na zatankowanie wchodzą w orbitę dokołaksiężycową i personel wyrzutni w odpowiednim czasie wystrzeliwuje pojemniki na tę samą orbitę. Statek musi trochę pomanewrować za pomocą napędu odrzutowego, aby „trafić” w pojemnik, w każdym razie jednak ten sposób jest o wiele tańszy, niż gdyby przy tej całej operacji używało się rakiet.

- A co się dzieje z pustymi pojemnikami?

- To już zależy od prędkości wystrzelenia. Czasami spadają z powrotem na Księżyc; ostatecznie jest tam dosyć miejsca, aby zleciały, nikomu nie przynosząc szkody! Zwykle jednak nadaje im się prędkość ucieczki i po prostu gubią się w kosmosie. A miejsca jest tam jeszcze więcej!

- Rozumiem. Przybliżymy się na tyle do Księżyca, żeby stamtąd mogli nam wystrzelić pojemnik z paliwem.

- Właśnie. Robią teraz obliczenia. Nasza orbita przechodzić będzie poza Księżycem, około pięciu tysięcy mil ponad jego powierzchnią. Na Księżycu obliczą możliwie najdokładniej, jak mamy zrównać naszą prędkość z wyrzutnią, a reszty już musimy dokonać sami, własnym napędem. To znaczy, trzeba będzie użyć trochę naszego paliwa, ale to i tak sownie się opłaci.

- A kiedy wszystko to się zacznie?

- Mniej więcej za czterdzieści godzin. Czekamy na dokładne dane.

Byłem prawdopodobnie jedyną osobą, którą ucieszyła ta perspektywa, gdy się już dowiedziałem, że jesteśmy względnie bezpieczni. To, co moi towarzysze oceniali jako nudną stratę czasu, dla mnie stanowiło okazję obejrzenia z bliska Księżyca - gratka przerastająca moje najśmielsze nadzieje przy starcie z Ziemi. Jakże daleko zostawiłem już za sobą Stację Wewnętrzną!

Z każdą godziną zmniejszała się Ziemia, a przed nami rósł na niebie Księżyc. Nie było co robić oprócz zwykłej kontroli instrumentów i regularnych rozmów radiowych z różnymi stacjami kosmicznymi i bazą na Księżycu. Przeważnie spaliśmy i graliśmy w karty, ale raz miałem okazję porozmawiania z mamą i tatusiem, tam daleko na Ziemi. Głosy ich zdradzały troskę i dopiero teraz zorientowałem się, że nasza przygoda znalazła się prawdopodobnie na pierwszych stronach gazet.

Starałem się dać rodzicom do zrozumienia, że mam pierwszorzędną ubaw i absolutnie nie ma powodu do niepokoju.

Uzgodniono wszystko, co potrzeba, i nie pozostawało nic innego, jak czekać, dopóki nie przemkniemy koło Księżyca i nie spotkamy się z pojemnikiem. Chociaż nieraz śledziłem Księżyc przez teleskop, zarówno z Ziemi, jak i ze Stacji Wewnętrznej, oglądanie gołym okiem wielkich księżycowych równin i gór jest naprawdę czymś zupełnie innym. Znajdowaliśmy się teraz tak blisko,

że dostrzegało się bez trudu wszystkie większe kratery wzdłuż pasa dzielącego noc od dnia.

Linia wschodu Słońca przeszła właśnie przez środek tarczy i na Hipparchusie był wczesny świt, kiedy tamtejsza załoga przygotowywała się, aby udzielić nam pomocy. Poprosiłem o pozwolenie użycia teleskopu pokładowego i zajrzałem do wnętrza wielkiego krateru.

Wydało mi się, że zawisłem w przestrzeni w odległości zaledwie pięćdziesięciu mil nad Księżycem. Całe pole widzenia wypełniał Hipparchus. Nie dało się wszystkiego objąć jednym spojrzeniem. Światło słoneczne padało ukośnie na poszarpane ściany krateru, gdzie stały się długie smugi atramentowoczarnego cienia. Tu i tam wysunięte szczyty chwytały pierwsze promienie brzasku i świeciły w otaczających ciemnościach jak latarnie.

W cieniu krateru jaśniały również inne światła, ułożone w małe geometryczne figury. Pode mną leżała jedna z osad księżycowych. Ukryte w mroku znajdowały się tam wielkie fabryki chemiczne, kesony, lądowiska dla statków kosmicznych i siłownie, które zaopatrywały w prąd wyrzutnię. Za parę godzin, gdy Słońce wzbije się ponad góry, wszystkie te urządzenia będą doskonale widoczne, ale wtedy my już znajdziemy się za Księżycem i jego półkula widziana z Ziemi skryje się przed nami.

I wreszcie zobaczyłem samą wyrzutnię, cienki pas światła, sztywną, prostą linią przecinający mroczną równinę. Przyglądałem się jupiterom uszeregowanym jednym rzędem na torze jak latarnie wzdłuż magistrali. W ich blasku inżynierowie w skafandrach kontrolują wielkie elektromagnesy i sprawdzają, czy łożysko dobrze chodzi po przewodnikach. U wylotu toru czeka już pojemnik z paliwem, naładowany i gotowy do ustawienia, gdy na to przyjdzie pora. Gdyby tam, w dole, panowała jasność dnia, może mógłbym dostrzec i start. Ukaże się wtedy mały punkcik sunący z szaloną szybkością wzdłuż toru, coraz prędzej i prędzej, w miarę jak generatory będą przekazywały prąd magnesom. Punkcik opuści kraniec wyrzutni z prędkością ponad pięciu tysięcy mil na godzinę, zbyt wielką, aby Księżyc mógł go przyciągnąć z powrotem. Ponieważ pojemnik porusza się prawie poziomo, powierzchnia Księżyca będzie się pod nim zaginała, on zaś pomknie w przestrzeń, aby za trzy godziny - jeśli wszystko dobrze pójdzie - spotkać się z nami.

Najwspanialszy chyba moment moich dotychczasowych przygód nadszedł wtedy, gdy statek znalazł się za Księżycem i na własne oczy zobaczyłem tę jego stronę, której człowiek nigdy nie oglądał przed wynalezieniem rakiety. Znałem co prawda wiele filmów i fotografii tej drugiej strony, istotnie bardzo przypominającej stronę widzialną, a jednak wrażenie było niezwykle. Myślałem o wszystkich astronomach, co strawili życie na sporządzaniu map Księżyca, ale nigdy nie widzieli krainy, nad którą teraz leciałem. Cóż by oni dali za taką okazję, jaka mnie się trafiła, i to najzupełniej przypadkowo, bez większego wysiłku z mojej strony!

Już niemal zapomniałem o Ziemi, ale Tim Benton zwrócił mi na nią uwagę. Ziemia chowała się szybko za horyzont księżycowy: Księżyc wznosił się w górę i zaraz ją zaćmi, gdy statek nasz pomknie dalej po swoim wielkim łuku. Oślepiający, błękitnozielony półksiężyc, cypel Bieguna Południowego, zbyt świecący, aby dało się weń dłużej wpatrywać, odbicie Słońca, które tworzyło zbiornik ognia w Oceanie Spokojnym oto była moja rodzinna planeta, odległa w tej chwili o ćwierć miliona mil. Patrzałem, jak Ziemia zapada za ostre szczyty księżycowe, aż wreszcie została z niej tylko ledwie widoczna mglista krawędź - w końcu nawet i to znikło.

Słońce ciągle nam towarzyszyło, ale Ziemia znikła, a przecież dotychczas to ona zawsze widniała na niebie jako część tła naszego życia. Teraz widziałem jedynie Słońce, Księżyc i gwiazdy.

Pojemnik z materiałami pędnymi już wyruszył na nasze spotkanie. Wystrzelono go przed godziną i zawiadomiono nas przez radio, że porusza się” po właściwej orbicie. Pole grawitacyjne Księżyca miniemy w odległości paruset mil. Nasze obecne zadanie polegało na tym, aby zrównać prędkość z pojemnikiem - przy oszczędnym użyciu ostatnich paliwa - i przepompować jego zawartość

w momencie, gdy się z nim sprzęgniemy. Potem będziemy już mogli skierować się ku stacji, pusty zaś pojemnik popłynie w przestrzeń, przyłączając się do innych odpadków krążących w systemie słonecznym.

- A co by to było - zagadnąłem z niepokojem Normana Powella - gdyby rąbnęli pojemnikiem bezpośrednio w nas? Cała ta procedura przypomina mi strzelanie do celu. Celem jesteśmy właśnie my.

Norman roześmiał się.

- Pojemnik będzie miał bardzo małą prędkość, gdy do nas dotrze, a my wypatrzymy go już z daleka za pomocą radaru. A więc nie ma obawy zderzenia. Zanim znajdzie się naprawdę blisko, zrównamy prędkości i zetknięcie nie będzie gwałtowniejsze niż przy spotkaniu dwóch płatków śniegu.

Uspokoilem się, chociaż w dalszym ciągu nie zachwycała mnie myśl, że ten pocisk z Księżyca wrwie ku nam przez przestrzeń kosmiczną...

Przejęliśmy sygnały z pojemnika z odległości tysiąca unii, ale nie za pomocą radaru, tylko dzięki małemu radiu, w jakie zaopatruje się wszystkie tego rodzaju pociski, aby ułatwić ich wykrycie. Od tej chwili starałem się nikomu nie przeszkadzać, bo komandor Doyle i pilot właśnie organizowali naszą randkę w przestrzeni. Manewrowanie statkiem, dopóki nie zrównał się z kursem ciągle jeszcze niewidocznego pocisku, stanowiło dość delikatną operację. Nasze zapasy paliwa były zbyt szczupłe, abyśmy mogli sobie pozwolić na nowe błędy, i wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy krótki, lśniący walec wreszcie przy nas zawisł.

Przetoczenie paliwa zajęło nie więcej jak dziesięć minut, a gdy nasze pompy zakończyły pracę, zza tarczy Księżyca ukazała się Ziemia. Wzięliśmy to za dobrą wróżbę. Z powrotem staliśmy się panami sytuacji i znowu mogliśmy patrzeć na nasze rodzinne strony.

Obserwowałem teraz ekran radarowy, bo nikt się już nim nie interesował, odkąd włączyliśmy silniki.

Odczepiony pusty pojemnik zdawał się powoli opadać wstecz. W istocie to my spadaliśmy, ciągle kontrolując szybkość, aby wracać ku Ziemi. Po spełnieniu swej roli niepotrzebny pojemnik pomknie w przestrzeń.

Najdalszy zasięg naszego radaru wynosił około pięciuset mil; obserwowałem jaskrawy punkcik, który wyobrażał pojemnik, w jego powolnej drodze ku ramie ekranu. Stanowił on jedyny przedmiot na tyle bliski, że mógł wywołać echo. Przestrzeń kosmiczna, dokąd docierały nasze fale, zawierała przypuszczalnie wiele meteorów, ale były one za drobne, aby wywołać dostrzegalny sygnał. A jednak fascynował mnie widok nawet pustego ekranu, gdzie tylko od czasu do czasu ukazywała się iskierka światła spowodowana interferencją elektryczną. W ten sposób obejmowałem wzrokiem glob o średnicy tysięcy mil, pośrodku którego mknął nasz statek. Żaden większy przedmiot nie mógł tu przeniknąć nie wykryty i nie oznajmiony przez nasze niewidzialne macki radiowe.

Skończyła się ucieczka w przestrzeń - byliśmy już bezpieczni na naszym właściwym torze. Komandor Doyle postanowił nie wracać wprost na Stację Wewnętrzną, bo wyczerpywał się zapas tlenu. Zatrzymamy się na jednej z trzech stacji przekaźnikowych, o dwadzieścia dwa tysiące mil nad Ziemią. Tam statek pobierze zapasy tlenu przed ostatnim etapem podróży.

Miałem już właśnie wyłączyć radar, kiedy na brzegu ekranu zauważyłem słabą iskierkę światła. Po sekundzie zniknęła, gdy nasze fale przesunęły się na inny odcinek. Czekałem, dopóki nie minie cały cykl, aby sprawdzić, czy się po prostu nie pomyliłem.

Czyżby znajdował się tu jakiś inny statek? Nie było to wykluczone.

Nie miałem już wątpliwości. Iskra pojawiła się znowu w tym samym miejscu. Umiałem

obchodzić się z przeszukiwaczem radiolokatora, unieruchomiłem więc falę na dalekim przedmiocie. Znajdował się on w odległości poniżej pięciuset mil i poruszał bardzo powoli, widocznie przez szacunek dla nas! Parę sekund obserwowałem go z zaciekawieniem, a potem zawiadzałem Tima - cała ta historia była zbyt błaha, aby niepokoić komandora. Ale mimo wszystko istniała szansa, że to naprawdę okazały meteor, a meteorami zawsze warto się zająć. Meteor wywołujący echo takich rozmiarów byłby za wielki, aby go zabrać do domu, ale może uda się odłamać od niego parę kawałków na pamiątkę, o ile naturalnie zrównamy z nim prędkość.

Tim puścił w ruch przeszukiwacz, skoro tylko przekazałem mu obsługę radiolokatora. Sądził, że natrafiłem na odrzucony zbiornik po paliwie, co mnie zniecierpliviło: widać nie miał wielkiego zaufania do mojego zdrowego rozsądku. Wkrótce jednak sam stwierdził, że pojemnik musi znajdować się w innej części nieba, i jego sceptycyzm znikł.

- To chyba jakiś statek kosmiczny - powiedział chociaż na to echo wydaje się za słabe. Zaraz się przekonamy. Jeśli to statek, będzie miał na pokładzie radiolatarnię.

Nastawił nasz odbiornik na częstotliwość radiolatarni, ale bez rezultatu. W innych odcinkach nieba znajdowało się parę statków, ale żaden nie mógł być tak blisko.

Teraz przyłączył się do nas Norman i zaglądał Timowi przez ramię.

- Jeśli to meteor - powiedział - miejmy nadzieję, że zetkniemy się z ładną bryłką platyny lub z czymś równie cennym. A wtedy możemy się na zawsze wycofać z czynnego życia.

- Hola! - zawołałem. - Ja jestem znalazcą!

- Głupie gadanie! Nie należysz do załogi i w ogóle nie powinno cię być tutaj.

- Spokojna głowa - powiedział Tim. - Oprócz żelaza nikt nigdy nie znalazł nic w meteorach, w każdym razie w jakiejś znaczniejszej ilości. Co najwyżej możecie się spodziewać bryły stali niklowej, i to prawdopodobnie tak twardej, że nawet nie uda się wam odpiłować kawałka na pamiątkę.

Teraz już obliczyliśmy kurs tajemniczego przedmiotu i wypadło nam, że minie nas w odległości dwudziestu mil. Gdybyśmy chcieli go spotkać, trzeba by zmienić naszą prędkość o jakieś dwieście mil na godzinę niewiele wprawdzie, ale i to pochłonęłoby część z trudem zdobytego paliwa i komandor na pewno się nie zgodzi, jeśli jedynym celem tego posunięcia ma być zaspokojenie naszej ciekawości.

- Jak duży musi być przedmiot, żeby wywołać echo tak wyraźne? - zapytałem.

- Nie da się tego stwierdzić - odparł Tim. - To zależy od materiału i od kierunku. Statek kosmiczny mógłby wywołać równie słaby sygnał, gdybyśmy go widzieli na wprost. - już go chyba mam - zawołał Norman. - Ale to nie meteor! Popatrzcie tylko!

Norman przeszukiwał niebo za pomocą teleskopu pokładowego; teraz ja zająłem jego miejsce przy okularze, wyprzedzając o sekundę Tima. Na tle bladych gwiazd jakiś przedmiot o kształcie mniej więcej walcowatym, jaskrawo oświetlony przez Słońce, obracał się bardzo powoli w kosmosie. Nawet na pierwszy rzut oka wydał mi się sztucznym tworem. Obserwując go w ciągu pełnego obrotu, mogłem zauważyć, że ma kształt opływowy i spiczastą główkę, czym przypominał bardziej starodawne pociski artyleryjskie niż nowoczesną raketę. Kształt opływowy świadczył, że nie może to być opróżniony pojemnik z wyrzutni Hipparchusa.

Tamtejsze pojemniki są to zwyczajne przysadkowate walce, bo przecież kształt opływowy nie ma zastosowania na pozbawionym powietrza Księżycu.

Zawezwany przez nas komandor Doyle patrzył dłuższą chwilę przez teleskop i w końcu oznajmił ku mojej radości:

- W każdym razie trzeba to coś obejrzeć i sporządzić raport. Stać nas, żeby poświęcić trochę

paliwa, a stracimy zaledwie parę minut.

Statek wykonał obrót w przestrzeni, w miarę jak wprowadzaliśmy poprawki kursu. Przez parę sekund wybuchały rakiety, potem ponownie sprawdziliśmy tor i rakiety znowu zaczęły pracować. Po kilku krótszych wybuchach znaleźliśmy się w promieniu mili od tajemniczego przedmiotu i zaczęliśmy się do niego zbliżać wyłącznie na łagodnym napędzie odrzutów sterowych.

W trakcie tej operacji nie dało się użyć teleskopu, toteż gdy następnym razem spojrzełem na moje znalezisko, sunęło ku nam powoli od lewej strony, oddalone zaledwie o jakieś sto jardów.

Rzeczywiście był to twór sztuczny, jakiś typ rakiety.

Co robił tutaj, tak blisko Księżyca, dawało pole jedynie do domysłów i wysnuliśmy na ten temat kilka teorii.

Skoro rakietka miała nie więcej jak dziesięć stóp długości, mogła być jednym z automatycznych pocisków zwiadowczych wysyłanych w pierwszym okresie lotów kosmicznych. Komandor nie uważał tego za prawdopodobne, bo wiedział, że losy wszystkich takich próbników były dokładnie znane. Ponadto ów pocisk zdawał się nie posiadać wyposażenia radiowego i telewizyjnego, jakie zawsze znajduje się w tych wypadkach na pokładzie.

Jego barwa, bardzo jaskrawoczerwona, wydała mi się dziwna i bezużyteczna w przestrzeni. Na boku widniał napis, chyba po angielsku, chociaż z tej odległości nie odróżniałem liter. Przy powolnych obrotach pocisku zauważyłem jakiś czarny rysunek na białym polu, który jednakże znikł mi z oczu, zanim zdołałem mu się przyjrzeć. Czekałem teraz, aż pojawi się znowu. Jednocześnie raketka znacznie się do nas zbliżyła i szybowwała w odległości najwyżej pięćdziesięciu stóp.

- Nie podoba mi się wygląd tego przedmiotu powiedział Tim Benton jak gdyby do siebie. - Ten kolor, na przykład. Kolor czerwony oznacza niebezpieczeństwo.

- Nie kracz jak stara baba - ofuknął go Norman. Gdyby to była bomba lub coś w tym rodzaju, z pewnością nikt by nie podkreślał tego faktu.

Wtedy właśnie rysunek, który zauważyłem poprzednio, znowu ukazał się na widocznej stronie. Nawet na pierwszy rzut oka odnajdywało się tu coś niepokojąco znanego. Teraz nie było już wątpliwości.

Na boku z wolna zbliżającego się ku nam pocisku widniał wyraźnie symbol śmierci - czaszka i skrzyżowane piszczele.

## 10. Radioaktywny satelita

Komandor Doyle musiał spostrzec to złowrogie ostrzeżenie równie szybko jak my, bo w sekundę później rozległ się krótki ryk naszych rakiet. Czerwony pocisk powoli skręcił w bok i zaczął znowu cofać się w przestrzeń. W momencie największego zbliżenia udało mi się przeczytać słowa wymalowane poniżej czaszki i puszczeli - i już byłem w domu. Oto, co głosił napis:

STRZEŻ SIĘ!

ODPADY RADIOAKTYWNE KOMISJA ENERGII ATOMOWEJ - Szkoda, że nie mamy na pokładzie licznika Geigera - rzekł komandor z troską w głosie. - W każdym razie teraz niebezpieczeństwo nie może być wielkie i nie sądzę, aby się nam coś dostało. Mimo wszystko trzeba będzie dać krew do zbadania, gdy wrócimy do bazy.

- Jak długo to mogło być w przestrzeni, panie komandorze? - zapytał Norman.

- Zaraz ci powiem, niech się tylko zastanowię. Zaczęli chyba pozbywać się tych niebezpiecznych rzeczy gdzieś w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Zresztą ten proceder szybko się skończył: zajęły się tym towarzystwa przestrzeni kosmicznej. Dziś znamy oczywiście sposoby na załatwianie się z produktami ubocznymi reaktorów atomowych, ale w dawnych czasach nie umiano się obchodzić z mnóstwem radioaktywnych izotopów. Tego rodzaju pozbywanie się ich było dość ryzykowne, a również krótkowzroczne.

- Słyszałem o tych pojemnikach z odpadami powiedział Tim - ale wyobrażałem sobie, że je zebrano i zakopano gdzieś na Księżycu.

- Widocznie ten wyjątkowo uniknął losu innych.

Ale i on się nie wymiga po naszym raporcie. To była dobra robota, Malcolm! Wniosłeś swój wkład do dzieła zmniejszania niebezpieczeństw kosmosu.

Pochwała sprawiła mi przyjemność, chociaż nie umniejszyła obawy, że dostała się nam niebezpieczna dawka promieniowania z izotopów rozpadających się w tej niebiańskiej trumnie. Na szczęście moje obawy okazały się nieuzasadnione - oddaliliśmy się od niej zbyt szybko, aby nas miało spotkać coś złego.

W jakiś czas później dowiedzieliśmy się historii zabłąkanego pocisku. Komisja Energii Atomowej dotąd ma na sumieniu ten epizod, a cała rzecz nie od razu wyszła na jaw. Ostatecznie przyznano się, że pojemnik z odpadami radioaktywnymi został wysłany w 1981 roku; planowano jego rozbicie na Księżycu, ale talk się nie stało. Po naszym odkryciu astronomowie mieli mnóstwo uciechy, obliczając, w jaki sposób pojemnik znalazł się w tej orbicie, gdzie go spotkaliśmy. Było to niezmiernie skomplikowane, bo w grę wchodziło przyciąganie Ziemi, Słońca i Księżyca.

Nie straciliśmy wiele czasu wskutek skręcenia w bok - nasze opóźnienie wynosiło zaledwie parę minut w momencie, kiedy weszliśmy na orbitę Stacji Przekaznikowej Numer Dwa, tej, która znajduje się nad 30° długości wschodniej, nad Środkową Afryką. Tak już przywykłem spotykać w przestrzeni różne osobliwe przedmioty, że widok stacji wcale mnie nie zdziwił. Stanowiła ona płaską, prostokątną konstrukcję kratownicową, jedną stroną obróconą ku Ziemi.

Powierzchnię tę pokrywały setki niewielkich wklęsłych reflektorów, systemów ogniskujących, które promieniowały sygnały radiowe do planety położonej w dole lub zbierały je w ich drodze w górę.

Zbliżyliśmy się ostrożnie, przybijając do stacji od tyłu. Pilot, który doprowadza statek do frontu, nie zyskuje sympatii, gdyż może spowodować chwilową awarię na tysiącach obwodów, blokując wiązki fal radiowych, bo każda dalekodystansowa obsługa planety i większa część sieci radiowych i telewizyjnych szła przez stacje przekaznikowe. Przypatrzwszy się uważniej, dostrzegłem dwa inne

zestawy radiorefleksorów, zwrócone nie w stronę Ziemi, lecz w dwóch kierunkach odchylnych od niej o sześćdziesiąt stopni. Stąd wiązki fal radiowych przekazywano do pozostałych dwóch stacji; cała trójka tworzyła rozległy trójkąt, który powoli wirował wraz z Ziemią.

Na Stacji Przekąźnikowej Numer Dwa spędziłem tylko dwanaście godzin, czekając na remont i zatankowanie statku. Nie zetknąłem się już nigdy z naszym pilotem, chociaż dowiedziałem się później, że został częściowo uniewinniony. Dalszy ciąg podróży odbyliśmy z nowym kapitanem, który nie okazał najmniejszej ochoty do rozmowy o losie kolegi. Piloci kosmiczni tworzą bardzo dobrą i ekskluzywną grupę i nigdy nie pozwalają na obniżanie swojego autorytetu ani na dyskusję na temat swoich pomyłek, przynajmniej osobom spoza ich związku. Sądzę, że nie należy ich za to ganić, bo przecież pracują w jednym z najniebezpieczniejszych zawodów.

Tryb życia na stacji przekąźnikowej przypominał w ogólnych zarysach życie na Stacji Wewnętrznej, nie będę go więc opisywał. W każdym razie nie wystarczyło nam czasu, aby ją zwiedzić w całości, a miejscowy personel wobec licznych zajęć nie chciał tracić ani chwili na oprowadzanie niespodziewanych gości. W telewizji zaprosili nas na występ, aby nadać relację o naszych przygodach od chwili wyjazdu ze szpitala. Wywiad odbył się w prowizorycznym studio, tak szczupłym, że nie zmieściliśmy się wszyscy. Trzeba było wchodzić pojedynczo, w zupełnej ciszy, gdy ukazywał się sygnał. Zabawił nas fakt, że w samym sercu telewizyjnej sieci świata brakowało dogodniejszych warunków. Ale w gruncie rzeczy było to rozsądne, bo przecież program „na żywo” ze stacji przekąźnikowej zdarzał się niezmiernie rzadko.

Pozwolono nam również rzucić okiem na główną rozdzielnię, chociaż, niestety, nikomu to wiele nie powiedziało. Ciągnęły się tu całe pola tarcz i kolorowych świateł; tu i ówdzie siedzieli pracownicy, patrząc na ekrany i przekręcając gałki. Z głośników wydobywały się ciche słowa we wszystkich możliwych językach.

Przechodząc od jednego operatora do drugiego, oglądaliśmy mecze piłki nożnej, kwartety smyczkowe, zawody lotnicze, mecze hokeja na lodzie, wystawy obrazów, przedstawienia kukiełkowe i opery - przekrój rozrywek świata, a każda zależała od tych małych tratw metalowych na niebie, o dwadzieścia dwa tysiące mil od Ziemi.

Nie wszystkie jednak czynności stacji przekąźnikowej miały związek z Ziemią - nic podobnego. Przechodziły tędy obwody międzyplanetarne: jeśli Mars chciał porozumieć się z Wenus, skierowywanie wiadomości przez przekąźniki ziemskie okazywało się niekiedy dogodne. Wysłuchaliśmy paru takich informacji - prawie wszystkie przekazywano za pomocą telegrafu o najwyższej szybkości; dla nas były całkowicie niezrozumiałe. Ponieważ trzeba kilku minut, aby fale radiowe dotarły nawet do najbliższych planet, nie można rozmawiać z kimś z innego świata. (Księżyc jest tu wyjątkiem, ale nawet w tym wypadku trzeba się pogodzić z irytującym opóźnieniem odpowiedzi o prawie trzy sekundy). Jedyne, co usłyszeliśmy z Marsa, to pogadanka komentatora radiowego skierowana na Ziemię do retransmisji. Omawiał politykę lokalną i zbiory z ostatniego sezonu. Same nudziarstwa.

Mimo krótkiego pobytu na stacji przekąźnikowej zauważyłem tam coś, co wywarło na mnie ogromne wrażenie. Z każdego innego miejsca można było patrzeć „w dół” na Ziemię i obserwować jej obroty dookoła osi, co w miarę upływu godzin ukazywało coraz to nowe kontynenty. Tutaj takie zmienne widoki były niedostępne. Ziemia zwracała ku stacji wiecznie tę samą stronę. To prawda, że nad naszą planetą w dole przechodziły kolejno noc i dzień, ale przy każdym wschodzie czy zachodzie Słońca stacja znajdowała się w identycznej pozycji, niezmiennie nad tym samym miejscem w Ugandzie, o dwieście mil od Jeziora Wiktorii. Z tej racji trudno było uwierzyć, że stacja w ogóle się porusza, chociaż faktycznie szybowiała wokół Ziemi z szybkością ponad sześciu tysięcy mil na



godzinę.

Ponieważ jednak okrążenie trwało dokładnie jedną dobę, wiecznie wisiała nad Afryką, tak jak pozostałe dwie stacje tkwiły nad przeciwległymi brzegami Pacyfiku.

Stanowiło to jedną z różnic między całą atmosferą stacji przekaźnikowej, a zupełnie inną atmosferą na Stacji Wewnętrznej. Tutaj zajęcia pracowników utrzymywały ich w kontakcie z każdym zdarzeniem na Ziemi, często jeszcze zanim dowiedziała się o nim sama Ziemia. Ale również znajdowali się oni na granicy rzeczywistej przestrzeni kosmicznej, bo między nimi a orbitą Księżyca była już pustka. Osobliwe to było położenie i z chęcią zostałbym tu dłużej.

Moje wakacje w kosmosie dobiegały końca - chyba że zdarzy się jeszcze jeden nadzwyczajny wypadek! Spóźniłem się już na statek, który miał mnie zabrać na Ziemię, ale przyniosło mi to mniej korzyści, niż przypuszczałem. Jak się dowiedziałem, postanowiono teraz odesłać mnie na Stację Mieszkalną i wyprawić stale kursującym statkiem, który wiozł na Ziemię pasażerów z Marsa i Wenus.

Nasza podróż powrotna na Stację Wewnętrzną przeszła bez wrażeń, po prostu nudno. Nie namówiliśmy komandora Doyle'a na dalsze opowieści i sędzę nawet, że czuł się zażenowany własną gadatliwością w czasie poprzedniego odcinka podróży. Tym razem nie chciał również ryzykować ze względu na pilota.

Miałem wrażenie powrotu do domu, gdy w nasze pole widzenia wpłynęła Stacja Wewnętrzna. Nic się tu nie zmieniło. Niektóre statki odjechały, inne zajęły ich miejsce, i to wszystko. Reszta praktykantów czekała na nas w komorze służy jako prywatny komitet powitalny. Wzniesli okrzyki na cześć komandora, chociaż później nie obeszło się bez dobrodusznym dowcipów na temat naszych przygód. Najlichniesze utyskiwania spowodował przede wszystkim fakt, że „Jutrzenka” została w szpitalu; nie udało nam się przy tym zrzucić całej winy na komandora Doyle'a.

Ostatni dzień na stacji spędziłem prawie całkowicie na zbieraniu autografów i pamiątek. Najmilszym wspomnieniem mego pobytu stał się zupełnie nieoczekiwany podarek - piękny model stacji zrobiony z masy plastycznej i ofiarowany mi przez chłopców. Tak mnie zachwycił, że zupełnie oniemiałem i nie wiedziałem, jak im dziękować, ale koledzy na pewno zrozumieli, co w tej chwili czułem.

Zapakowałem wreszcie rzeczy z nadzieją w sercu, że bagaż nie przekroczy górnej granicy przepisowej wagi. Pozostawało już tylko pożegnać się ze wszystkimi.

Komandor Doyle siedział przy biurku, akurat w tej samej pozycji, w jakiej zobaczyłem go pierwszy raz.

Nie wydawał mi się teraz groźny, bo poznawszy go lepiej, nabrałem dla niego podziwu. Miałem nadzieję, że nie sprawiłem mu zbyt wiele kłopotu swoją osobą, i starałem się coś w tym guście powiedzieć. Komandor roześmiał się.

- Mogło być gorzej - oświadczył. - Na ogół starałeś się, z jakim takim powodzeniem, nie wchodzić nikomu w drogę, chociaż udało ci się dostać w pewne - hm - zaskakujące miejsca. Zastanawiam się nawet, czy nie należałoby posłać rachunku Światowym Liniom Lotniczym za dodatkowe materiały pędne zużyte z twojej przyczyny w czasie naszej wycieczki.

Musiałoby to kosztować sporą sumkę.

Uważałem, że lepiej się nie odzywać, a komandor ciągnął dalej, przeglądając papiery na biurku:

- Sędzę, że zdajesz sobie sprawę, Roy, ilu młodych ludzi stara się o posadę u nas, a jak niewielu zostaje przyjętych. Wymagane kwalifikacje są tu bardzo wysokie. Obserwowałem cię w ciągu tych paru tygodni i widziałem, jak się rozwijasz. Jeśli osiągniesz wymaganą granicę wieku - do tego czasu minie jeszcze parę lat, prawda? - i zechcesz złożyć podanie o przyjęcie, z radością cię poprę.

- Naprawdę?! O, dziękuję, panie komandorze!

- Oczywiście czekają cię jeszcze bardzo poważne studia. Poznałeś stację raczej od strony zabawy i przyjemności, a nie od strony ciężkiej pracy. I nie czekałeś miesiącami na upragniony urlop, myśląc o tym wszystkim, co zostawiłeś na Ziemi.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zagadnienie to musiało nurtować komandora głębiej niż kogokolwiek innego na stacji.

Teraz wyrzucił się z krzesła za pomocą lewej ręki, a prawą wyciągnął do mnie. Gdy ją ścisnąłem, przypomniało mi się pierwsze spotkanie. Jak to było dawno! I nagle zdałem sobie sprawę, że niemal zapomniałem o kalectwie komandora, choć widywałem go codziennie. Przystosował się tak idealnie do otoczenia, że to raczej my wszyscy wydawaliśmy się tutaj nie na miejscu. Dał nam lekcję pogładową, co może zdziałać siła woli i mocne postanowienie.

W komorze śluzy czekała mnie niespodzianka. Nie poświęcając temu zresztą specjalnej uwagi, przypuszczałem, że na Stację Mieszkalną, gdzie miałem się zabrać na statek dążący w kierunku Ziemi, pojedę jedną ze zwykłych rakiet transportowych. Tymczasem czekał na mnie kochany grat, „Skowronek niebieski”, już odcumowany. Ciekaw byłem, co powiedzą nasi arystokratyczni sąsiedzi na widok tego osobliwego przedmiotu u swych wysokich progów; domyśliłem się w końcu, że zostało to zaplanowane specjalnie, aby ich podrażnić.

Załogę stanowili Tim Benton i Ronnie Jordan; pomogli mi załadować bagaże przez śluzę. Kiwali głowami patrząc na ilość moich paczek i zapytali, czy znam międzyplanetarną tabelę opłat za bagaż. Na szczęście podróż ze Stacji Wewnętrznej na Ziemię wypada stosunkowo tanio i chociaż miałem trochę strachu, wszystko odbyło się pomyślnie.

Stopniowo ukazywał się przed nami wielki obrotowy bęben Stacji Mieszkalnej, a chaotyczny zlepek kopuł i korytarzy ciśnieniowych - mój dom przez tyle tygodni - uciekał wstecz. Tim ostrożnie doprowadził „Skowronka” do osi stacji. Nie zauważyłem szczegółów tego, co nastąpiło dalej, wiem tylko, że wysunęły się wielkie złączone ramiona, przyciągając nas aż do momentu, kiedy zetknęły się nasze śluzy.

- No, to do widzenia - powiedział Ron. - Przecież zobaczymy się jeszcze.

- Mam nadzieję - odparłem zastanawiając się, czy mogę wyjawic chłopcom propozycję komandora Doyle'a. - Musisz mnie odwiedzić za następnym pobytem na Ziemi.

- Dzięki. Postaram się. Życzę ci przyjemnej podróży z pieca na łeb.

Z ciężkim sercem uściśnąłem ręce Timowi i Ronowi.

A potem drzwi śluzy zamknęły się i wkroczyłem do fruwającego hotelu, z którym sąsiadowałem przez tyle dni, nigdy nie oglądając go z bliska.

Śluza kończyła się obszernym kolistym korytarzem, gdzie czekał na mnie steward w mundurze. Stworzyło to od razu nowy ton: po okresie, kiedy musiałem sam się obsługiwać, czułem się idiotycznie wręczając bagaż służącemu. Poza tym nie nawykłem, aby ktoś do mnie mówił „proszę pana”.

Z zainteresowaniem patrzałem, jak steward starannie umieścił moje rzeczy przy ścianie korytarza i powiedział mi, żebym zajął miejsce obok. Nastąpiła lekka wibracja i przypomniała mi się przejażdżka w wirówce, jakiej zażyłem w szpitalu. To samo działo się tutaj. Korytarz zaczął się obracać, aby zrównać się z wirowaniem stacji, i siła odśrodkowa przywracała mi poczucie ciężaru. Dopiero gdy zrówna się szybkość obu obrotów, będę mógł przejść do innych pomieszczeń.

Rozległ się dźwięk brzęczyka i domyśliłem się, że zrównały się obie prędkości. Siła, która przyparła mnie do krzywizny ściany, była niewielka, ale miała rosnać w miarę oddalania się od środka stacji, aby wreszcie, na samej jej krawędzi, zrównać się z ziemską siłą ciężenia. Bynajmniej

nie śpieszyłem się do tego wrażenia po długich dniach całkowitej nieważkości.

Korytarz zakończył się drzwiami, które ku memu wielkiemu zdziwieniu wiodły do klatki windy. Po krótkiej podróży, w czasie której działały się dziwne rzeczy z kierunkiem pionowym, drzwi otworzyły się znowu, ukazując obszerny hall. Z trudem uprzytomniłem sobie, że nie jestem na Ziemi. To, na co patrzałem, wyglądało jak foyer w jakimkolwiek luksusowym hotelu. W recepcji goście hotelowi zwracali się z zapytaniami i zgłaszali zażalenia. Umundurowany personel krzątał się po hallu, a od czasu do czasu wywoływano kogoś przez głośnik. Jedynie długie, pełne wdzięku skoki, jakimi poruszali się ludzie, zdradzały, że nie jest to Ziemia. Nad pulpitem recepcji widniał duży napis:

NA TYM PIĘTRZE CIĄŻENIE WYNOSI JEDNĄ TRZECIĄ CIĄŻENIA ZIEMSKIEGO Jak się zorientowałem, było to odpowiednie ciążenie dla osadników powracających z Marsa. Prawdopodobnie wszystkie osoby, które widziałem, przyjechały z Czerwonej Planety lub tam się wybierały.

Po rejestracji otrzymałem mały pokój, w którym akurat mieściło się łóżko, krzesło i umywalka. Tak mnie zdumiał widok swobodnie płynącej wody, że przekręciłem kurek i przyglądałem się, jak na dole miednicy tworzy się jezioro płynu. A potem nagle przyszło mi na myśl, że w takim razie muszą tu być wanny, i z okrzykiem radości ruszyłem na poszukiwanie. Miałem już dość natrysków i całego kramu, jaki powodowały.

Spędziłem w łazience większą część pierwszego wieczoru w Stacji Mieszkalnej. Otaczali mnie podróżni, którzy wrócili z dalekich światów i mieli w zapasie opowieści o dziwnych przygodach. Ale z tym można było poczekać do jutra. Na razie miałem zamiar nacieszyć się wrażeniem udostępnionym przez siłę ciążenia, leżąc w wielkiej ilości wody, która nie obracała się w jedną gigantyczną, wolno bujającą kroplę.

# 11. Hotel pod gwiazdą

Przyjechałem na Stację Mieszkalną późnym wieczorem. Czas został tutaj dostosowany do ziemskiego cyklu nocy i dni. Co dwadzieścia cztery godziny światła przygasaly, zapadała cisza i wszyscy szli spać. Poza obrębem stacji Słońce mogło świecić lub przeciwnie wejść w cień Ziemi, ale nie odczuwało się tego w świecie szerokich, wygiętych korytarzy, grubych dywanów, łagodnych światel i przytłumionych głosów.

Rządziliśmy się własnym czasem i nikt nie zwracał uwagi na Słońce.

Nie spałem dobrze tej pierwszej nocy w warunkach ciężenia, mimo że ważyłem jedną trzecią tego co zwykle. Było mi duszno i miałem nieprzyjemne sny. Śniłem, że wspinam się na strome zbocze, dźwigając na plecach jakiś ogromny ciężar. Bolały mnie nogi, dyszałem, a przede mną góra rosła bez końca. Szedłem z wysiłkiem, ale nie mogłem osiągnąć szczytu.

Wreszcie udało mi się zasnąć i zapomniałem o wszystkim; obudził mnie dopiero steward wnosząc śniadanie.

Jadłem je z małej tacki umieszczonej nad łóżkiem.

Wprawdzie pilno mi było obejrzeć stację, ale nie śpieszyłem się przy jedzeniu: śniadanie w łóżku to gratka nie lada, ale jeść je w łóżku na stacji kosmicznej to w ogóle przewyższa wszelkie rozkosze!

Ubrałem się i wyruszyłem na zbadanie nowego otoczenia. Przede wszystkim musiałem przywyknąć do krzywizny pięter. (Musiałem oczywiście oswoić się również z faktem, że piętra w ogóle istnieją, po całym okresie, kiedy pojęcie „góry” i „dołu” nie miało znaczenia.) Przyczynę wygięcia łatwo wyjaśnić. Znajdowałem się wewnątrz ogromnego walca, który powoli obracał się dokoła swej osi. Siła odśrodkowa, ta sama siła, która utrzymywała stację na niebie, działała tutaj przypierając mnie do ścian wirującego bębna. Jeśli szło się wprost przed siebie, można było obejść stację naokoło i wrócić do punktu wyjścia. W każdym punkcie „góra” była w kierunku głównej osi stacji, to znaczy że ktoś, kto stał o parę jardów dalej za zakrętem, wyglądał na przechylnego w moją stronę.

Natomiast tamtej osobie wszystko wydawało się normalne, a przechylony byłem właśnie ja! Na razie robił się bigos w głowie, ale po pewnym czasie można było do tego przywyknąć, jak zresztą i do innych osobliwości. Autorzy planów uciekli się do pewnych sprytnych chwytów w dekoracji, żeby ukryć ten stan rzeczy, i w mniejszych pokojach wygięcie podłogi, bardzo nieznaczne, po prostu uchodziło uwadze.

Stacja nie składała się z jednego walca: było ich trzy, jeden wewnątrz drugiego. W miarę oddalania się od środka wzrastało poczucie ciężaru. - Najbardziej wewnętrzny walec to było właśnie piętro „Jednej trzeciej ciężenia ziemskiego”; ponieważ leżało najbliżej komór ciśnieniowych na osi stacji, używano go głównie do przeladowywania pasażerów i ich bagażu. Krążyło powiedzenie, że jeśli posiedzi się na wprost recepcji dostatecznie długo, spotka się każdą ważną osobistość ze wszystkich czterech planet.

Środkowy walec otaczało obszerniejsze piętro „Dwóch trzecich ciężenia ziemskiego”. Z pierwszego piętra na drugie można się było przedostać albo windą, albo schodami, osobliwie wygiętymi. Przedziwnego uczucia doznałem idąc w dół po tych schodach. Wymagało to z początku sporego wysiłku woli, bo jeszcze nie przywykłem nawet do jednej trzeciej ziemskiego ciężaru mojego ciała. Idąc powoli w dół, kurczowo uczepony poręczy, czułem, że z każdą minutą staję się cięższy. A gdy doszedłem do celu, ruszałem się tak wolno i ospale, że chyba każdy musiał to zauważyć. Szybko jednak oswoiłem się z tym uczuciem. Musiałem się oswoić, jeśli w ogóle miałem

zamiar powrócić na Ziemią!

Większość pasażerów mieszkała na tym właśnie piętrze „Dwóch trzecich ciężenia”. I większość jechała na Ziemię z Marsa; chociaż w ciągu ostatnich tygodni podróży - dzięki ruchowi wirowemu statku - oswajali się z normalnym ziemskim ciężarem ciała, najwidoczniej źle się z tym czuli. Chodzili bardzo ostrożnie i zawsze znajdowali jakąś wymówkę, aby powędrować „na górę”, na najwyższe piętro, gdzie panowało takie samo ciężenie, jak na Marsie.

Nigdy dotychczas nie spotkałem osadników z Marsa i nie mogłem oczu od nich oderwać. Ich ubranie, ich akcent - jednym słowem wszystko - nosiło piętno obcości, chociaż często nie dałoby się określić, na czym ta obcość polegała. Wszyscy, zdaje się, byli z sobą po imieniu. Rzecz może naturalna po tak długiej podróży, ale dowiedziałem się później, że taki jest powszechny zwyczaj na Marsie. Tamtejsze osady ciągle jeszcze były niewielkie i wszyscy się znali. Jakże inne stosunki zastaną ci ludzie na Ziemi!

Czułem się trochę osamotniony wśród tylu obcych osób i upłynął pewien czas, nim zawarłem nowe znajomości. Na piętrze „Dwóch trzecich ciężenia” działało kilka niewielkich sklepów z przyborami toaletowymi i pamiątkami. Oglądałem je właśnie, kiedy pojawiła się trójka młodych osadników. Najstarszy z nich, chłopiec mniej więcej w moim wieku, szedł z dwoma pannami, które wyglądały na jego siostry.

- Dzień dobry - powiedział. - Ty nie byłeś z nami na statku, prawda?

- Nie - odparłem. - Przyjechałem z tamtej części stacji.

- Jak się nazywasz?

Takie pytanie prosto z mostu mogłoby się na Ziemi wydać niegrzeczne albo co najmniej nieeleganckie, ale już zdążyłem zauważyć, że taki jest styl osadników z Marsa. Byli bezpośredni i prostolinijni, a także nie używali zbędnych słów. Zdecydowałem więc postępować tak samo.

- Roy Malcolm. A wy?

- O! - zawołała jedna z dziewcząt - czytaliśmy o tobie w gazetach. Brałeś udział w locie naokoło Księżyca i w różnych takich rzeczach.

Pochlebilo mi, że o mnie słyszeli, ale wzruszyłem ramionami, jakby moje wyczyny nie przedstawiały sobą nic ważnego. W każdym razie nie zamierzałem ryzykować przechwałek, bo przecież ich podróż była o wiele dalsza niż moja.

- Ja jestem John Moore - powiedział chłopiec. A to moje siostry, Ruby i May. Jeszcze nigdy nie byliśmy na Ziemi.

- To znaczy, że urodziliście się na Marsie?

- Tak. A teraz jedziemy do kraju na wyższe studia.

Dziwnie zabrzmiały mi słowa „do kraju” w ustach człowieka, którego stopa nigdy przedtem nie dotknęła Ziemi. Już miałem na końcu języka pytanie, czy na Marsie nie ma dobrego uniwersytetu, kiedy na szczęście w porę się powstrzymałem. Osadnicy zdradzali ogromną wrażliwość na mimowolną nawet krytykę swojej planety. Nienawidzili również słowa „osadnik” i należało go unikać w ich obecności. Z drugiej strony w żaden sposób nie dało się nazywać ich Marsjanami, bo to określenie przyjęło się dla tubylców planety.

- Wybieramy jakieś pamiątki, żeby je zawieźć do kraju - powiedziała Ruby. - Ta plastyczna mapa gwiazd jest śliczna, prawda?

- Mnie się bardziej podoba rzeźba meteoru - odpowiedziałem. - Ale kosztuje kupę forsy.

- Ile masz pieniędzy? - zapytał John.

Zrobiłem przegląd kieszeni i dokonałem szybkiego obliczenia.

- Pożyczę ci resztą - ku mojemu zdumieniu natychmiast zaofiarował się John. - Zwrócisz mi na

Ziemi.

W ten sposób po raz pierwszy zetknąłem się z impulsywną uczynnością, jaka na Marsie uchodzi za coś zupełnie naturalnego. Nie mogłem oczywiście przyjąć pożyczki, ale nie chciałem również urazić Johna. Na szczęście przyszła mi na myśl doskonała wymówka.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny - powiedziałem ale właśnie mi się przypomniało, że przekroczyłem należny mi limit wagi. Przepadło więc - już nic nie mogę z sobą zabrać.

Z niepokojem czekałem, czy ktoś z rodzeństwa nie zechce pożyczyć mi miejsca w swoich walizkach, ale na szczęście każde z nich wykorzystano już całkowicie dopuszczalną wagę bagażu.

Naturalną kolejną rzeczą moi nowi znajomi przedstawili mnie swoim rodzicom. Zastaliśmy państwa Moore w głównym hallu, przedzierających się przez zagadkową treść gazet z Ziemi.

- Co się stało z ubraniem tego chłopca?! - zawołała pani Moore na mój widok.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że w czasie pobytu na Stacji Wewnętrznej doprowadziłem ubranie do opłakanego stanu. Nawet się nie obejrzałem, kiedy wepchnięto mnie w jasny garnitur Johna. Miara była dobra, ale krój zaskakujący, przynajmniej według ziemskich kanonów, chociaż tutaj z pewnością nie raził.

Mieliśmy tak wiele tematów do rozmowy, że oczekiwanie na statek minęło niezmiernie szybko. Życie na Marsie stanowiło dla mnie taką samą nowość, jak życie na Ziemi dla Moore'ów. John miał ze sobą ładny zbiór fotografii, które dawały wyobrażenie o wielkich miastach pod kopułami ciśnieniowymi i o barwnych pustyniach. John sporo podróżował i sfotografował wiele wspaniałych krajobrazów i scen z życia na Marsie. Zdjęcia były tak dobre, że poradziłem mu sprzedać je ilustrowanym magazynom.

- Zrobiłem to już dawno - odparł nieco urażonym tonem.

Widok rozległej strefy wegetacji, zwanej Wielką Syrtą, jak mnie objaśnił John, urzekł mnie najbardziej.

Zdjęcie zrobione z dużej wysokości obejmowało zbocze szerokiej doliny. Miliony lat temu morza marsjańskie o niedługim żywocie przelewały się po tych obszarach i wśród Skał znajdowały się do dzisiaj złoża kości osobliwych morskich stworzeń. Teraz na planetę wracało znowu życie. W dolinie olbrzymie maszyny przeorywały ceglastą glebę, aby stworzyć warunki dla osadników z Ziemi. W głębi odróżniałem pola świeżo zasadzone równymi rządkami tak zwanej „tlenodajnej rośliny”. W miarę wzrostu ta dziwna roślina rozsadza podłoże mineralne, wyzwalaając tlen, przyjdzie więc czas, kiedy człowiek będzie mógł żyć na tej planecie nie nosząc maski.

Na pierwszym planie stał pan Moore pomiędzy dwoma małymi Marsjanami. Te dziwne istoty trzymały się kurczowo jego palców drobnymi rączkami podobnymi do macek i wpatrywały się w obiektyw dużymi, bladymi oczyma. W tej scenie było coś wzruszającego. Symbolizowała przyjazne współżycie dwóch ras w sposób wyjątkowo obrazowy.

- Ale co to?! - zawołałem nagle. - Twój tatuś nie ma maski?

John roześmiał się.

- Ciekaw byłem, czy to zauważysz! Upłynie jeszcze dużo czasu, zanim dostateczna ilość tlenu w atmosferze pozwoli nam go wdychać, ale przez parę minut można się czasem obejść bez maski - to znaczy, o ile człowiek powstrzymuje się od większych wysiłków.

- Jak się układają stosunki z Marsjanami? - zapytałem. - Czy sądzisz, że oni mieli ongiś jakąś cywilizację?

- Nie wiem - odpowiedział John. - Bardzo często rozchodzą się pogłoski o odnalezieniu ruin miast na pustyniach, ale zawsze okazuje się to kaczką dziennikarską albo kawałem. Nie ma dowodów, że Marsjanie kiedykolwiek byli inni niż teraz. Nie zdradzają przyjacielskich uczuć

w stosunku do nas, chyba za młodu, ale nie przysparzają też żadnych kłopotów.

Dorośli po prostu nie zwracają na nas uwagi, dopóki nie wchodzimy im w drogę. Są prawie zupełnie pozbawieni ciekawości.

- Czytałem gdzieś - wtrąciłem - że zachowanie Marsjan najbardziej przypomina zachowanie inteligentnych koni, jeśli brać pod uwagę zwierzęta żyjące na Ziemi.

- Tego nie wiem - powiedział John. - Nigdy w życiu nie widziałem konia.

Doznałem wstrząsu. A potem zdałem sobie sprawę, że John przecież nie zetknął się i z innymi zwierzętami. Ziemia chowa dla niego w zanadru mnóstwo niespodzianek!

- Co właściwie masz zamiar robić na Ziemi? zapytałem. - Oczywiście oprócz studiów na uniwersytecie.

- Najpierw będziemy podróżować i zwiedzać. Widzieliśmy mnóstwo filmów, więc mamy niezłe wyobrażenie, jak świat wygląda.

Z trudem powstrzymałem uśmiech. Chociaż mieszkałem w kilku krajach, w sumie niewiele obejrzałem przez całe swoje życie i zastanawiałem się, czy rodzina Moore'ów uprzytamnia sobie istotne rozmiary naszej planety. Ich skala wartości prawdopodobnie różni się zupełnie od mojej. Mars jest niewielką planetą, a życie ogranicza się tam do paru stref. Jeśliby skupić razem Wszystkie tereny posiadające roślinność, otrzymałoby się obszar mało co większy od średniego kraju na Ziemi. A tereny pod kopułami ciśnieniowymi kilku miast są, oczywiście, jeszcze znacznie szczuplejsze.

Postanowiłem dowiedzieć się, co właściwie moi nowi znajomi wiedzą o Ziemi.

- Pewnie są jakieś miejsca, które specjalnie chcielibyście obejrzeć - zacząłem.

- O, tak! - zawołała Ruby. - Ja chciałabym obejrzeć las. Macie na Ziemi takie wielkie drzewa - nic podobnego nie rośnie na Marsie. Jakie to musi być cudowne wrażenie spacerować sobie w ich cieniu i obserwować ptaki.

- Bo, widzisz, u nas także nie ma ptaków - wtrąciła żałośnie May. - Powietrze jest dla nich zbyt rozrzedzone.

- A ja chciałbym zobaczyć ocean - powiedział John. - Chciałbym pływać żaglówką i łowić ryby.

Czy to prawda, że gdy się wypłynie daleko na morze, wcale nie widać lądu?

- Tak, to prawda - powiedziałem.

Kuby cała się zatrzęsła.

- Tyle wody! Ja bym się bała. Bałabym się zgubić! Czytałam w dodatku, że na morzu ludzie mają okropne mdłości.

- O, do tego można się przyzwyczaić - powiedziałem niefrasobliwie. - Teraz statki nie są w użyciu, chyba dla przyjemności. Ale paręset lat temu większa część handlu światowego odbywała się drogą morską, aż do chwili kiedy rozpowszechnił się transport lotniczy. Teraz w kąpieliskach nadbrzeżnych można sobie wynająć statek razem z obsługą.

- To chyba bardzo niebezpieczna rozrywka? - badała dalej Ruby. - Czytałam, że w waszych morzach roi się od wstrętnych potworów, które mogą wyskoczyć z wody i pożreć człowieka.

Tym razem nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

- Spokojna głowa - powiedziałem. - Takie rzeczy nie zdarzają się w naszych czasach.

- A zwierzęta lądowe? - pytała May. - Niektóre są olbrzymie, prawda? Czytałam o tygrysach i lwach i wiem na pewno, że są niebezpieczne. Bałabym się spotkać z takimi bestiami.

Pomyślałem sobie, że chyba wiem trochę więcej o Marsie niż oni o Ziemi! Miałem właśnie na końcu języka, że ludożercze tygrysy na ogół nie chodzą po ulicach naszych miast, gdy zauważyłem, że Ruby mruga porozumiewawczo do Johna, i nagle zrozumiałem, że cała trójka przez cały czas nabijała

się ze mnie.

Następnie poszliśmy razem na lunch do wielkiej jadalni, gdzie czułem się trochę skrępowany. Pogorszyłem jeszcze sprawę, bo zapominając o działającej tutaj sile ciężenia wylałem szklanę wody na podłogę. Ale ostatecznie przebolełem tę niezręczność, gdyż wszyscy śmieli się ze mnie w dobroduszny sposób. Jediną osobą, która naprawdę mi to miała za złe, był steward, bo musiał wycierać podłogę.

Resztę mojego krótkiego pobytu na Stacji Mieszkalnej spędziłem przeważnie z rodziną Moore'ów. I dziwnym zbiegiem okoliczności dopiero tutaj zobaczyłem wreszcie coś, na co nie udało mi się trafić poprzednio.

Bo chociaż zwiedziłem kilka stacji kosmicznych, nigdy nie miałem okazji obejrzeć ich budowy. Tutaj mieliśmy świetne warunki, aby się temu przypatrzeć, i to bez konieczności wkładania skafandrów. Rozszerzano właśnie Stację Mieszkalną i z Okien piętra „Dwóch trzecich ciężenia” mogliśmy obserwować fascynujący przebieg robót. Niejedno mogłem wytłumaczyć moim nowym znajomym. Nie zdradziłem się oczywiście, że jeszcze dwa tygodnie temu taki widok byłby i dla mnie zupełnie niezrozumiały.

Fakt, że co dziesięć sekund wykonywaliśmy jeden pełny obrót, początkowo wywoływał zamęt w głowie i dziewczęta zzieleniały spojrzawszy na gwiazdy krążące za oknami. A jednak absolutny brak wibracji ułatwiał iluzję - tak jak to się dzieje na Ziemi - że to my stoimy w miejscu, a wirują gwiazdy.

Nowy teren stacji składał się na razie z mnóstwa dźwigarów, tylko częściowo przykrytych metalową powłoką. Teren ten jeszcze nie wirował, bo to wytworzyłoby nie dające się przewyciężyć trudności przy budowie, i w obecnym stadium unosił się o pół mili przed nami, wraz z kilkoma raketami towarowymi u boku. Po zakończeniu robót nowa część zostanie ostrożnie dołączona do stacji i za pomocą silniczków raketowych wprawiona w ruch wirowy dokoła jej osi.

Gdy ruch wirowy obu jednostek się zrówna, zostaną ściśle spojone i w rezultacie Stacja Mieszkalna dwukrotnie zwiększy swoją długość. Cała operacja będzie przypominała wprawianie w ruch olbrzymiego sprzęgła.

W naszych oczach ekipa budowniczych zwalniała wielki dźwigar z uchwytu rakiety transportowej.

Dźwigar miał około czterdziestu stóp długości i chociaż tutaj nic nie ważył, jego masa i bezwładność pozostały nie zmienione. Ruszenie go z miejsca, jak również zatrzymanie, wymagało wielkiego wysiłku. Robotnicy pracowali właściwie w miniaturowych statkach kosmicznych; były to małe pojemniki długości około dziesięciu stóp, zaopatrzone w rakiety o małej mocy i silniki hamujące. Manewrowali nimi z oszałamiającą zręcznością, wypryskując naprzód lub na boki, a zatrzymując się w porę, gdzie trzeba. Pomysłowe operowanie mechanizmami i metalowymi ramionami umożliwiało im przeprowadzanie robót montażowych nieomal z taką samą łatwością, jak gdyby posługiwali się własnymi rękami.

Ekipą kierował przez radio brygadzysta czy kontroler, jeśli mamy jego tytułowi nadać bardziej dostojne brzmienie, z klimatyzowanej budki, umocowanej do dźwigarów częściowo już gotowej stacji. Członkowie ekipy, w idealnej harmonii krzątający się według jego wskazówek, przypominali mi stadko złotych rybek w akwarium. Gdy światło słoneczne zabłysło na skafandrach, naprawdę uderzało ich podobieństwo do jakichś podwodnych stworzeń.

Dźwigar odłączony od statku, którym przyjechał tutaj z Księżyca, unosił się już swobodnie, a dwóch ludzi uczepliło doń chwytnak i kołowało go powoli. Byłbym przysiągł, że robotnicy o wiele za późno zaczęli hamować. Ale okazało się, że gdy stanęli, zostało jeszcze dobrych sześć cali między



dźwigarem a szkieletem konstrukcji. Wtedy jeden z nich oszczędł, aby pomóc kolegom przy wyładunku, a drugi wpychał dźwigar w lukę, dopóki nie przyparł go do reszty konstrukcji.

Dźwigar nie leżał jednak idealnie pod względem kierunku, robotnik musiał więc jeszcze odwrócić go i ustawić pod lekko zmienionym kątem. Wreszcie założył śruby i zaczął je dociskać. Wszystko odbywało się jak gdyby bez wysiłku, ale zdawałem sobie sprawę, jak fantastyczna zręczność i wprawa muszą leżeć u podstaw tych zwodniczych pozorów.

Zanim człowieka wyprawiają na Ziemię, każdy musi przejść dwunastogodzinną kwarantannę na piętrze „Pełnego ciężenia ziemskiego”, najbardziej wysuniętym na zewnątrz ze wszystkich trzech pokładów Stacji. Znowu więc zszedłem po wygiętych schodach, a na każdym stopniu rósł mój ciężar. Na samym dole osłabłe nogi uginały się pode mną. Ledwie mogłem uwierzyć, że to właśnie była normalna siła ciężkości, przy której upłynęło całe moje życie.

Wraz ze mną przyszła tu również cała rodzina Moore'ów; odczuli zmianę w sposób bardziej jeszcze przykry niż ja. Na Marsie, w swoich rodzinnych stronach, mieli siłę ciężkości trzykrotnie niższą, toteż dwa razy podtrzymałem Johna, gdy o mało co nie upadł.

Trzeci raz już mi się nie udało i wywaliliśmy się obydwoj. Mieliśmy tak nieszczęśliwe miny, że po chwili, patrząc na siebie, wybuchnęliśmy śmiechem i wrócił nam dobry humor.

Po krótkim odpoczynku na grubej gumowej podłodze (projektant stacji wiedział, jak bardzo będzie potrzebna!) wzięliśmy się w garść dla dokonania nowej próby. Tym razem nie upadliśmy! Reszta rodziny radziła sobie dużo lepiej niż John, co zresztą nie poszło mu w smak.

Nie można było wyjechać ze Stacji Mieszkalnej nie obejrzawszy jej czołowej sensacji: Piętro „Pełnego ciężenia ziemskiego” miało basen pływacki, wprawdzie niewielki, ale sławny w całym systemie słonecznym.

A sławę zawdzięczał temu, że nie był płaski. Jak już wyjaśniłem, „ciążenie” stacji stwarzało ruch wirowy, więc pion w każdym miejscu zwrócony był ku głównej osi. Wobec tego woda w otwartym zbiorniku miała wklęsłą powierzchnię.

Nie mogliśmy sobie odmówić przyjemności wejścia do basenu, nie tylko dlatego, że w wodzie siła ciężkości mniej się dawała we znaki. Chociaż przywykłem już do wielu dziwacznych rzeczy w kosmosie, doznałem niesamowitego wrażenia, trzymając głowę tuż ponad powierzchnią basenu i patrząc na wodę. W jednym kierunku, równoległe do osi stacji, była ona zupełnie płaska. Ale w drugim kierunku z obu stron zaginała się w górę. Na krawędzi basenu poziom wody sięgał nawet wyżej niż moja głowa. Tak jakbym pływał w zagłębieniu utworzonym przez olbrzymią zastygłą falę. W każdej chwili spodziewałem się, że woda zaleje tę nieckę, gdy powierzchnia się zrówna. Ale to stać się nie mogło - w tym dziwnym polu ciężenia powierzchnia była przecież „zrównana”. (Już w domu, na Ziemi, narobiłem nieludzkiego bałaganu, gdy usiłowałem zademonstrować te rzeczy, wywijając dokoła mojej własnej głowy wiaderkiem z wodą, uwiązany do linki. Jeśli macie zamiar dokonać podobnego doświadczenia, radzę zabrać się do tego na dworze!)

Nie mogliśmy baraszkować w tym osobliwym basenie tak długo, jakbyśmy mieli ochotę, bo odezwały się cicho głośniki - zbliżał się czas odjazdu. Poproszono nas o przypilnowanie ładowania bagaży i zebranie się w głównym hallu. Osadnicy z Marsa, jak wiedziałem, urządzali małą uroczystość pożegnalną, która chociaż nie dotyczyła mnie bezpośrednio, wzbudziła moje zainteresowanie. Bo zapoznawszy się bliżej z Moore'ami, polubiłem ich i zacząłem oswajać się z ich sposobem bycia.

Zebranie, do którego przyłączyliśmy się w parę minut później, było nieliczne i skromne. Podróżni z Marsa stracili już fantazję i pewność siebie pionierów.

Zdawali sobie sprawę, że wkrótce rozplyną się w obcym świecie, wśród milionów innych istot

ludzkich o zupełnie innym stylu życia. Przestali mówić o „powrocie do kraju” - tęsknili teraz do Marsa, nie do Ziemi.

Przysłuchując się krótkim przemówieniom i pożegnaniom zacząłem ich żałować. Żał mi również było samego siebie, bo przecież za parą godzin i ja będę żegnał przestrzeń kosmiczną.

## 12. Długa droga na Ziemię

Podróż z Ziemi odbyłem sam, wracałem natomiast w licznym towarzystwie. Prawie pięćdziesięciu pasażerów stłoczyło się na piętrze „Jednej trzeciej ciężenia”, oczekując na załadowanie. To był komplet na pierwszą raketę: reszta osadników miała pojechać później.

Przed odjazdem każdy dostał pęk ulotek z instrukcjami, ostrzeżeniami i radami na temat warunków panujących na Ziemi. Mimo że nie potrzebowałem przecież tego czytać, cieszyłem się jeszcze jedną pamiątką. A pomysł rozdania instrukcji właśnie w tym momencie podróży na Ziemią był z pewnością dobry, bo większość pasażerów zajmie się czytaniem aż do chwili lądowania i nie zdąży się niczym innym przejmować.

Śluza mogła pomieścić naraz tylko około dwunastu osób, więc upłynęło sporo czasu, zanim nas wszystkich przez nią przeprowadzono. Przy każdej nowej partii podróżnych śluza musiała być puszczona w obrót, aby przeciwdziałać normalnemu obrotowi wirowemu stacji, potem sprzężona z oczekującym statkiem kosmicznym i znowu odłączona po wyjściu pasażerów. Następnie cały zabieg zaczynał się od początku. Zainteresowało mnie zagadnienie, co by się stało, gdyby coś nawaliło w chwili sprzężenia wirującej stacji z nieruchomym statkiem. Statek wyszedłby chyba na tym gorzej - to znaczy w drugiej kolejności po pechowych pasażerach w śluzie! Dowiedziałem się później, że jednak na wypadek tego rodzaju awarii czekało w pogotowiu dodatkowe przewoźne sprzęgło.

Nie byłem jeszcze nigdy wewnątrz tak wielkiego statku kosmicznego jak ten, którym wracałem na Ziemią. Miał on dla pasażerów jedną obszerną kabinę z rzędami foteli - w czasie podróży każdy musiał zabezpieczyć się pasami ochronnymi. Na szczęście wszedłem na pokład jako jeden z pierwszych i udało mi się dostać miejsce przy oknie. Większość moich towarzyszy podróży mogła tylko oglądać się nawzajem i czytać ulotki, które nam rozdano.

Upłynęło prawie pół godziny, zanim wszyscy usadowili się w kabinie i zanim ulokowano bagaże. Następnie przez głośniki polecono nam przygotować się do startu. Statek, odczepiony od stacji, oddalił się już od niej o paręset stóp.

Zawsze sądziłem, że powrót na Ziemię będzie stanowił odprężenie po wrażeniach przy starcie. Wrażenie jednak było sporo, wprawdzie innych, ale niezwykłych. Do tej pory pozostawaliśmy, jeśli nie poza siłą przyciągania, to w każdym razie w tak szybkim ruchu po orbicie, że Ziemia nie mogła nas przyciągnąć z powrotem. Ale teraz mieliśmy wytracić tę prędkość, która zapewniała bezpieczeństwo. Będziemy się zniżać, aż wejdziemy w atmosferę, a potem przyciąganie Ziemi zmusi nas do spadania po spirali na jej powierzchnię. Przy zbyt ostrym spadaniu statek nasz mógłby zapłonąć na niebie jak meteor i skończyć tak samo jak on.

Patrzałem na pełne napięcia twarze naokoło siebie.

Osadnicy z Marsa snuli może podobne myśli. Może rozważali, z czym się zetkną i co będą robić na planecie, którą niewielu z nich znało. Ufałem, że nikogo z nich nie spotka zawód.

Trzy ostre dźwięki z głośnika stanowiły ostateczny sygnał ostrzegawczy. Po pięciu sekundach silniki włączyły się gładko, szybko przechodząc do pełnego napędu. Stacja Mieszkalna chyżo umykała wstecz; ogromny wirujący bęben malał na tle gwiazd. A potem mineliśmy chaotyczny labirynt dźwigarów i kabin ciśnieniowych, gdzie zostawiłem tyłu przyjaciół - na ten widok serce podeszło mi do gardła. Pokiwałem do nich ręką - nie mogłem się powstrzymać, chociaż czułem, że gest jest bezcelowy. Ale a nuż dojrzą mnie przy oknie? Wiedzieli przecież, że tym właśnie statkiem odjeżdżam.

Oba człony Stacji Wewnętrznej szybko się cofały i wkrótce znikły za wielkim skrzydłem statku. Z trudem sobie uprzytamniałem, że to my wytracamy prędkość, a Stacja wiruje jak zwykle. I skoro

wytracamy prędkość, zaczniemy zaraz opadać ku Ziemi po długiej krzywej, która zaprowadzi nas na drugą stronę planety, zanim jeszcze wejdziemy w atmosferę.

Po zdumiewająco krótkiej chwili silniki znowu umilkły. Wytraciliśmy tyle prędkości, ile trzeba, a teraz reszty dokona siła przyciągania. Prawie wszyscy pasażerowie zabrali się do lektury, ja jednak postanowiłem spojrzeć jeszcze raz na gwiazdy nie przyćmione atmosferą. Była to również ostatnia sposobność, aby zażywać stanu nieważkości, poszła wszakże na marne, bo przecież nie mogłem ruszyć się z fotela. Spróbowałem wprawdzie, ale natychmiast osadził mnie z powrotem karcący głos stewarda.

Statek dążył teraz w kierunku przeciwnym do ruchu orbitalnego i trzeba było go odwrócić, aby wszedł w atmosferę dziobem naprzód. Pozostawało jeszcze mnóstwo czasu na tę operację i pilot wykonał ją bez pośpiechu, puszczając w ruch rakiety o małej mocy, umieszczone na końcówkach skrzydeł. Ze swego miejsca dostrzegłem krótkie słupy mgły wyrzucane z dysz; powoli zachwiały się otaczające nas gwiazdy. Dopiero po całych dziesięciu minutach wróciła równowaga i teraz dziób statku kierował się, jak należy, ku wschodowi.

Znajdowaliśmy się jeszcze na wysokości prawie pięciuset mil nad równikiem, poruszając się z prędkością blisko osiemnastu tysięcy mil na godzinę. Ale z wolna opadaliśmy ku Ziemi. Za pół godziny po raz pierwszy zetknijemy się z atmosferą.

John siedział koło mnie i miałem okazję przewietrzenia mojej znajomości geografii.

- Patrz, to jest Ocean Spokojny - powiedziałem.

I coś mnie podkusiło, żeby nietaktownie dodać: Można by utopić w nim całego Marsa: z żadnej strony nie zaczepiłby o brzegi:

John jednak nie obraził się, bo zbyt go pochłaniał ten olbrzymi obszar wody - niewątpliwie wspaniały widok dla każdego mieszkańca planety pozbawionej mórz. Mars nie posiada nawet stałych jezior, jedynie płytkie sadzawki tworzą się latem koło topniejących cypli lodowych. John patrzył więc w dół na wody rozpostarte w zasięgu wzroku, z paroma punkcikami lądu, tu i ówdzie znaczącymi ocean.

- Spójrz teraz wprost przed siebie - powiedziałem. - Widać brzegi Ameryki Południowej! Musimy być chyba nie wyżej, jak na pułapie dwustu mil.

Statek mknął ku Ziemi, ciągle w zupełnej ciszy, a ocean cofał się do tyłu. Nikt już teraz nie czytał, przynajmniej z tych osób, które miały dostęp do okna.

Żał mi było pasażerów w środkowej części kabiny, którzy nie mogli śledzić przybliżającego się do nas krajobrazu w dole.

Wybrzeże Ameryki Południowej znikło po sekundzie; pod nami rozciągała się teraz dżungla nad Amazonką. Tu życie rozwijało się na taką skalę, jakiej Mars nie mógł dorównać chyba nawet w czasach swej młodości. Przed nami przesuwały się tysiące mil kwadratowych gęstej puszczy, niezliczone strumienie i rzeki, i to tak szybko, że ledwie zauważyło się jakiś szczegół - już znikał z pola widzenia.

Olbrzymia rzeka rozszerzała się, w miarę jak mknęliśmy ponad nią. Atlantyck już był blisko, już byłby widzialny, gdyby nie kryły go mgły. Nad ujściem Amazonki zauważyłem szalejący tam sztorm. Od czasu do czasu oślepiające błyskawice rozdzierały chmury.

Dziwny to był widok obserwowany z wysoka w zupełnej ciszy.

- Sztorm tropikalny - objaśniłem Johna. - Czy zdarza się coś takiego na Marsie?

- Bez deszczu, oczywiście - powiedział. - Czasem mamy gwałtowne burze piaskowe nad pustyniami.

Błyskawice zauważyłem, raz czy dwa razy.

- Jak to, bez chmur deszczowych? - zdziwiłem się.

- Tak, piasek jest naładowany elektrycznością. To rzadkie zjawisko, ale się zdarza.

Zostawiliśmy sztorm daleko za sobą i w przedwieczornym słońcu ukazała się gładka powierzchnia Atlantyku. Nie na długo, bo wkrótce skryje go ciemność.

Zbliżaliśmy się do nocnej półkuli planety i na horyzoncie odróżniałem szybko dążący ku nam pas mroku, podczas gdy nasz statek zagłębiał się w zmierzch.

Przerażające uczucie ogarnia przy takim nurkowaniu w ciemność! Słońce znikło w połowie Atlantyku i nieomal w tej samej chwili doszedł do nas pierwszy szmer powietrza wzdłuż kadłuba statku.

Dźwięk wprost niesamowity - włosy zjeżyły mi się na głowie! Po ciszy w kosmosie każdy dźwięk wydawał się podejrzany. Szmer wzrastał się z każdą minutą, przechodząc ze słabego, odległego jęku w przeraźliwe wycie. Byliśmy jeszcze ponad pięćdziesiąt mil w górze, ale przy obecnej prędkości nawet niezmiernie rzadka na tych wysokościach atmosfera protestowała przeciwko gwałtownemu jej rozdzieraniu. I w tym proteście parła na statek, hamując naszą prędkość.

Lekkie szarpnięcia pasów zabezpieczających stale się wzrastały; zmniejszanie prędkości usiłowało wyrwać nas z foteli. Podobnego uczucia doznaje się przy powolnym stosowaniu hamulców w samochodzie. Ale w tym wypadku hamowanie miało trwać dwie godziny - jeszcze raz okrążymy świat, nim zatrzymamy się ostatecznie.

Teraz już znajdowaliśmy się nie w statku kosmicznym, lecz w samolocie. Ciemność zaległa zupełna księżycą nie było. Szybowaliśmy nad Afryką i Oceanem Indyjskim. Cała podróż robiła jeszcze większe wrażenie wobec tego, że pędziliśmy wskroś nocy, ponad niewidoczną Ziemią, z szybkością wielu tysięcy mil na godzinę. Cienkie poświstywanie atmosfery stanowiło teraz stałe tło lotu; nie rosło już ani nie słabło z upływem czasu.

Wyglądając w ciemność, zauważyłem w dole słaby czerwony blask. Z początku, ponieważ nie miałem poczucia ani perspektywy, ani odległości, wydawał się położony w niezmiernej głębi pod nami. Nie miałem pojęcia, co to może być! Może olbrzymi pożar lasu... ale nie, byliśmy przecież teraz znowu nad oceanem.

I nagle z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że ten złowieszczy czerwony błysk pochodzi ze skrzydła statku! Przejęcie przez atmosferę rozgrzewało je do ognistej czerwieni.

Przez kilka sekund patrzyłem na ten niepokojący widok, zanim stwierdziłem, że to nic groźnego. Cała fantastyczna energia, rezultat naszego ruchu, przetwarzała się w ciepło, chociaż nigdy nie uprzytamniałem sobie, ile ciepła może się w takiej sytuacji wytworzyć.

Bo rozżarzenie rosło w moich oczach. Gdy rozpląszczyłem twarz o szybą, mogłem dostrzec część przedniej krawędzi, w pewnych miejscach jaskrawożółtą. Nie wiedziałem, czy inni pasażerowie zauważyli to zjawisko, a może broszurki, do których ja nawet nie zajrzałem, zapewniły ich, że jest ono normalne.

Z radością powitałem światło dzienne, w które wniknęliśmy ponownie. O świcie byliśmy nad Pacyfikiem. Żarzenie skrzydła stało się teraz niewidoczne i przestałem się nim przejmować. Zresztą wszystkie inne sensacje usunęła w cień fantastyczna świetność wschodu Słońca; zbliżaliśmy się ku niemu z szybkością blisko dziesięciu tysięcy mil na godzinę. Ze Stacji Wewnętrznej nieraz obserwowałem świt i wschód Słońca, przechodzące ponad Ziemią. Ale tam, w górze, byłem jedynie widzem, nie stanowiłem części scenarii.

Teraz, gdy ponownie znalazłem się wewnątrz atmosfery, wspaniałe barwy otaczały mnie z bliska.

Dokonaliśmy już jednego kompletnego okrążenia Ziemi i wytraciliśmy więcej niż połowę naszej

prędkości. Upłynęło teraz dużo więcej czasu, zanim ukazały się znowu dżungle brazylijskie, które też znikły nam z oczu o wiele wolniej. Sztorm ciągle szalał nad ujściem Amazonki, z tą różnicą, że działo się to już bardzo blisko pod nami - zaczęliśmy teraz ostatni lot nad południowym Atlantykiem.

Znowu nadeszła noc i znowu skrzydło żarzyło się czerwienią w ciemności otaczającej statek. Teraz nawet żar wydawał się silniejszy, ale widocznie przywykłem do niego, bo nie przysparzał mi troski. Nadszedł ostatni etap podróży - zbliżaliśmy się do domu. Pozbyliśmy się prędkości w takim stopniu, że frunęliśmy chyba nie szybciej niż normalny samolot.

Pęk światła wzdłuż wybrzeży Afryki Wschodniej oznajmił nam, że znowu jesteśmy nad Oceanem Indyjskim. Żałowałem, że nie mogę pójść do kabiny nawigacyjnej i obserwować przygotowań do operacji lądowania na lotnisku kosmicznym. W tej chwili pilot pewno połączył się z radiolatarnią i zacznie lądować według sygnałów, ciągle z ogromną szybkością, ale według starannie przygotowanego planu. W pobliżu Nowej Gwinei nasza prędkość będzie całkowicie wytracona i statek zamieni się po prostu w olbrzymi ślizgowiec lecący po nocnym niebie resztkami swego pędu.

Głośnik przerwał bieg moich myśli.

- Pilot do pasażerów: lądujemy za dwadzieścia minut.

Nawet bez tego ostrzeżenia mógłbym odgadnąć, że lot zbliża się ku końcowi. Wycie wiatru na zewnątrz zniżyło się o ton i nastąpiła lekka zmiana kierunku, gdy statek ukośnie szybował w dół. Ponadto czerwony blask za oknem szybko przygasł i to stanowiło nieomylny znak. Zostało jedynie parę ciemnych plam przy przedniej krawędzi skrzydła. Po paru minutach i to znikło.

Nad Sumatrą i Borneo przelecieliśmy jeszcze w nocy. Od czasu do czasu pojawiały się migotliwe światełka statków i miast, a potem uciekały wstecz, bardzo teraz powoli w porównaniu do gwałtowności spadku przy naszym pierwszym okrążeniu. Przez głośnik dość często informowano nas o szybkości i położeniu statku.

W czasie mijania obszaru głębszych ciemności - brzegów Nowej Gwinei - nasza prędkość wynosiła poniżej tysiąca mil na godzinę.

- Patrz! - szepnąłem do Johna.

Statek przechylił się nieznacznie i pod skrzydłem ukazała się wielka konstelacja światła. Powolnym, wdzięcznym łukiem wystrzeliła w górę rakietą świetlną i zapłonęła czerwoną zorzą. W jej krótkim blasku dostrzegłem białe szczyty górskie otaczające lotnisko i zaciekało mnie, na jakiej wysokości je mijamy.

Cóż to byłaby za ironia ulec katastrofie na przestrzeni ostatnich paru mil, po odbyciu tak dalekiej podróży!

Nie mogłem określić momentu przyziemienia, tak doskonale została przeprowadzona operacja lądowania.

W ciągu jednej sekundy byliśmy jeszcze w powietrzu, a w ciągu następnej światła drogi startowej umykały już w tył i statek powoli stanął. Siedziałem cicho w fotelu, usiłując zdać sobie sprawę, że jestem znowu na Ziemi. A potem spojrzałem na Johna. Sądząc z wyrazu jego twarzy, i on z trudnością w to wierzył.

Steward przyszedł pomóc pasażerom przy odpinaniu pasów i udzielał im ostatnich rad. Patrząc na nieco zdenerwowanych gości z Marsa, nie mogłem pozbyć się pewnego uczucia wyższości. Dla mnie zwyczajnie na Ziemi były czymś powszednim, ale im wszystko wyda się dziwne. Musieli sobie uprzytamniać, że są teraz we władaniu pełnego ciężenia ziemskiego i nic na to nie poradzą aż do chwili powrotu w kosmos.

Ponieważ weszliśmy na statek pierwsi, wychodziliśmy ostatni. Pomogłem Johnowi zabrać

drobne bagaże, bo najwidoczniej czuł się nieświeżo i potrzebował przynajmniej jednej wolnej ręki, aby korzystać z każdego nadarzającego się uchwytu.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Niedługo będziesz skakał tak jak na Marsie.

- Obyś był dobrym prorokiem - odpowiedział posępnie. - W tej chwili czuję się jak kaleka bez kuli.

Na twarzach państwa Moore, jak zauważyłem, malował się wyraz zaciętej determinacji, gdy ostrożnie kroczyli w stronę luku wyjściowego. Ale nawet jeśli żalowali, że nie są na Marsie, nie uzewnętrzniali swoich uczuć. Tak samo dziewczęta, które dla niezbadanych przyczyn nie odczuwały siły ciężenia tak niemiło jak my.

Wyszliśmy w cień wielkiego skrzydła. Od razu owiało nas rzadkie górskie powietrze. Było zupełnie ciepłe - rzecz dziwna na takiej wysokości i w nocy.

Dopiero po chwili zauważyłem, że skrzydło ponad nami jest rozgrzane, może nawet zbyt gorące, aby dało się go dotknąć, chociaż oko tego nie dostrzegало.

Powoli odchodziliśmy od statku w stronę oczekujących pojazdów. Zanim wszedłem do autobusu, który miał nas zabrać na dworzec lotniczy, raz jeszcze rzuciłem okiem na wygwieżdżone niebo - mój dom przez krótki okres czasu i mój dom w przyszłości, jak to sobie postanowiłem. Tam wysoko, w cieniu Ziemi, dyrygując ruchem międzyplanetarnym, zostali komandor Doyle, Tim Benton, Ronnie Jordan, Norman Powell i reszta moich przyjaciół ze Stacji Wewnętrznej. Pamiętałem o obietnicy komandora i zastanawiałem się, jak szybko przypomnę mu o niej...

John Moore czekał cierpliwie, stojąc za mną i trzymając się kurczowo klamki przy drzwiach autobusu.

Widział, że patrzę w niebo, i spojrzał w tym samym kierunku.

- Nie zobaczysz stacji - powiedziałem. - Nie widać jej teraz.

John nie odezwał się i wtedy dopiero zauważyłem, że spogląda na wschód, tam gdzie wzdłuż horyzontu kraśniała pierwsza zapowiedź świtu. Hen, wysoko, na tle nie znanych mi gwiazd nieba południowego, widniało coś, co rozpoznałem od razu - błyszcząca, rubinowa latarnia, najbardziej jaskrawy punkt na niebie.

- Mój dom - powiedział John cicho i ze smutkiem.

Patrząc na owo światółko przypominałem sobie fotografie, które mi John pokazywał, i jego opowiadania.

Tam w górze rozciągały się wielkie obszary pustynne o różnobarwnym podłożu, odwieczne łożyska mórz, które człowiek ożywił na nowo, tam żyli mali Marsjanie, synowie rasy być może starszej niż nasza.

I nagle przeniknęła mnie świadomość, że sprawię zawód komandorowi Doyle'owi. Stacje kosmiczne leżały zbyt blisko Ziemi, żeby mogły zaspokoić moją wyobraźnię, którą podbił teraz ten mały, czerwony świat jarzący się wspaniale na tle gwiazd. Gdy powtórnie udam się w przestrzeń, Stacja Wewnętrzna posłuży mi jedynie za pierwszy kamień milowy na moim szlaku z Ziemi w dal kosmosu.

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[OD REDAKCJI. 3](#)

[MIASTA W KOSMOSIE.. 4](#)

[1. Rozgrywka o podróż kosmiczną. 6](#)

[2. Pożegnanie z siłą ciężkości 14](#)

[3. Jutrzenka. 30](#)

[4. Plaga piratów.. 40](#)

[5. Kolej na gwiazdę. 48](#)

[6. Szpital w przestrzeni 57](#)

[7. Świat potworów.. 69](#)

[8. W otchłań. 76](#)

[9. Wystrzał z Hsajma. 87](#)

[10. Radioaktywny satelita. 96](#)

[11. Hotel pod gwiazdą. 102](#)

[12. Długa droga na Ziemię. 110](#)